

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

STYCZEŃ 2017/1

magazyn histeria.pl

PORTRET

OWALNY

E. A. POE

GOŚĆ SPECJALNY
PIOTR KULPA

ORWELL PATRZY
dr Eliza Krzyńska-Nawrocka

FILM | GRANICA | LAURA W MAKOWISKU
LEPSZA PRZYSZĘŚĆ | LUNA
MIASTO W CIENIU SKĄPANE
PORADNIA LECZENIA BÓLU | RÓŻOWY KRÓLICZEK
TEORIA RZECZY: CZARNY LAS | ZMYŚŁY

SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
FILM	Dominik Kaniewski-Smulczyk	5
GRANICA	Adam Loraj	16
LAURA W MAKOWISKU	Kamila Modrzyńska	23
LEPSZA PRZYSZŁOŚĆ	Artur Grzelak	34
LUNA	Jarosław Jakubowski	43
MIASTO W CIENIU SKĄPANE	Marcin Mierzejewski	60
PORADNIA LECZENIA BÓLU	Marianna Szygoń	78
RÓŻOWY KRÓLICZEK	Sandra Gatt Osińska	93
TEORIA RZECZY: CZARNY LAS	Piotr Kulpa	101
ZMYSŁY	Iwona Matacz	121
Orwell patrzy	Eliza Krzyńska-Nawrocka	130
PORTRET OWALNY	E.A. Poe	136

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki: Izabela Wojciechowska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Marcin Czarnecki, Marcin Kozierekiewicz,
Roman Panasiuk, Alicja Tempłowicz, Joanna Widomska,
Izabela Wojciechowska

Korekta: Dagmara Adwentowska, Joanna Korytko, Alicja Podkalicka

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami styczniowa Histeria. Gościem Specjalnym osiemnastego numeru jest Piotr Kulpa, który prezentuje na naszych łamach niepublikowane dotąd opowiadanie „Teoria rzeczy: Czarny Las”.

Wśród jedenastu opowiadań znajdziecie aż pięć finałowych tekstów grozy z konkursu „Czarno to widzę”, zorganizowanego ku czci G. Orwella. Na początek jednak kolejny wywiad z Histerykiem Miesiąca – Przemysławem Pilarkiem, który zdobył ten tytuł po raz drugi.

Na koniec – artykuł dr Elizy Krzyńskiej-Nawrockiej pt.: „Orwell patrzy” oraz tekst klasyka, czyli „Portret owalny” E.A. Poe, którego 208. rocznicę urodzin obchodzimy w tym miesiącu.

Tyle od nas. Wracamy do prac nad rocznicowy numerem. Życzymy strasznej lektury!



B. Jaworski i M. Zawadzki

WYZNANIA HISTERYKA



Przemysław Pilarek

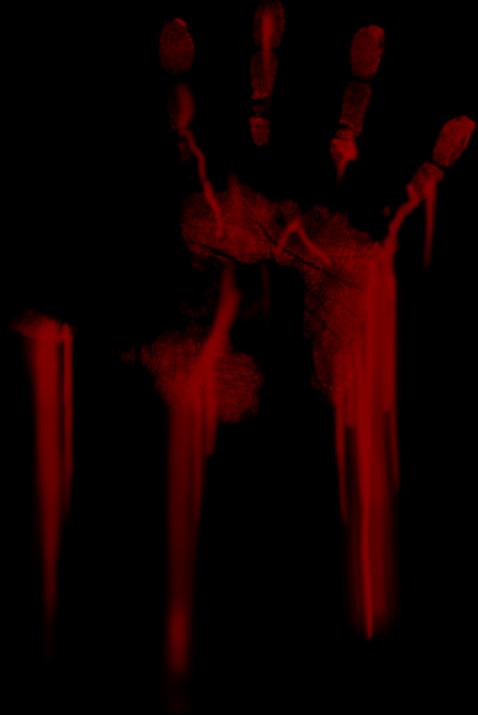
Mam 27 lat, ukończyłem Politologię na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, aktualnie mieszkam i pracuję w Poznaniu. Piszę od wielu lat. Pierwsze opowiadanie grozy popełniłem bodaj w gimnazjum. Mam rozpoczęte dwie powieści i kilka(naście) opowiadań. Potrafię pisać przez osiem godzin bez przerwy, a potem nagle przypomnieć sobie o jedzeniu, piciu i ruchu. Przy życiu podtrzymywany muzyką i kawą.

To już Twój drugi tytuł Hysteryka Miesiąca. Pierwszy zdobyłeś za opowiadanie *Z błękitu w czerń*, drugi za *Maszynistę*. Który tekst cenisz sobie bardziej?

Z błękitu w czerń. Więcej się przy nim napracowałem, jest mi bliższy zarówno klimatycznie jak i tematycznie. Nigdy wcześniej nie pisałem SF wobec czego tym bardziej się cieszę, że moje pierwsze podejście było co najmniej udane.

Obydwa opowiadania pochodzą z konkursów literackich. Co sprawia, że decydujesz się na udział w takich pisarskich zmaganiach?

Lubię pisać i dzielić się tym z innymi. Nie jest łatwo pisać na określony temat i to jeszcze pod presją czasu. To mobilizuje. Wolę poświęcić te kilka(naście) wieczorów na dopracowanie tekstu, niż grać na komputerze. Mam nadzieję, że sukcesów będzie z czasem więcej, co pomoże zaistnieć mi w świadomości czytelników.



Czy masz w planach wydanie własnej antologii?

Raczej nie. Myślę, że łatwiej jest się wybić publikując solidną powieść i w tym kierunku zmierzam. Opowiadania wymyślam przeważnie na konkursy. Natomiast antologia sama w sobie jest świetnym pomysłem na późniejszym etapie twórczości.

Jaki jest Twój ulubiony horror filmowy?

Nie ma jednego ;) *Blair Witch Project*, *Tunele*, *Lake Mungo*, *Coś*, *Lśnienie*, *Obcy*. Te są ulubione. Aha, i jeszcze *It Follows* ;)

E.A. Poe czy H.P. Lovecraft?

Lovecraft. Nie zrozumcie mnie źle, bardzo cenię Poego, tak samo zresztą jak Lovecrafta, ale to jednak dokonania samotnika z Providence zrobiły na mnie większe wrażenie. Jego styl, umiejętność budowania napięcia, mroczna kosmologia - to wszystko dowody geniuszu.



FILM

Dominik Kaniewski-Smulczyk

Ostatni klient wyszedł przed siódmą, udając się na randkę z pornosami, które właśnie wypożyczył. Koleś należał do tego typu osób (facetów), którzy nie uważali swojego hobby za coś anormalnego czy wstydliwego. Michał lubił takich gości, konkretnych i zdecydowanych. Wiedzieli, po co przychodzili, brali to i wracali tam, skąd przyszli. Zdarzali się jednak klienci mniej pewni siebie, którzy wizytę w wypożyczalni płyt DVD traktowali jak randkę z cycatą, długonogą blondynką. Owi nieśmiali, oblewający się rumieńcem mężczyźni potrafili robić z siebie skończonych kretynów w drodze po upragniony film. Jedni twierdzili, że przyszli po pornola dla kolegi, który nie mógł tego zrobić osobiście. Sprawiali przy tym wrażenie zniesmaczonych, lecz wyrozumiałych, w końcu to nie oni obślinają ekran telewizora, na którym wyuzdana siksa będzie świecić gołą dupą. Drudzy, których Michał nazywał

Dezerterami, czaili się tak długo, aż w lokalu zrobiło się pusto. Swoje zamówienie składali szeptem, a po jego zrealizowaniu znikali w okamgnieniu. Byli też tacy (Detektywi), którzy przychodzili w ciemnych płaszczach i w kapeluszach z rondem przysłaniającym oczy. *Incognito*. Tak brzmiało ich motto. Kolejną grupę stanowili Samotni Mężowie, których małżonki przebywały akurat w delegacji, u mamusi albo były po prostu wymysłem napalonych facetów. Mężowie tłumaczyli, że niewinna płytka z nagą babą to tylko środek doraźny, póki ta cholerna delegacja się nie skończy. Do wypożyczalni zachodzili również Dobrzy Ojcowie. Za jednym razem prosili o „Nowe przygody Kubusia Puchatka” oraz „Ostrą jazdę z drapieżną Samantą”. Michał wyobrażał sobie takiego kochanego tatusia, jak przegania bachora sprzed telewizora pod pretekstem późnej godziny tylko po to, żeby zmienić płytę w odtwarzaczu, rozwalić się wygodnie na kanapie zasłanej zabawkami i brandzlować się, czując wpinające się w tyłek samochodziki Hot Wheels.

Z zaplecza wyszedł Jasiiek, drugi pracownik wypożyczalni. Gębę miał obficie obsypaną pryszczami, w dodatku szpeciły ją blizny po młodzieńczym trądziku. Na haczykowatym nosie spoczywały okulary z zatłuszczonymi szklami, za którymi majaczyły rozbiegane zielonkawe oczy. Michał mógłby go zakwalifikować do elitarnej grupy Regularnych Onanistów, robiących *to* przynajmniej trzy razy dziennie – na śniadanie, na obiad i na kolację. Owe pory dnia nie były jednak sztywne, Janek preferował bowiem elastyczny czas dawkowania przyjemności, dlatego zamiast na papierosa, jak to robił Michał, wychodził do toalety na *male co nieco*, po czym wracał na posterunek, by uściskiem dłoni pogratulować klientowi znakomitego wyboru filmu. Jasiiek miał – podobnie zresztą jak Michał – bzika na punkcie kina klasy B. Bo oprócz pornografii drugą wielką pasją Jaśka była przemoc. Krwawy befsztyk i flaki – obu tych potraw nie mogło zabraknąć w każdej porządnej produkcji. Michał musiał przyznać, że jego kolega miał o kinie zdecydowanie większe pojęcie od niego. Chociaż obaj korzystali z dobrodziejstw wypożyczalni, mając możliwość obejrzenia każdego filmu, jaki znaleźli na półkach, to za Jaśkiem przemawiało doświadczenie nabyte podczas pracy w paru kinach. Mając już szesnaście lat, zatrudnił się w kinie pornograficznym jako bileter, skąd wyrzucono go, gdy odkryto jego prawdziwy wiek.

– Zaraz siódma – Michał zabrzączał kluczami. – Pora spieprzać do domu.

– Zamknij lokal – zawołał Jasiiek, znikając na zapleczu. – Muszę jeszcze...

Ostatnie słowo zagłuszył zgrzyt otwieranych drzwi. W progu pojawiła się niska, pulchna kobieta z toną różowego pudru na okrągłej twarzy. Michał westchnął, zamierzając grzecznie przeprosić spóźnioną klientkę, ale ta odezwała się pierwsza.

– Czy zastałam Jana?

Michał obejrzał się.

– Wali konia – odrzekł sucho. – A pani kto?

– Jego mama.

Michał przewrócił oczami.

– Jasiu Złota Rączka – oznajmiła. – Tak wołali na niego w szkole. Jasiu Złota Rączka.

Tylko paradoks polegał na tym, że Jaś miał zarazem dwie lewe ręce. Do wszystkiego. No... może prawie do wszystkiego. Ale na hydraulika na pewno by się nie nadał.

Za to praca w wypożyczalni to jego powołanie, pomyślał Michał i udał się po kolegę. Za chwilę głowa Jaśka wychynęła zza drzwi, zaś oczy rozszerzyły się na widok czekającej matki.

– Co się czerwienisz, jak jakiś zafajdany nastolatek? – zachnęła się, kręcąc z politowaniem głową. – Umyj łapy i chodź tutaj. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Janek spełnił posłusznie matczyne polecenie i stanął przed nią jak przed generałem w oczekiwaniu na kolejny rozkaz. Ale kobieta tylko westchnęła ciężko i rzekła:

– Twój ojciec nie żyje.

Siedzieli w knajpie. Michał myślał początkowo, że wieść o śmierci ojca przygnębi Janka, dlatego zabrał go na parę drinków. Janek jednak nie wyglądał na przybitego. Na jego brzydkiej facjacie malował się wyraz zadumy, przez który prześwitywała ledwie zauważalna wesołość.

– Jak się czujesz? – spytał Michał, przerywając trwające od kilku minut milczenie. Jasek nie odpowiedział od razu. Kiedy w końcu podniósł mętny wzrok znad pustej szklanki, uśmiechnął się lekko.

– Mój stary miał olbrzymią kolekcję pornoli – oświadczył głosem drżącym z podniecenia. – Istne królestwo. Teraz to wszystko będzie moje.

Jaki ojciec, taki syn, pomyślał Michał i zapytał:

– Myślisz, że ojciec zapisał ci tę kolekcję w testamencie?

– Jeżeli nawet nie – Janek wzruszył ramionami – to przecież do grobu jej nie zabierze.

Pewnego dnia, układając na półce filmy z serii „Koszmar z ulicy Wiązów”, przyszedł Michałowi do głowy szalony pomysł. Zrazu poczuł się jak dzieciak, który marzy o tym, żeby zostać strażakiem. Ale do cholery, czy jako dorosły facet nie ma prawa do marzeń? Do tej pory wydawało mu się, że wszystkie jego ambitne plany legły w gruzach po tym, gdy jako szesnastolatek rzucił szkołę. Teraz niepomierne wzburzyło go owe mylne przekonanie, które nosił w sobie od dawna. Czy do końca życia musi ustawiać na półkach cudze filmy? Zapraǳął być jak Tarantino, jak Robert Rodriguez.

Zapraǳął zostać reżyserem.

– Kamera... Akcja!

Czerwona lampka zapłonęła złowrogo. Michał skierował obiektyw na cukiernię, przed którą stali dwaj zamaskowani mężczyźni. Jeden z nich, pan Blond, zaśmiał się w duchu, obserwując, jak ze sklepu wytacza się brzuchaty policjant z lukrowanym pączkiem w jednej ręce i z papierową torebką w drugiej. Gliniarz ruszył w stronę parkingu znajdującego się po drugiej stronie wieżowca, za rogiem kamienicy, gdzie jego partner czekał na świeże ciastka w policyjnym radiowozie. Był zbyt zaaferowany swoim pączkiem, by zauważyć, jak para napastników podąża w ślad za nim. Gdy wszedł w wąskie przejście pod wieżowcem, jeden z nich wyciągnął zza pazuchy kawałek ułamanego kija od szczotki (gumowego fiuta zakupionego w sex shopie na potrzeby filmu) i rąbnął nim grubasa w potylicę. Torebka wypadła mu z ręki i kilka pierników rozsypało się na chodniku. Facet w kominiarce ponowił uderzenie i tym razem stukilowe cielsko w granatowym mundurze runęło jak długie u stóp bandziorów.

Michał patrzył przez wizjer kamery, jak dwaj mężczyźni związują ofierze ręce i ciągną ją do samochodu, w którym siedział. Wypadało mieć nadzieję, że nikt niczego nie zauważy i nie podniesie alarmu, póki nie odjadą. Nagle auto zachybotało się niebezpiecznie, gdy tłuścioch wylądował w bagażniku. Po chwili do pojazdu wsiedli napastnicy i ściągnęli kominiarki.

– Cięcie! – Michał wyłączył kamerę. – Mamy pierwszą scenę. Dobra robota, chłopaki!

Jasiek zachichotał na tylnym siedzeniu. Rudzielec, jakiś znajomy Janka z Klubu Koniobijców, który przyjął rolę w ich filmie, nie odezwał się słowem. Michał odpalił silnik i zawołał:

– To be continued!

Kiedy dojechali na miejsce, którym wprawdzie nie było studio filmowe, a opuszczone magazyny pod miastem, policjant odzyskał świadomość. Janek i Rudy z wielkim trudem wyciągnęli go z bagażnika, który cuchnął teraz świeżymi wymiocinami. Grubas wylądował na piaszczystym podjeździe. Jasiek wpadł na pomysł, że łatwiej będzie im ciągnąć go na prowizorycznej smyczy. Zamocowali mu zatem pętlę na grubej szyi i chwycili za koniec sznura. Gliniarz wydał z siebie serię nieartykułowanych odgłosów. Chciał złapać za postronek wrzynający mu się w tłuste ciało, ale z bólem uprzytomnił sobie, że ręce również ma skrępowane. Począł rzeźzić, charkotać jak zarzynana świnia (GRUBA, TŁUSTA ŚWINIA), rozpylając dokoła kropelki śliny. Po brodzie, umazanej zaschniętą marmoladą, spływała mu strużka szafranowej wydzieliny. Michał zbliżył obiektyw do jego twarzy, która przybrała śliwkową barwę, by uchwycić wylazące z orbit oczy. Mógłby się założyć, że zaraz wypłyną z oczodołów jak dwa żółtka i ściekną wprost do ust, rozpaczliwie chwytających powietrze.

Ostatnie ujęcie tej sceny ukazywało parę wierzgających dziko stóp, znikających w mrocznej bramie magazynu.

Gliniarz, przywiązany do chwiejącego się krzesła, przesunął nieprzytomnym wzrokiem po trzyosobowej ekipie filmowej. Reżyser i operator zarazem głowił się nad kolejnym kadrem, a dwaj aktorzy przygotowywali się do swojej roli. Jeden z nich dzierżył gumowego penisa.

– Zakneblujcie go – polecił Michał. – Macie szmatę?

– Po co nam szmata? – W oczach Janka zatańczyły iskierki szaleństwa. – Mam inny pomysł.

Cisnął gadżet z sex shopu w kąt sali, a policjant odetchnął z ulgą. Przedwcześnie.

W ręku okularnika zaśniło ostrze noża (do zarzynania ŚWIŃ).

Szpic noża połaskotał drżące usta grubasa, po czym wślizgnął się subtelnie do jego jamy ustnej. Janek dźwignął za pomocą płaza górną wargę, dzięki czemu widział każdy zepsuty ząb.

– Za dużo ciastek – syknął, dokonując przeglądu jego uzębienia, jakby znajdowali się w gabinecie stomatologicznym. Druga ręka Janka powędrowała ku szczęce gliniarza, ostrze ustąpiło miejsca palcom, które zacisnęły się na wijącym się jak piskorz języku i szarpnęły go gwałtownie. Michał nie mógł się nadziwić wielkości oczu, które znowu sprawiały wrażenie, jakby chciały opuścić swe ramy. Wiedział jednak, że to nie oczy są bohaterem tej sceny. Skierował obiektyw na język ściskany w garści Janka. Po jego nadgarstku spływał strumyczek gęstej śliny, niknąc pod rękawem flanelowej koszuli.

Policjant zaskowyczał jak pies (JAK PIES!), gdy nie tyle zobaczył, ile poczuł, jak kuchenny nóż obrzyna jego najukochańszy jęczyczek. Już nigdy nie poczujesz smaku toffee czy truskawkowej marmolady, tłusty wieprzu! Twoje życie traci właśnie sens, jeszcze go całkowicie nie straciło, ale TRACI. Nieuchronnie i bezpowrotnie.

W pustym magazynie rozległo się echo kropel krwi rozbijających się o betonową podłogę. Chwilę później język pomknął w dół, ciągnąc za sobą ogon purpury. Dygotał przez moment na zakurzonej podłodze, jakby w pośmiertnych konwulsjach, aż w końcu zastygł niczym ślimak na rozgrzanej asfaltowej jezdni.

Knebel w wykonaniu Janka okazał się szalenie skuteczny. Grubas milczał jak grób.

Przerwa w zdjęciach do filmu trwała godzinę. Gdy Michał wrócił na plan, zdał sobie sprawę z tego, że pod jego nieobecność Janek i Rudy dokonali trwałych zmian w scenariuszu. Aby się przekonać jak bardzo były trwałe, wystarczyło spojrzeć na postać w poplamionym mundurze.

Niesamowite oczy, którymi zachwycał się Michał, dopięły swego i wyszły. Karminowe smugi ciągnące się wzdłuż pulchnych policzków i czerniejące skrzepy zalegające w pustych oczodołach zdradzały subtelnie bliższą znajomość z Doktorem Skalpelem.

– Pierdolony Jurand!

Michał wybuchnął obłąkańczym śmiechem. Osunął się na kolana, a potem zaczął się wręcz tarzać ze śmiechu w kałuży krwi i moczu, która okalała grubasa. Wreszcie jednak się opamiętał i złapał za kamerę.

Jasiek chwycił metalowymi szczypcami okrągły węgielek – taki, jakim rozpalano kadzidło podczas kościelnych nabożeństw – a Rudy podłożył pod niego płonąca zapalną. Janek dmuchnął, ile sił w płucach, wskutek czego chmura iskier wzbiła się ku górze, a węgielek rozgorzał jaskrawo pomarańczowym blaskiem.

– Będziesz miał zajebiste oczy – powiedział Janek jadowitym tonem. – Dopóki się nie wypalą.

Następnie wyciągnął rękę ze szczypcami w stronę gliniarza. Węgielek skwierczał złowieszczo, zbliżając się ku pustej zapadlinie nieco ponad kością jarzmową. W końcu, z upiornym sykiem, wtopił się w ciemny otwór po lewym oku, a głowa policjanta poderwała się gwałtownie. Okrąg płonącego światła wytapiał czarny skrzep, który ciurkiem spłynął ku szkarłatnym ustom. W powietrzu zagościła mdła woń przysmażanej skóry. Wydawało się, iż rozżarzony węgielek wsiąka w czaszkę i zaraz zniknie tuż pod zlasowanym mózgiem.

Finałowa scena miała się rozegrać na tyłach magazynu, gdzie Rudy od dłuższego czasu pracował zawzięcie łopatając niczym wprawny grabarz. Michał zastanawiał się jeszcze nad atrakcjami, jakie miałyby tam spotkać grubasa poza różnej maści robactwem. Tymczasem filmował, jak Janek przecina sznury krępujące policjanta, który postanowił sobie uciąć komara. Musiał być wyczerpany swoją rolą. Michał zdecydował, aby zabandażować mu oczy (OCZY), gdyż uznał niesympatyczny widok nagich kości za niesprzyjający komfortowi dalszej pracy.

Skrawki sznura opadły na podłogę. Ciało policjanta przechyliło się niebezpiecznie do przodu, lecz nim zdążyło runąć z krzesła, wpadło w objęcia Janka. I wtedy się zaczęło.

Nagle Jasiek zdał sobie sprawę, że to nie on przytrzymuje grubasa, lecz grubas jego. Poczł palce zaciskające mu się na biodrach i ogromny ciężar ściągający go w dół. Nóż wyleciał z ręki i upadł z brzękiem. Napór był zbyt silny. Twarz Janka przybrała kolor dojrzałych wiśni, nogi się pod nim ugięły i zwałił się na plecy jak kłoda pod ciężarem policjanta. Próbował się spod niego wysunąć, ale wtedy grubas wiedziony jakimś szóstym zmysłem, a może po prostu wyostrzonym słuchem, chwycił leżący obok nóż, uniósł go nad głowę drżącą ręką i opuścił momentalnie.

Z gardła Janka dobył się upiorny wrzask, początkowo pełen zaskoczenia, a za chwilę niewyobrażalnego bólu. Gliniarz wyszarpnął nóż z jego brzucha i ugodził ponownie.

Prosto w przyrodzenie.

Janek począł się trząść spazmatycznie, rycząc jak zarzynane prosię.

Role się odwróciły! I co teraz powiesz, pieprzony zbrojeńcu? Już nigdy więcej sobie nie strzepiesz. Twojego Freda już nie ma! Słyszysz? Zabawa skończona. To koniec! Koniec...

Huknęło i tętnica grubasa eksplodowała profuzją krwi. Janek opuścił pistolet. Wypluł z ust to, co jeszcze przed chwilą krążyło w żyłach policjanta. Spojrzał z trwogą na rosnącą wokół ostrza purpurową plamę na jego spodniach. Czuł, jak zaszlachtowane genitalia pływają w posoce wypełniającej jego gacie niczym śliwki w kompocie domowej roboty. Ten skurwiel go załatwił!

Machinalnie przystawił sobie lufę pistoletu do skroni.

Krwawa miazga plunęła na szklany obiektyw kamery. Michał zamarł na chwilę. Oblizwał usta z resztek mózgu i przetarł rękawem zbroczone posoką oczy.

– To będzie hit!

Nagle usłyszał warkot silnika, a potem czyjeś kroki na piaszczystym podjeździe.

– O kurwa...

Paweł patrzył ze śmiertelnym przerażeniem na ekranik kamery. Scena po scenie, jedna gorsza od drugiej, każda kolejna coraz bardziej krwawa. Czuł nieprzyjemny skurcz w żołądku i wymiociny podchodzące do gardła. Nie był jednak w stanie wstać i pójść do łazienki. Jeśli to się okaże konieczne, zwymiotuje na ten pieprzony ekran.

Widział napaść na jakiegoś policjanta, jego porwanie, uwięzienie w pustym magazynie i straszliwe tortury: język, oczy, szamotanina, strzały... I krew, dużo krwi.

Ostatnie ujęcie ukazywało dokładnie taki stan rzeczy, jaki zastał, gdy przyjechał na miejsce: dwa ciała unurzane w posoce, jedno z nich bestialsko okaleczone. Dzięki filmowi wiedział, jak do tego wszystkiego doszło.

Przeklinał się w duchu, że tam dzisiaj pojechał. Opuszczone magazyny były idealnym miejscem do przechowywania rzeczy, których nie chciałbyś, aby zostały przez policję znalezione w twoim domu. Paweł w najgorszych koszmarach nie podejrzewał, że na miejscu znajdzie ofiary krwawej masakry... i coś jeszcze.

Kamerę. Zwykła, niewielka kamera firmy Sony mrugała na czerwono z odległego kąta magazynowej sali. Paweł dostrzegł na niej rysę, która była pewnie efektem upadku. Teraz

ganił się za to, że zabrał ją do domu i odtworzył nagrany film. Ze strachem zdał sobie również sprawę z kłopotów, w jakie się wpakował.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Paweł poderwał się na równe nogi i przełknął głośno ślinę. *Gliny już tu są... Przyjechali po mnie!* Z rozkołatanim sercem i duszą na ramieniu zbliżył się do drzwi frontowych. Położył drżącą rękę na klamce. Zawahał się. Nie uda mu się wymknąć. Musi to zrobić, nie ma wyjścia.

Odkręcił zamek i otworzył drzwi.

W progu stało dwóch robotników w wysłużonych kombinezonach.

– Dobry – przywitał się pierwszy z mężczyzn, unosząc nieznacznie daszek czapki z logo firmy budowlanej. – Jesteśmy zgodnie z umową.

– Przepraszam, panowie – Paweł odetchnął z ulgą. – Musiała zajść jakaś pomyłka...

Nim zdążył się wytłumaczyć, budowlańcy minęli go i weszli do środka. Paweł parsknął śmiechem, trzasnął drzwiami i podszedł do mężczyzn.

– Panowie, pomyliliście mieszkania. Może to sąsiad z góry...

– Cieszymy się – Mężczyzna, który go przywitał, rozejrzał się po mieszkaniu, a drugi z robotników otworzył skrzynię z narzędziami i zaczął w niej grzebać – że postanowił pan wziąć udział w naszym filmie.

Paweł zamarł. Facet ze skrzynią zdjął czapkę. Rude włosy...

– Dziękuję za opiekę nad kamerą – Pierwszy z mężczyzn podniósł ją ze stolika. – Tak nas pan przestraszył, że wypuściłem ją z rąk. Całe szczęście, że pojechaliśmy za panem i możemy odebrać naszą własność... i nakręcić scenę w pańskim mieszkaniu.

Paweł przypomniał sobie zdezelowanego Forda zaparkowanego niedbale przed bramą magazynów. Rudzielec podłączył do gniazdka wyjętą ze skrzyni wyrzynarkę i nacisnął włącznik. Brzeczot rozszalał się w zapalczym tańcu pośród rozdierającej muzyki.

Paweł stał jak skamieniały. Świdrujący pisk wdzierał mu się boleśnie do uszu. W końcu urządzenie ucichło.

– Nazywam się Boć. Michał Boć. A ten film zdobędzie Oscara – Reżyser skierował obiektyw na Pawła. – Będzie pan sławny!

Na dywanie nasiąkniętym krwią spoczywały rozczłonkowane zwłoki. Nieruchome ciało naznaczone było licznymi ranami ciętymi, z których sączyły się kręte czerwone strumyczki. Głowa, nienaturalnie przekrzywiona na bok, leżała poza dywanem, na jasnym

parkiecie, a spod przylegającego do podłogi policzka wyrastał purpurowy okrąg. Plamki krwi zdobiły rude włosy, czyniąc je ognistymi.

Paweł stał nad zmasakrowanymi zwłokami, oddychając ciężko. Był zmęczony i wściekły. Pot na twarzy mieszał się z krwią. Patrzył nieobecny wzrokiem na dzieło, którego dokonał, próbując odtworzyć sobie w pamięci to, co przed chwilą zaszło. Przy jego nodze leżała siekiera. Machał nią, walił na oślep w dzikiej pasji, rąbał tego rudzielca nawet wtedy, gdy ten runął na podłogę bezwładnie niczym kukła. Jednak nie potrafił sobie przypomnieć, jakim sposobem broń trafiła w jego ręce. Być może przywiózł ją z działki, a być może przynieśli ją ci dwaj goście. To nie było istotne. Istotne było to, co wydarzyło się potem. Gdy dotarła do niego groza dokonanego czynu, zaczął usprawiedliwiać się koniecznością obrony przed psychopatami, którzy wtargnęli do jego mieszkania ze skrzynią pełną potencjalnych narzędzi tortur. Ale prawda była taka, że główną przyczyną było nagranie z kamery. Mordując, Paweł miał przed oczami bestialsko oprawioną postać grubego policjanta w magazynowej hali. Pracował zapamiętane siekierą, podsycany sforą negatywnych emocji: strachem, wściekłością, nienawiścią, cierpieniem. Coś w nim pękło. Puściły hamulce. Stał się bezradny, stał się narzędziem w rękach diabła.

Obrzucił spojrzeniem ścianę spryskaną krwią, poplamioną sofę, przewróconą lampę i pobrużdżoną podłogę. Teraz na pewno przydałby się remont, pomyślał sarkastycznie. Uzmysłowił sobie, że wyrzynarka nadal jest włączona i wypełnia pomieszczenie świdrującym dźwiękiem. Dziwne, że szaleństwo, które go ogarnęło, jakby wyłączyło zmysły. Nawet nie słyszał hałasu, jaki wydawało urządzenie. Podeszedł do kontaktu i wyciągnął wtyczkę. Zapanowała błoga cisza. Paweł odwrócił się. Fałszywy robotnik z kamerą nadal tu był i ani myślał uciekać. Na jego twarzy malował się wyraz chorobliwego podniecenia. Czerwona dioda świeciła ponuro.

Ta kurwa ciągle się gapi! Tyle już dzisiaj widziała i jeszcze nie miała dość. Paweł patrzył prosto w obiektyw, widział swoje zniekształcone odbicie na ciemnym szkle. Zaciśnął pięści.

– To było fantastyczne – Ręce mężczyzny drżały, gdy zwrócił kamerę ku trupowi. – Co prawda scenariusz był inny, ale ufam moim aktorom i daję im dużo swobody na planie, pozwalam na improwizację. Ma pan wielki talent. Ta szczerość, ta prawdziwość...

Stęknął, wypuszczając z ręki kamerę, która upadła głucho na dywan. Osunął się na kolana i złapał za brzuch. Z twarzy znikła dzika fascynacja, zamiast tego zagościł na niej grymas bólu. Paweł trzymał siekierę. Cios obuchem w podbrzusze nie był silny, ale wystarczył, by pozbawić pana reżysera oddechu. Ten łapał ustami powietrze i kulił się na

podłódze. Po chwili wyciągnął rękę w stronę kamery, ale Paweł powstrzymał go, przygniatając dłoń podeszwą buta. Mężczyzna pisnął. Wyrwał się i przyjrzał ręce, jakby chcąc się upewnić, czy wszystkie kości są całe. Paweł złapał pewnie trzonek siekiery. Spoglądał na płaszczącą się u jego stóp kreaturę. Wiedział, jak to musi się skończyć. Obaj wiedzieli. Nie było innego wyboru.

– Dobrze – wysapał facet w roboczym ubraniu. – Zrób to. Niech to będzie spektakularny koniec mojej kariery. Mam tylko prośbę. Nagraj to, nagraj tę ostatnią scenę. Skończ mój film. Żeby ludzie go obejrżeli, żeby pamiętali...

Paweł schylił się i podniósł kamerę z mrugającą lampką. Na ten widok Michał rozpromienił się, jego oczy zaśniły. Obserwował z wyraźnym zadowoleniem, jak Paweł obraca kamerę w dłoni, jak dotyka przycisk zoomu i jak filmuje coś na przeciwległej ścianie. A potem podnosi kamerę nad głowę, bierze zamach... i ciska nią z całej siły w okno. Brzęk tłuczonej szyby zlał się z przeraźliwym wrzaskiem Michała, wrzaskiem pełnym niewyobrażalnej rozpacz i cierpienia. Nawet rudy tak nie krzyczał, kiedy ginął od ciosów siekierą, nawet gliniarz na filmie... Choć trudno było krzyżeć, nie mając języka w gębie.

Michał dźwignął się na równe nogi, pragnąc rzucić się ku oknu, za którym zniknęła kamera, za którym zniknął jego film i cała jego kariera. Paweł nie zamierzał pozwolić mu na oplakiwanie utraconej sławy. Rąbnął go znowu głowicą siekiery w brzuch, tym razem zdecydowanie mocniej.

– Trzeba dokończyć remont – Paweł wcisnął wtyczkę do gniazdka i uruchomił wyrzynarkę.

Andrzej Maliniak spod dwudziestki na szóstym piętrze siedział w fotelu przed telewizorem z puszką piwa w ręce i klął na idiotę, któremu zebrało się na remont w to spokojne piątkowe popołudnie.



GRANICA

Adam Loraj

Dla Basi

I.

Stoję na krawędzi, tuż przede mną roztacza się niebyt, pustka, granica świata. Czubek buta ściera się z sięgającą nieba ścianą czerni. Wystarczy, bym zrobił zaledwie jeden niewielki krok, a znalazłbym się po drugiej stronie. Oddycham miarowo powietrzem, które drażni płuca. Uśmiecham się delikatnie, unosząc kąciki ust. W gruncie rzeczy wiem, że tego nie zrobię. Nie boję się, ale zwyczajnie wstrzymuje mnie wiedza, co takiego naprawdę rozciąga się tam dalej. Wypalam papierosa i rzucam go przed siebie. Pet zostaje pochłonięty przez pustkę. Wypuszczam obłok dymu.

Odwracam się na pięcie, moje plecy ocierają się o chłód czarnej ściany. Robię stanowczy krok i stopniowo oddalam się od Granicy. Przed sobą mam niewielki budynek o szarych od smogu ścianach. Nie powinienem wychodzić bez filtra, ale co on mi da, skoro palę regularnie od przeszło dziesięciu lat. Wchodzę do mojego miejsca pracy. Witam się ze strażnikiem, który stoi przy drzwiach i obserwuje przetaczających się przed szybą ludzi. Ci kotłują się, czekając aż okienko zostanie otwarte. Biorę z wieszaka zieloną czapeczkę i zasiadam na skórzanym fotelu. Przybieram wymuszony uśmiech i poprawiam garnitur.

Pierwszą osobą, której udaje się dopchać do okienka jest mężczyzna w sile wieku. Według dokumentów: Krzysztof Portys. Najpierw sprawdzam, czy dokument jest aby na pewno prawdziwy. Pieczęć Metropolii fluoryzuje, chip reaguje na sygnał.

— Wszystko w porządku. Proszę jeszcze okazać przepustkę — odzywam się przyjaźnie. Pan Krzysztof uspokaja się, widoczne rumieńce powoli schodzą z jego policzków. Podaje mi plik sześciu kartek i niewielką książeczkę w skórzanej okładce. Na każdej stronie, jak i na grzbiecie książeczki widnieje pieczęć Metropolii. Przeglądam je od niechcenia. Nie interesuje mnie ich prawdziwość. Mam polecenie przepuszczać każdego, kto tylko chce przejść.

— Wszystko w porządku — informuję, oddając wszystkie zebrane dokumenty. Wcisnęłam zielony guziczek, a czerwono-biały szlaban wznosi się ku górze. Mężczyzna przechodzi z szerokim, szczerym uśmiechem. Zastanawia mnie, co takiego myśli w takich sytuacjach człowiek? Planuje swoje nowe życie w lepszym świecie? A może boi się zmiany, która go czeka? Może myśli, że podjął decyzje zbyt pochopnie. Nie, z pewnością nie. Wystarczy spojrzeć na lśniące od łez oczy pana Krzysztofa. Pokłada wielkie nadzieje w przedostaniu się przez Granicę. Zatrzymuje się na krańcu asfaltowej drogi i patrzy przed siebie na ścianę pustki. Domyślam się, że strażnicy przy monitoringu obstawiają, czy stchórzy. Wreszcie robi krok. Zamyka przy tym oczy, wiele osób tak robi. Przenoszę wzrok na kolejną osobę, młodą dziewczynę, może dwudziestoletnią. Ubrana jest w zwiewną, białą sukienkę, niepasującą do tego miejsca. Takie dziewczęta widzi się wokół Parku Centralnego bądź Akademii Przyszłości, ale nie tutaj! Uśmiecha się do mnie, co tym bardziej porusza delikatne struny żalu. Szkoda mi jej, ale nic nie mogę uczynić. Ostatnio coraz więcej młodych osób opuszcza Metropolię.

Kiwam głową i rzucam sympatyczne *dzień dobry*. Pragnę, by później wracała do tego wspomnienia jak najczęściej.

— Proszę dokumenty. — Posłusznie podaje mi je. Barbara Karszyk. Zapamiętuję personalia. Dalsza kontrola przebiega zgodnie z procedurami. Sprawdzam autentyczność dokumentów, pytam o przepustkę. Podnoszę szlaban i przepuszczam dziewczynę. Ta jednak stoi w miejscu. Niepewnie patrzy w stronę czarnej ściany.

— A pan... — Pochyliła się, prawie szorując zgrabnym noskiem o szybę. — Panie Amadeuszu... — Wyczytuje imię z plakietki zawieszanej na piersi. Wydaje mi się, że śmieszy ją moje imię. Unoszę brwi, oczekując na dokończenie pytania. — Chciałby pan przejść przez Granicę i zobaczyć świat na zewnątrz?

Rozglądam się na boki. Póki co nikt nie reaguje na stojącą znacznie dłużej dziewczynę.

— Już ten świat widziałem. Wolę pozostać tutaj — odpowiadam zgodnie z prawdą. Basia kiwa głową z szeroko otwartymi oczyma. Wydaje się nie wierzyć w moje słowa. Odchodzi, ale po dwóch krokach odwraca się ku mnie i macha. Słyszę, jak strażnik za mną się porusza. Uspakajam go niedostrzegalnym dla ludzi na zewnątrz gestem. Funkcjonariusz po przeciwnej stronie drogi również przepuszcza urodziwą brunetkę. Ta jednak nie zwraca już uwagi na Metropolię, piętzącą się za nią. Rusza biegiem i wskakuje do pustki. Wzdycham ciężko.

Kolejne osoby zlewają mi się w jedną szarą masę. Jeden twór prezentuje wszystkich przyjętych dzisiejszego dnia wyjeżdżających. Frankenstein ma haczykowany nos, krzywe usta częściowo się uśmiechające, a częściowo smutne. Ogolony jest nieregularnie, gdzieś błyszczą łyse placki, a w innych miejscach skórę głowy pokrywają bujne, kruczoczarne włosy. Sylwetkę ma wątłą, jest zgarbiony i śmierdzi, a twarz jego wykrzywiona pozostaje w nieznanym grymasie. Wyłącznie Krzysztof i Basia stanowią osobne istoty, ustawione tuż za stworem powstałym z szarej masy. Wracając do domu w pamięci będzie mi brzęczało pytanie zadane przez dziewczynę.

Przekręciłem klucz w zamku. Powitały mnie puste cztery ściany. Państwowe mieszkanie było przestronne, ale chłodne. Ceglane mury pozbawione tynku, proste meble, puste regały i szafa, w której znaleźć można było wyłącznie cztery garnitury do pracy. Łóżko znajdowało się tuż pod oknem, dzięki czemu w każdy poranek promienie słońca padały na moją twarz.

Rozebrałem się do majtek i przeszedłem do kuchni. Z lodówki wyciągnąłem zieloną butelkę piwa. Czekał mnie trzydniowy weekend i sześć sześciopaków. Ległem na łóżko, włączyłem telewizor naścienny. Emitowano wiadomości. W lewym dolnym rogu podawano liczbę nowo narodzonych obywateli Metropolii, a po przeciwległej stronie drugą, przedstawiającą wyjezdnych. Była ona znacznie mniejsza niż w rzeczywistości. Później nastąpiła krótka przerwa na reklamy. Po jej zakończeniu przemówił znany konserwatywny polityk o sporym brzu-

chu, krytykujący agresywnym tonem wszystkich, którzy tylko pomyślą o odejściu z Metropolii. Przełączyłem na kanał rozrywkowy, gdzie właśnie leciał kabaret.

Sąsiad, policjant, wrócił, co dało się rozpoznać po dość głośnej rozmowie z żoną. Pogościłem telewizor i dopiłem zawartość butelki. Odleciałem koło północy, zaraz przed tym, jak żona sąsiada zaczęła wołać o pomoc.

Odkąd zacząłem pracę jako państwowy funkcjonariusz, znienawidziłem sny, a pokochołem błogo rozciągającą się ciemność, która kończyła się po otwarciu oczu. W sennych majakach ukazywali mi się wyjeżdżający. Zazwyczaj mieli oni twarze członków mojej rodziny, a w szczególności byłej żony, która ostatecznie także zdecydowała się opuścić Metropolię. Gdy tylko Eliza zjawia się w moich snach, budzę się z krzykiem. Na takie sytuacje trzymam butelkę wódki pod łóżkiem. Alkohol, choć nie powodował zaniku problemu, to skutecznie go głuszył, dzięki czemu w spokoju mogłem dotrzeć do poranka.

Nienawidzę dni wolnych, ale według lekarzy każdy z funkcjonariuszy nie powinien przekraczać czterech dni pracy z rzędu. Koło południa wychodzę biegać. Ludzie patrzą na mnie z zazdrością zza szyb sklepów i fabryk. Wdycham filtrowane powietrze. Docieram do Parku Centralnego, gdzie przechadzają się inni funkcjonariusze. Znam tu prawie każdego, witamy się skinieniem głowy lub nieznacznym gestem dłoni. Zdyszany siadam na ławeczce przed fontanną. Marmurowa rzeźba wypływa szarą wodę w powietrze. Pamiętam czasy, gdy przychodziłem tu z Elizą, podziwialiśmy wtedy tęczę malującą się nad posągiem. Wracam po godzinie i biorę prysznic. Resztę dnia spędzam w łóżku, oglądam telewizję, nadrabiając zaległości w tym, co takiego ostatnio wydarzyło się w Metropolii. Grupa radykałów demonstrowała przed gmachem władz, domagając się zniesienia Granicy. Otworzono nową szkołę na obrzeżach. Newsem dnia było rozbiecie przez policję grupy złodziei. Wieczorem otworzyłem butelkę piwa.

Sąsiad wrócił do mieszkania. Jego żona znów zaczęła krzyczeć, zagłuszając przyjemny głos urodziwej reporterki. Zrezygnowany poszedłem spać znacznie wcześniej niż zazwyczaj. Ostatni dzień weekendu rozpocząłem od mszy w kościele Wszystkowiedzącego Boga Naszego, resztę wolnego postanowiłem spędzić nad alkoholem, który mi pozostał. Sześciopak leżał sobie pod łóżkiem. Sięgałem po kolejne butelki.

Rutyna pozostawała niezachwiana. Otula mnie przyjemna ciemność, którą tak kocham.

Budzę się wcześnie rano, gdy za szybami jest jeszcze ciemno. Głowa nieprzyjemnie pulsuje. Stawiam nogi na podłodze, puste butelki brzęczą, wprawione w ruch. Jedna toczy się pod same drzwi. Wstaję chwiejnie. Zbieram się do pracy. Biorę długi prysznic, mający spłu-

kać ze mnie kaca. Częściowo się udaje. Ubieram doskonale skrojony garnitur i sprawdzam, czy nie zapomniałem niczego wziąć: portfel, przepustka, telefon. Układam jeszcze z butelek szereg pod ścianą. Po powrocie z pracy nie powinno już ich być. Wychodzę przed próg. Na klatce panuje dojmująca cisza. Chłód koi rozpalone skronie.

Drzwi do mieszkania sąsiada są otwarte na oścież. W pomieszczeniu kręcą się policjanci. Przelykam narastającą w gardle gulę. Jeden z nich spogląda na mnie, zaczyna się zbliżać. Powolnym ruchem wydobywam przepustkę i pokazuję ją nim zdąży się odezwać. Zatrzymuje się w pół kroku, odwraca na pięcie i odchodzi. Na półpiętrze stoi dwójka starych funkcjonariuszy, już dawno emerytów. Rozmawiają pomiędzy sobą, niechętnie spoglądają na mnie i ścisząją głosy. Przechodzę obok wyostrzając słuch, chcąc posłyszeć, o czym dywagują sąsiedzi z piętra niżej. Jestem pewien, że mówią o policji. Podsluchuję wyłącznie cztery słowa: *zona, krzyczała i nie wytrzymała*. Skinąłem, domyślając się, co takiego musiało wydarzyć się w czasie mojego snu.

II.

Pierwszy dzień po weekendzie nigdy nie jest łatwy. Wchodząc do budki czuję się jak więzień. Siadam na skórzanym fotelu, zakładam czapeczkę. Jest duszno, wsuwam palec pod krawat i delikatnie go luzuję. Pierwsi wyjeżdżający ustawili się już godzinę temu przy szlabanie. Przyjmuję kolejne osoby. Tym razem nikt nie pozostaje na dłużej w mojej pamięci. Ich sylwetki zlewają się w pozbawioną cech charakterystycznych szarą masę. Ale może to przez kaca, który wciąż zaznacza swoją obecność poprzez spowalnianie ciała. Oddaję dokumenty. Kolejna osoba, następna, i tak przez godzinę.

Do budki wpada funkcjonariusz, cały czerwony na twarzy. Staje jak na baczność tuż za moimi plecami. Pochyla się, na uchu czuję jego oddech.

— Wzywają na dół. Stanę za ciebie.

Kończę odprawiać starszą kobietę i zwalniam miejsce koledze.

Wychodzę z budki i przechodzę do głównego gmachu. Dominuje tu biel marmuru. Flagi Metropolii rozciągają się na całą wysokość ścian. Filary tworzą dwa rzędy, a pomiędzy poszczególnymi stoją wartownicy w czarnych mundurach. Przy pasie zwisają pistolety w kaburach. Kiwam do tych z wyższą rangą, ci odpowiadają. Chwilę czekam na windę.

Wciskam guzik oznaczony piątką. Winda rusza w dół na najniższe piętro podziemnego kompleksu. Jakby dla kontrastu z głośników sączy się radosna melodyjka, umilająca czas jazdy. Wychodzę do rozległej sali, z której rozchodzi się wiele bliźniaczych korytarzy. Znam

ich rozmieszczenie na pamięć, wybieram ten naprzeciw mnie. Funkcjonariusze w ogóle nie zwracają na mnie uwagi. Zajęci są swoimi obowiązkami. W korytarzu słychać ciche dudnienie. Zmierzam do centrum Metropolii, pod sam Parlament. Lewa ściana promieniuje ciepłem. Delikatnie muskam stal, uśmiecham się wiedząc, co się za nią znajduje. Staje przed metalowymi wrotami, nie przecinam jednak linii wyznaczonej przez czujniki ruchu. Poprawiam garnitur i podciągam krawat pod samą szyję. Wyrównuję oddech. Drzwi rozsuwają się. Wchodzę do przestronnej komory, pachnie tu octem. Osiem kroków do przodu. Posadzka ma kształt pierścienia, środek jest pusty. Na wysokości mojej twarzy wznosi się ogromne Oko o setkach macek rozchodzących się po bokach, te rozgałęziają się na tysiące innych. Jedna potężna macka wznosi się ku górze, wchodząc w segment gmachu Parlamentu. Oko ma granatową tęczę, a zamiast rzęs czarne szpony. Moja sylwetka odbija się od lśniącej tkanki. Oko mruga, posyłając podmuch. Wydaje mi się, że uśmiecha się ono do mnie, chociaż to niemożliwe. Wpatruje się prosto we mnie, czuję się malutki. Zimna kropla potu spływa pomiędzy łopatkami. W butach jakby wybuchają wulkany, tak jest mi gorąco. Pochylam głowę na znak uległości.

— Wzywałś... — mówię spokojnym głosem.

— Dobrze się spisujesz — odzywa się w mojej głowie. — Zaslugujesz na awans... — Kolejne słowa przepływają przez mój umysł jak wodospad. Ich znaczenie jednak dociera do mnie z zdwojoną siłą. Byłem najbardziej efektywnym funkcjonariuszem, przepuszczałem najwięcej przejeżdżających i nigdy nie było ze mną problemów. Nawet po odejściu żony. Stoję, słuchając pochwał, a w pamięci ukazują mi się kolejno minione weekendy z butelką wódki bądź twarze tych, którzy wryli się w moją podświadomość. *Służę Metropolii*, powtarzam pomiędzy zdaniami brzmiącymi w umyśle.

Wychodzę z komory, a później przechadzam się bocznymi korytarzami. Docieram pod elektrownię zasilającą całą Metropolię. Podziemna komora przypomina szpital. Tysiące szklanych kapsuł stoi w szeregu niczym regulaminowy żołnierz. Za szybami spoczywają ci, którzy chcieli wyjechać. Z ust wystają im wąskie, przezroczyste słomki wypełnione czerwonym płynem. Wyrastają one z macki zawieszonych pod sufitem. Wyjeżdżający oddychają ledwo widocznie, para skrapla się na powierzchni szyb. Pragnęli opuścić Metropolię, swój dom, swoje miejsce. Nie chcieli pracować dla dobra wszystkich, więc zasługiwali na drugą szansę, na odpokutowanie swego grzechu: egoizmu. Przechodzę naprzeciw metalowych puszek przypominających trumny, przyglądam się każdej osobie. *Gdzieś tu powinna się znajdować*, myślę.

Jest. Barbara Karszyk, jeżeli pamięć mnie nie myli. Jej cera stała się znacznie bledsza, a skóra zaczynała zwisać na kościach policzkowych. Patrząc na numer, którym opatrzony jest *nowy świat* dziewczyny: czterdzieści siedem. Wcześniej leżała tutaj moja była żona. Przychodziłem do niej codziennie, aż całkowicie nie oddała się Metropolii i Oku, które widzi wszystko. I teraz każdego dnia mam zamiar przychodzić do Basi, dopóki nie zmyje swojego grzechu.

Odruchowo sięgam po srebrny krzyżyk zwisający z cienkiego łańcuszka. Zaciskam go w pięści i wyszeptuję słowa modlitwy, prosząc, by Oko przyjęło w przyszłości jej duszę.



LAURA W MAKOWISKU

Kamila Modrzyńska

Zemdlałam chyba. Wstaję, otrzepuję się. Dziwne. Nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło. Nie wiem, co się dzieje, jestem zmieszana. Zmarzłam przeokropnie i jeszcze coś mi śmierdzi, jakiś nieznośny zapach, nie wiem, co to może być, nie odstępuję mnie na krok i choć mój nos męczy się szybko, on trwa przy mnie jak nieodłączny cień. Skąd się to bierze?

Wciąż jeszcze kręci mi się w głowie, siadam więc i czekam, aż mi przejdzie.

Rozejrzałam się wokół siebie.

Zemdlalam w jakichś przeklętych krzakach, niedaleko cmentarza komunalnego, otoczonego czarnymi zeberkami. Nawet widać go stąd, proszę, tam na lewo, obok starej mleczarni. Kręci się tam kilka osób, przyszli pewnie na czyjś pogrzeb.

Potrzebowałam chwili, a może dwóch, by zorientować się, że ktoś ukradł moją torbę. Obeszłam krzaki naokoło, kulejąc, a smród podążył za mną. Kto w ogóle robi coś takiego, widzi nieprzytomną dziewczynę i zamiast jej pomóc, ucieka z jej dobytkiem? I to w naszym Makowisku!

– Zaraza jedna – wymamrotałam pod nosem i poczułam się trochę lepiej.

Otrzeptałam czarną sukienkę z grudek piasku i błota. Musiałam leżeć w krzakach dość długo, cała byłam obolała i słabo się czułam. Słońce schodziło już z zenitu, bez telefonu nie potrafiłam jednak powiedzieć, która jest godzina. Pewnie wczesne popołudnie. Pora obiadu lub leżakowania po nim. Zadrżałam. Nie wiem czemu, ale na widok czystego nieba przeszedł mnie dreszcz, jakby wróciło do mnie dawno zagubione wspomnienie.

– Antoni – szepnęłam.

Mój dom leżał na drugim końcu Makowiska, małej wioski zagubionej w mazurskich lasach, gdzie nie chciało się przyjeżdżać nawet najbardziej skąpym warszawiakom. Za kilka miesięcy opuścę to nudne miejsce – kilka dni temu dostałam się na medycynę do Olsztyna.

Zamiast jednak przejść przez całe Makowisko, skręciłam w najbliższą uliczkę, w stronę domu mojego chłopaka. Stamtąd dam znać rodzicom, gdzie jestem, poza tym Antoni z pewnością pomoże mi szukać komórki. Pal licha dokumenty, ja miałam w tym telefonie takie rzeczy, które... No, sami rozumiecie.

Różana, ciągnąca się na czterdzieści numerów, była pusta. Zmarszczyłam brwi. Panowała cisza, żadnych dzieciaków sprawdzających wydolność swoich płuc, żadnych szwagrów dyskutujących o Lewandowskim nad ociekającymi tłuszczem kiełbaskami ani puszek piwa otwieranych z sykiem. Przez chwilę miałam wrażenie, że na całej Różanej jestem tylko ja jedna sama, samiutka, i uczciwie przyznam, prawie zaczęłam się bać. Ale tylko prawie.

Przeszło mi zupełnie, gdy z podwórka Łukaszewskich wybiegł stary Janek, pięćdziesięcioletni podrywacz dyskotekowy. Byłam przygotowana na słodkie „dzień dobry” i ofertę kawuni, więc odruchowo przewróciłam oczami. Dopiero po chwili zorientowałam się, że trzyma w ręku siekierę i unosi ją na mój widok.

Wrzasnął bojowo.

Ja też wrzasnęłam, wcale nie bojowo, raczej histerycznie, i zaczęłam uciekać przed siebie. Ucieczka była trudna, wciąż kulałam i wlokłam za sobą prawą, chorą nogę.

– Pomocy! – próbowałam zawołać, ale gardło odmówiło mi posłuszeństwa. – Pomocy! – spróbowałam jeszcze raz, dziwnie chrapliwym i wątlym głosem.

Janek podbiegł do mnie i uniósł siekierę.

– Pomocy! – zapiszczałam, nakrywając głowę dłońmi. – Ratunku!

Z domu Nowickich wybiegł Antoni. Trzymał w ręku kij bejsbolowy, pamiątkę po wizycie wujka z Ameryki i jednocześnie prezent na ósme urodziny. Znałam ten kij. Cały był kolorowy, poobklejany serduszkami z WOŚP-u.

Antoni zaczął biec w naszą stronę, podczas gdy brnęłam przed siebie ślamazarnym krokiem. Raczej nie miał szans dotrzeć do nas na czas.

– Janek, czekaj! – zawołał mój chłopak, najmiłsze stworzenie na świecie, ale było już za późno. Mężczyzna musiał się zawahać, być może omsknęła mu się ręka, ale poczułam uderzenie gdzieś na łopatce i straciłam równowagę.

Chwilę później moja szczęka dość gwałtownie wyrznęła w asfalt.

Duszę się. Otwieram oczy, ale nic nie widzę, otacza mnie mrok inny niż ten, który zapada nocą, mrok gęsty i kleisty, jakby nic nigdy nie mogło się przez niego przedostać. Leżę. Próbuję się podnieść, ale moje ręce, głowa, uderzają w coś. Powoli dociera do mnie, że jestem uwięziona w ciasnej skrzyni.

Nim panika obezwładni moje ciało, przykładam dłonie do wieka i zaczynam drapać.

Sen rozwiął się, ale strach nadal pulsował w moich żyłach.

Zemdlałam. Znowu?

Nie, tym razem to nie była moja wina. Pamiętam przecież doskonale psychopatę Janka i jego siekierę. W półśnie dotknęłam szczęki. Czułam pod palcami szorstką miękkość bandaża, Antoni musiał opatrzyć ranę. Będę miała piękną bliznę na rozpoczęcie roku w Olsztynie. A co z plecami? Nic mnie nie bolało. Może uderzył trzonkiem od siekiery.

Dopiero po chwili otworzyłam oczy. Byłam w domu Nowickich, w sypialni Marty, starszej siostry Antoniego. Spojrzałam na moje dłonie, blade i wychudzone, niemal anemiczne. Ostatni rok wiele mnie kosztował. Było warto. Zdałam maturę tak jak trzeba i wkrótce wyjadę... Przepraszam, powtarzam się. Po prostu nie mogę się doczekać.

Byłam sama w pokoju, ale słyszałam stłumione odgłosy kłótni. Telefon, muszę powiedzieć Antoniemu o telefonie. Podeszłam do uchylonych drzwi i zamarłam.

– To zagrożenie! – mówił Janek. – Nie możemy tego tolerować!

– Synu, on ma rację. – Rozpoznałam głos pana Nowickiego, Antoniego seniora. – Musimy się jej pozbyć.

– Tu chodzi o nasze życie! – wtrącił Janek. – Widzisz, co się dzieje. Niegłupi z ciebie chłopak. Wiesz, co musisz zrobić.

Antoni milczał.

– A jeśli ty tego nie zrobisz, my się nią zajmiemy.

Brzmiało to poważnie. O kim mogli mówić, bo przecież nie o mnie?

Zeszłam do nich po schodach, przystając co kilka stopni. Naprawdę źle się ostatnio czułam i mówiłam już, że w powietrzu unosił się jakiś okropny zapach? No więc nadal śmierdziało. W pewnym momencie nawet zatrzymałam się i sprawdziłam, czy to nie moja sukienka.

(Nie, pachniała w porządku.)

Gdy weszłam do kuchni, milczeli. Janek Łukaszewski opierał się o parapet, piwny brzuch sterczał przed nim, obciążony białym podkoszulkiem. Kilkudniowe kępi brody porastały jego twarz, a łysa głowa błyszczała od potu. Na mój widok zacisnął palce na ręczce siekiery, ale może mi się tylko wydawało.

– Laura!

Mój chłopak stał wraz z ojcem na środku pomieszczenia. Antoni odziedziczył całą urodę pana Nowickiego. Obaj byli wysocy, o gęstych, jasnych włosach i wydętych, różowych wargach.

Antoni ruszył do mnie i choć ojciec próbował go powstrzymać, odepchnął go. Złapał mnie w ramiona i zaczął uważnie mi się przyglądać. Kątem oka zauważyłam, jak grube brwi pana Nowickiego nastroszyły się na mój widok. Nigdy mnie nie lubił.

– Jak się czujesz? – Najmilszy chłopiec na świecie patrzył na mnie troskliwie.

Spróbowałam się odezwać, ale wycharczałam tylko kilka nieskładnych głosek. Odchrząknęłam i położyłam rękę na gardle.

– Dobrze – wyrzęziłam wreszcie, ale nie brzmiało to najlepiej. – Telefon.

– Co?

– Ktoś mi ukradł telefon. Musimy go poszukać.

Wypowiedzenie tych dwóch zdań zajęło mi zbyt wiele czasu. Nie wiem, co stało się z moim gardłem, ale nie działało dziś poprawnie. Jakby coś blokowało dźwięki, które opuszczały moje usta. Głoski składały się w słowa, ale te nie brzmiały tak, jak powinny. Zmarszczyłam brwi, starając się wychwycić różnicę. Być może wcale nie zemdlalam, może to był udar i moja twarz jest sparalizowana?

– Tak, oczywiście – powiedział Antoni bezmyślnie. Znałam tę minę, chodziłam z nim od gimnazjum. Nie słuchał mnie naprawdę, był czymś rozkojarzony.

– Co się stało? – spytałam powoli, czując się, jakby papier ścierny sunął po moim gardle.

– Co pamiętasz, Laura? Długo byłaś nieprzytomna – wyjaśnił Antoni. – Tato, panie Janku, możecie się zająć mamą? Zaraz do was dołączę.

– Pilnuj się – powiedział na odchodnym pan Nowicki, rzucając mi niechętnie spojrzenie. – I weź nóż przed wyjściem.

Opuścili kuchnię. Chwilę później usłyszałam jakieś szuranie w głębi domu, jakby ciągnęli po podłodze coś ciężkiego.

– Co pamiętasz? – spytał Antoni, obserwując moją twarz.

Wzruszyłam ramionami.

– O co chodzi? – spytałam. Zabrzmiało to jakby lepiej i nie potrzebowałam już kwadransa na każde słowo. Pogratulowałam sobie w myślach. To na pewno nie udar.

– Co jest ostatnią rzeczą, jaką pamiętasz, zanim się obudziłaś?

Szukałam odpowiedzi w jego twarzy, ale była obojętna. Owszem, spoglądała na mnie z z troskaniem, Antoni był ogólnie troskliwym człowiekiem, ale poza tym nie wyrażała żadnych uczuć. Spróbowałam się do niego przytulić, ale zatrzymał mnie ręką.

– Myśl, Laura. Ostatnia rzecz, zanim się obudziłaś.

– Janek.

– Nie. Przedtem, kiedy obudziłaś się, a twój telefon zniknął.

– Przy cmentarzu – dopowiedziałam dumna, że mogę coś dodać od siebie. Wiem, trochę to żenujące. Choć moje usta nie nadążały z formułowaniem słów, głowa działała w jak najlepszym porządku.

– Obudziłaś się przy cmentarzu? Pamiętasz, jak się tam znalazłaś?

Rozchyliłam wargi, gotowa do odpowiedzi, gdy uświadomiłam sobie, że nie wiem. Musiałam mieć zdziwienie wypisane na twarzy, bo położył dłonie na moich ramionach, jakby chciał mnie uspokoić.

– Nic się nie martw, dużo przeszłaś. Z pewnością wspomnienia wrócą. Byłaś zaginiona od... od wczoraj. Myślałem, że coś się stało.

Zmarszczyłam brwi.

Nie, to z pewnością nie był udar. To nie zdarza się młodym ludziom, którzy są w idealnym zdrowiu.

– Wczoraj – powtórzyłam niepewnie. Byłam nieprzytomna od kilkunastu godzin?!

– Dużo ci ominęło – dodał, uśmiechając się nerwowo.

– Dużo?

– Już ci wyjaśniam.

Milczał jednak. Wyglądał, jakby się dusił, jakby szukał jakichś słów, ale one stawały mu ością w gardle, jakby chciał mi powiedzieć wszystko – a jednocześnie, jakby nie chciał mi mówić nic. Odwrócił się ode mnie i wyjął z szuflady nóż kuchenny.

– Antoni? – ponagliłam go.

– Jesteśmy gotowi! – krzyknął z korytarza jego ojciec. – Chodź!

Mój chłopak złapał mnie delikatnie za rękę i pociągnął. Pozwoliłam mu się prowadzić, ale stanęłam na chwilę w przedpokoju. Na wprost od drzwi zawsze wisiało duże lustro. Teraz ściana była pusta i jedynie jaśniejszy prostokąt na środku był śladem, że coś na niej wisiało.

Pokazałam to miejsce palcem, ale nim zdążyłam wykrztusić choć słowo, Antoni zrozumiał.

– Stłukło się. Ach, poczekaj, mam coś dla ciebie.

Podał mi laskę, własność jego dziadka, który zmarł tej wiosny.

– Będzie ci łatwiej chodzić.

Oparłam się na lasce i uważnie obejrzałam nienaturalnie wykrzywioną nogę. Wyglądała podejrzanie, ale wcale nie bolała.

– Trzeba...

– Mój tata ją obejrzał. Nic ci nie jest, stłukłaś ją tylko.

Wyszliśmy przed dom. Do roweru utrzymanego przez Janka w przedziwny sposób przymocowany był zwinięty w rulon dywan. Podejrzenie gruby rulon.

– Laura nie może iść z nami! – oburzył się pan Nowicki. Na widok mojej miny zmitygował się nieco i dodał spokojniejszym tonem: – Twoja noga jest stłuczona. To zbyt duży wysiłek.

– Wyjaśnię ci wszystko po drodze – obiecał mi Antoni.

Zeszliśmy ze schodów.

– Co to? – spytałam, pokazując palcem dywan.

Dopiero wtedy zauważyłam, że pan Nowicki trzyma w ręku dwie łopaty. Z plecaka natomiast wystawały mu główki siekier, co zupełnie nie miało sensu.

– Och, to moja mama – powiedział spokojnie Antoni.

Na widok pana Nowickiego przypomina mi się ten dźwięk, dźwięk wbijanej w zeskorupiałą ziemię łopaty. Słyszę stukot grudek ziemi rozbijających się na drewnianej skrzyni, opuszczanej w dół, dół, jeszcze niżej, aż powoli znika mi z oczu.

Niebo jest błękitne, czyste, bez najmniejszej chmurki, a ja staram się nie spuszczać z niego oczu, by nie widzieć tego, co dzieje się pod nim. Niebo odwzajemnia moje spojrzenie, ale nie potrafi mnie pocieszyć.

Nie mogłam się ruszyć.

– Laura, wszystko w porządku? – spytał Antoni. Widziałam, jak unosi dłoń i opuszcza ją szybko, jakby bał się mnie dotknąć.

Dziwny sen rozwiął się i nie potrafiłam już powiedzieć, czy to jakiś majak, czy stary koszmar.

– Rodzice – wyleciało z moich ust mimowolnie. – Zadzwoń.

– Już z nimi rozmawiałem. Odprowadzę cię do nich po wizycie na cmentarzu.

Janek prychnął, poprawiając zawiniętą w dywan panią Nowicką. Wraz z tatą Antoniego ruszyli przed siebie, a my podążyliśmy za nimi.

– Cmentarz?

– Tak, idziemy na cmentarz – powiedział, uśmiechając się do mnie pocieszająco. Od tego gestu topniało mi serce. – Ty nic nie pamiętasz, prawda?

Pokręciłam głową. Nadal źle się czułam, choć nie mogę powiedzieć, że coś mnie bolało. Cały organizm miałam jak sparaliżowany, jakby ktoś posadził mnie za ster ciała dziewięćdziesięciolatki. Miałam nadzieję, że to odrętwienie wkrótce minie.

– Moja mama zmarła w wyniku epidemii, która zabiła większość ludzi w Makowisku – mówił tymczasem Antoni zupełnie spokojnym głosem. Na te słowa poślizgnęła mi się laska i niemal się przewróciłam. – Już, już spokojnie. Naprawdę tego nie pamiętasz? Oglądaliśmy wtedy telewizję w twoim domu. Leciały wiadomości.

Obraz pojawił się w mojej głowie, przywołany jego słowami. Byliśmy w salonie, oboje schowani pod moim różowym kocykiem, a moja mama przyniosła nam gorące kakao. Oparzyłam sobie język i Antoni śmiał się ze mnie. W pokoju roznosił się zapach czekolady.

Oglądaliśmy jakiś film, gdy zamiast przerwy na reklamy pojawiła się główna prezenterka wiadomości, kojarzycie, ta blondyna z sukowatą miną i obwisłymi policzkami. Gdy po raz pierwszy przeczytała komunikat, zaśmialiśmy się oboje, ale chwilę później wołaliśmy już moją mamę.

Katastrofa w fabryce produkującej lekarstwa w Kaliningradzie, tak brzmiała pierwsza wersja. Należy zachować spokój, być może na jakiś czas odwiedzić krewnych mieszkających na południu Polski. Było coś jeszcze... Coś, czego nie mogłam sobie przypomnieć.

Druga wersja, która pojawiła się kilka dni później, mówiła, że był to sabotaż. Zdecydowanie zalecano opuszczenie skażonych terenów, ale rodzice nie dostali wolnego w pracy. Byli oboje nauczycielami – nie mogli zostawić dzieci w środku roku szkolnego. Kazano im czekać do końca czerwca.

– Który dzisiaj? – spytałam przytomnie.

– Piąty lipca. – Nie zdziwił się chyba, że o to spytałam.

Trzeciej wersji już nie było, wkrótce po tym przestały działać telewizja i radio. Trzecią wersję stworzyliśmy sobie sami. Widzieliśmy samoloty, które opryskiwały czymś Makowisko.

– Pamiętam – powiedziałam słabo. – Epidemia. Twoja mama?

– Tak. Jedziemy zawieźć ją na cmentarz.

– Przykro mi. – Spróbowałam złapać go za rękę, ale unikał jej.

Dotarliśmy na cmentarz. Mężczyźni poprowadzili nas do rodzinnego grobowca, w którym leżało kilku Nowickich. Usiadłam na ławeczce niedaleko i patrzyłam, jak ściągają z nagrobka marmurową płytę.

Co ja właściwie robiłam wczoraj na cmentarzu? Śmieszne.

Podczas gdy oni wykopywali ze środka ziemię, ja rozglądałam się bezmyślnie wokoło.

Wydawało mi się z początku, że byliśmy sami. Wiatr szumiał między topolami, które wytyczyły główną alejkę między grobami... Och, i jeszcze jakiś delikatny dźwięk, lekkie postukiwanie – nie wiem, co to może być. Oprócz Nowickich w zasięgu wzroku nie było

żywej duszy. Ale gdy zamknęłam oczy, poczułam coś więcej. Poczułam serca pulsujące pod ziemią, walczące o to, by pompować krew do żył. Usłyszałam płytkie, pośpieszne oddechy.

A wreszcie zrozumiałam, że chrobotanie, które roznosiło się po całym cmentarzu, było skrobaniem paznokci na wiekach trumien.

Antoni spoglądał na mnie z troską.

– Pamiętasz? – spytał znad marmurowej płyty.

Podniosłam się, ale nim zdążyłam odpowiedzieć, zobaczyłam w oddali kilku mężczyzn. Zbliżali się do nas.

Pisnęłam ze strachu, a mój chłopak i jego ojciec odwrócili się gwałtownie. Gdy zobaczyli przybyszy, złapali za siekiery i stanęli w rozkroku, gotowi do walki. Janek uniósł łopatę jak kij bejsbolowy i przygotował się do zamachu.

Zaskoczyło mnie to. Choć teraz, gdy o tym myślę – oczywiście! – to nie był ich pierwszy raz. Dlatego Janek zaatakował mnie bez wahania.

Mężczyźni idący w naszą stronę wyglądali, jakby właśnie odgrzebali się spod ziemi i wciąż słysząc odgłosy walki pod moimi stopami, nawet w to nie wątpiłam. Mieli twarze pomarszczone i wyschnięte, i wydawało się, że skóry im nie wystarcza, by oblec całe kości.

Cofnęłam się kilka kroków.

Nowiccy i Janek szybko rozprawili się z obcymi. Kilka uderzeń łopatą, kilka chrupnięć siekiery i oto leżeli na ziemi, w kawałkach. Martwi nie stawiali większego oporu – wyciągali ręce przed siebie i próbowali zacisnąć swoje dłonie na żywych ramionach, ale byli zbyt ślamazarni, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla mojego chłopca.

– Zabiliście ich – wyjąkałam, mimo że coś mi się nie zgadzało.

Nie spuszczałam wzroku z odrąbanych nóg i rąk. Czekałam, aż krew wytryśnie z żył i tętnic, aż obryzga Nowickich, ale nic takiego się nie stało.

Antoni podszedł do mnie, podczas gdy jego ojciec i Janek zaczęli wrzucać elementy korpusów do otwartego grobu.

– Myślałem, że pamiętasz – powiedział łagodnie. – Lauro?

Złapał moje dłonie. Były ciepłe, nie to, co moje. Zmarzłam, siedząc tak długo na ławeczce.

Żadne wspomnienie nie przyszło, ale pojawiła się świadomość – świadomość istnienia ludzi, którzy budzili się kilka dni po swojej śmierci, już nie żywi, ale i nie martwi.

– Tak – dodałam pośpiesznie. – Pamiętam.

Patrzył na mnie wyczekująco, jakby spodziewał się, że coś dodam. Milczałam jednak.

– Dlatego chowamy mamę do grobu – wyjaśnił mi cierpliwie, jakby miał do czynienia z dzieckiem. – By nie mogła wstać i męczyć nas po śmierci.

Antoni podszedł do mężczyzn i we trzech wrzucili dywan do grobu. Następnie zasypali otwór i nasunęli na niego marmurową płytę.

– Możemy iść – stwierdził Nowicki, patrząc na mnie chmurnie.

– Chciałbym się pożegnać – powiedział Antoni.

Mężczyźni oddalili się. Spodziewałam się, że chłopak podejdzie do grobu matki, ale nie, zamiast tego odwrócił się do mnie.

– Odprowadzisz mnie za chwilę do rodziców?

Spojrzał na mnie smutno.

– Chciałbym. Naprawdę, chciałbym, Lauro, by nie tobie się to przytrafiło.

Uniosłam brwi. Złapał mnie delikatnie za rękę i poprowadził między ścieżkami, do grobu moich dziadków. Każdego pierwszego listopada zezowaliśmy na siebie między ludźmi. Rozważałam nawet ostatnio, czy może w tym roku będę mogła stać razem z nim, ale teraz... Teraz sama myśl o tym wydawała mi się nieprzyzwoita.

Stanęliśmy przed nagrobkiem. Był pusty, gdzieś zniknęły znicze i bukiety sztucznych kwiatów. Na jasnobrązowej płycie, pod nazwiskiem babci i dziadka ktoś dopisał markerem imiona moich rodziców... Pochyliłam się, by przyjrzeć się im bliżej. Antoni zniknął gdzieś, może chciał, bym uporała się z tym sama.

Z zaskoczeniem odkryłam, że pismo jest moje.

– Moi rodzice nie żyją – wyjąkałam. – Dlatego byłam na cmentarzu! Poszłam ich... Poszłam ich odwiedzić.

W gardle wzbiera się szloch. Potrzebuję... Potrzebuję przytulić kogoś. Jego.

– Antoni? – spytałam i zaczęłam się odwracać, gdy na moje plecy spadło pierwsze uderzenie. Jego siła powaliła mnie na ziemię i sprawiła, że rozpląszczyłam się na opustoszałym grobie rodziców.

Nim zdążyłam się odczołgać, poczułam, jak coś wbija mi się w szyję, odcinając ją od reszty ciała.

Nie umieram. Nie potrafię. Nie chcę?

Pragnę śmierci.

Patrzę na niego, na najmilszego chłopca na świecie, jak z pomocą taty odsuwa płytę grobu dziadków i wrzuca części mojego ciała do środka.

Patrz na mnie, Antoni! Spójrz mi w oczy!

Nie robi tego. Moje ręce i nogi wpadają w kłębówisko innych rąk i nóg. Mamo, tato, witajcie.

Na samym końcu w rój poruszających się kończyn wpada moja głowa. Antoni, proszę!

– Dobrze zrobiłeś – mówi jego ojciec.

– Wiem.

Pochylają się nad płytą i po raz ostatni widzę słońce.



L EPSZA PRZYSZŁOŚĆ

Artur Grzelak

1

— W budynku znajdują się trzy cele — zakomunikował beznamiętnym tonem głos z centrali. — Według przewidywań nie są uzbrojeni ani nie spodziewają interwencji. Skala zagrożenia została określona na cztery.

— Cztery? — Garrido prychnął pogardliwie. — Wysyłają cały oddział przy tak niskiej skali?

— Mogę cię tam wpuścić samego! — krzyknąłem i zmierzyłem podwładnego wzrokiem. — Nie pamiętasz, co się stało z grupą Colungi w Barrio-4 dwa tygodnie temu?

— Pamiętam, *sargento*. Przepraszam.

Roberto Colunga wraz ze swoim oddziałem dostał zlecenie likwidacji nielegalnego zgromadzenia w jednym z bloków socjalnych. Według prekognitów z Wydziału Przyszłych Zbrodni kilku z mężczyzn tam przebywających miało w przyszłości przewodzić ruchom rewolucyjnym coraz częściej pojawiającym się w mieście. Niestety, specjaliści źle ocenili zagrożenie, bo organizacja już działała, a w budynku zgromadzono broń oraz wiele środków wybuchowych. Podczas interwencji doszło do strzelaniny, w wyniku której śmierć poniosło dwanaście osób, w tym czterech funkcjonariuszy. Dwóch kolejnych doznało trwałego kalectwa, a jeden do dziś był utrzymywany w śpiączce farmakologicznej.

— Szykować broń. W razie jakiegokolwiek zagrożenia strzelać bez ostrzeżenia. To ma być szybka i gładka robota. Żebym potem nie musiał pisać zbędnych raportów. Zrozumiano? — spytałem. Wszyscy podwładni pokiwali głowami. Nie była to nasza pierwsza wspólna interwencja. Wiedzieli, czego od nich oczekuję, a jakich zachowań nie toleruję. Uśmiechnąłem się i powiedziałem: — Świetnie.

2

Dom pogrążony był w ciemności. Mieszkańcy niczego nie podejrzewali. Funkcjonariusze byli już na pozycjach, czekali tylko na mój sygnał. Jeszcze raz na szybko przeanalizowałem sytuację. Raporty prekognitów odnośnie rozkładu były dość dokładne, pokrywały się ze zdjęciami satelitarnymi.

Celem było trzech studentów, którzy za parę lat mieli przeistoczyć się w przywódców młodzieżowego buntu przeciwko rządowi. Wizje prekognitów pokazywały, że najmłodszy z nich, Luis Anibal Salzedo, miał w przyszłości stać się groźnym agitorem. Jego mieliśmy pojmać żywego, pozostałych zlikwidować na miejscu.

Mrugnąłem, ruchem gałki ocznej aktywując tryb bojowy i dając znak do rozpoczęcia akcji.

Garrido wyważył drzwi, stojący za nim Jaquez wrzucił do środka granat ogłuszający. Oczekali parę sekund aż usłyszeli huk wybuchu i wpadli do budynku. Dotarli do mnie krzyki i kilka stłumionych wystrzałów. Odbezpieczyłem broń i również wbiegłem do środka.

Wszystko poszło gładko. Dwaj studenci nie zdążyli wstać z łóżek, leżeli z dziurami w głowach. Jeśli mieli szczęście, nawet się nie obudzili. Garrido schwytał Salzedo. Chłopak był w samych bokserkach i zmiętej koszulce, wodził błędnym spojrzeniem po po-

mieszczeniu, nie mogąc zogniskować wzroku. Przelewał się przez ręce wyraźnie oszołomiony i zdezorientowany. Podeszedłem do niego i spytałem:

— Luis Anibal Salzedo?

Student spojrział na mnie, ale jego wzrok był nieobecny, az kącika usta wyciekała strużka śliny. Uderzyłem go w twarz otwartą dłonią. To najlepszy sposób na otrzeźwienie.

— Nazywasz się Luis Anibal Salzedo?

— Tak... — odpowiedział piskliwym głosem. Był wyraźnie przestraszony, na majtkach wykwitła plama moczu. — O co chodzi?

— Jesteśmy funkcjonariuszami Wydziału Przyszłych Zbrodni. Zostałeś oskarżony przez Sąd Prekognicyjnyo spiskowanie przeciwko rządowi. Zabieramy cię do centrali w celu przesłuchań.

— Ale... — Salzedo był w wyraźnym szoku. Nie miałem pewności, czy dotarły do niego moje słowa. — Ale ja nic przecież nie zrobiłem.

— Jeszcze nic. Lecz niedługo byś zrobił. — Uśmiechnąłem się. — Zabrać go i zwijamy się.

3

Droga do centrali przebiegała bez przeszkód. Funkcjonariusze dowcipkowali, zadowoleni z udanej akcji. Ja również byłem usatysfakcjonowany. Wykonaliśmy zadanie podręcznikowo, bez strat własnych, wśród przypadkowych przechodniów czy cywilów. Zlikwidowaliśmy wskazane cele, a głównego podejrzanego schwytaliśmy żywcem.

Który to już rok nienagannej służby, pomyślałem. Czy w końcu doczekam się upragnionego awansu? Może chociaż za zasługi dostanę przydział na pobyt w Los Barejos. Położony nad oceanem rządowy ośrodek wypoczynkowy dla prominentnych działaczy i funkcjonariuszy był marzeniem każdego oficera służącego w Wydziale Przyszłych Zbrodni. Nigdy nie miałem wątpliwości co do znaczenia i słuszności mojej służby. Chciałem również, żeby została ona należycie doceniona.

Zobaczyłem migającą ikonkę przychodzącego połączenia i mrugnięciem odebrałem rozmowę.

— Cześć, syneczku — powiedziałem, widząc uśmiechniętą twarz mojego pięcioletniego syna, Miguela.

— Cześć, tato. — Chłopak wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu. Niedawno wyleciały mu dwa przednie mleczaki. — Kiedy będziesz w domu?

— Zejdzie mi się jeszcze kilka godzin. Muszę odstawić groźnego przestępcę do więzienia.

— Łaaa— krzyknął uradowany Miguel. — Kto to jest? Co zrobił?

— Nie mogę ci powiedzieć. — Chłopak zrobił smutną minę. — Chyba, że będziesz grzeczny?

— Będę, będę.

— Pomyślę wieczorem. A teraz muszę kończyć. Do zobaczenia.

— Paa, tato.

Zakończyłem rozmowę i wyjrzałem przez holowizjer. Lecieliśmy nad rozświetlonym neonami miastem, zmierzając w kierunku budynku Sądu Prekognicyjnego. Na pojmanego przez nas Salzedo czekało już grono jasnowidzów, którzy mieli zdecydować o jego dalszym losie. Podejrzywałem, że resztę życia spędzi w więzieniu na wyspie San Cebrero. W odosobnionej, położonej na klifie celi, w której ledwo można się wyprostować, a jedy-
nymi jego towarzyszami będą szczury i insekty. Chyba że jego przyszłe zbrodnie okażą się poważniejsze, niż dotychczas sądzono. Wtedy zostanie zlikwidowany w trybie natychmiastowym.

Zamigotała kolejna ikona przychodzącego połączenia. Tym razem dzwoniła Maria Pellegrino, moja bezpośrednia przełożona i szefowa Wydziału Przyszłych Zbrodni.

— *Sargento* Aguilar. — Odebrałem mrugnięciem i przedstawiłem się zgodnie z procedurą.

— Misja zakończona powodzeniem?

— Tak, szefowo. Wszystko w jak najlepszym porządku. Właśnie dolatujemy do Sądu Prekognicyjnego i przekazujemy Salzedo.

— Dobrze. — Na chwilę zawiesiła głos. — Kiedy wrócisz do centrali, przyjdź do mnie. Mam pewną sprawę do omówienia.

— Coś się stało? — spytałem, lekko zaniepokojony.

— Wszystkiego dowiesz się na miejscu. — Uśmiechnęła się i zakończyła połączenie.

Ciekawe, o co może chodzić, pomyślałem. Czyżby upragniony awans?

4

Odstawiliśmy Salzedo i wróciliśmy do centrali. Garrido i reszta ucieszyli się z zakończenia służby i rozeszli do domów. Szybko spisałem raport z akcji, a następnie udałem się do biura szefowej wydziału.

Kiedy wszedłem, Maria Pelegrino siedziała pogrążona w myślach. Widząc mnie, wstała i uśmiechnęła się lekko.

— Oto raport. Wszystko poszło podręcznikowo, więc jest krótki i zwięzły — powiedziałem, wręczając jej czytnik z dokumentacją.

— Dziękuję. Proszę, usiądź.

Spocząłem na wygodnym fotelu i zapytałem:

— O czym chciałaś porozmawiać?

— Chcę ci coś pokazać. — Włączyła rzutnik na tablecie i na jednej ze ścian ujrzałem obraz.

Wielokrotnie już zdarzało mi się oglądać w jej gabinecie podobne projekcje przyszłości, wygenerowane przez rządowych jasnowidzów. Ta przedstawiała młodego, może dwudziestoletniego chłopaka o ciemnych włosach i ostrych rysach twarzy. Stał na ulicy z pistoletem w dłoni, w tle płonął budynek Sądu Prekognicyjnego. Wokół szalały zamieszki, wojsko ścierało się z tłumem. Latały kule, strzelały armatki wodne, na niebie widać było wojskowe drony i działa latające. W pandemonium krzyków, wybuchów i ognia wyróżniała się postać chłopaka. Kroczył na czele uzbrojonej grupy i wykrzykiwał jakieś hasła, których w panującym hałasie nie sposób było zrozumieć. Po chwili obraz zbladł i zgasł. Nagrana wizja się skończyła.

— Jak rozumiem, to nasz kolejny cel? — spytałem.

Maria powoli kiwnęła głową. Wydawała się dziwnie milcząca, przeważnie podczas podobnych odpraw dużo mówiła i tłumaczyła założenia misji oraz konsekwencje, jakie mogą towarzyszyć ewentualnemu fiasku.

— Kim jest ten chłopak?

— To twój syn, Miguel.

5

Wracając do domu miałem mętlik w głowie. Po obejrzeniu projekcji przyszłości, Pelegrino wręczyła mi raport jasnowidzów. A ten nie napawał optymizmem i nie pozostawiał złudzeń.

Ze złością zakląłem i uderzyłem zaciśniętą pięścią w pulpit pojazdu. *Aire-turismo* na chwilę zmienił kurs, jednak szybko złapałem za ster i wyrównałem lot. Muszę wszystko przemyśleć, ochłonąć i przeanalizować sytuację. Tak jak to robiłem przed każdą akcją

w Wydziale Przyszłych Zbrodni. Miałem jeszcze trochę czasu. Do domu powinienem do-
trzeć za około dwadzieścia minut

Miguel w wieku piętnastu lat miał zacząć spotykać się z grupą kontrrewolucjonistów
planujących obalenie rządu i obecnie panującego porządku. Uważali oni, że prekognicja to
oszustwo mające na celu manipulowanie społeczeństwem. Że każdy ma prawo do wyty-
czania własnej ścieżki życia, a skazywanie ludzi na śmierć i więzienie za zbrodnie, które
rzekomo mieli popełnić, to rodzaj represji służący zastraszeniu mieszkańców państwa.

Początkowo jedynie agitował, najpierw w szkole, potem na uczelni. Następnie razem
z kilkoma bojówkarzami zaczął podkładać ładunki wybuchowe pod komisariaty policji
i mniejsze budynki rządowe. Ostatecznie jego działania miały doprowadzić do wysadzenia
siedziby Sądu Prekognicyjnego i ogólnokrajowego buntu.

Nie mogłem w to uwierzyć. Jak mój mały syn, od niemowlęcia wychowywany jako
przestrzegający praw i obowiązków obywatel, mógł zejść na tak złą drogę? Co gorsza, z tej
drogi nie było odwrotu. Według raportów jasnowidzów żadne podejmowane działania nie
mogły go odwieść od takiej przyszłości. Każda ścieżka jego życia prowadziła w to samo
miejsce.

A to oznaczało, że miałem tylko jedno wyjście.

6

Kiedy wszedłem do domu, Miguel rzucił mi się na szyję. Uniosłem go w górę
i obróciłem kilka razy. Po chwili postawiłem syna na podłodze i poczochałem mu włosy.

— Stęskniłeś się?

— Tak. Miałem już iść spać. Jutro muszę iść do szkoły, a mamy jechać na wycieczkę
do kanionu El Chorrito, więc muszę wstać bardzo wcześnie. — Wpadł w tak uwielbiany
przeze mnie słowotok.

— Byłem tam kiedyś, piękne miejsce — powiedziałem cicho.

W drzwiach od kuchni stanęła moja żona.

— Zjesz coś? Zrobiłam paellę z owocami morza.

— Może później.

— Ciężki dzień w pracy? — spytała Rosita, widząc moją zmęczoną twarz.

— Tak, nawet bardzo.

— Tato, tato! — krzyknął Miguel, tarmosząc mnie za rękaw. — Miałeś mi opowie-
dzieć o przestępcy, którego dzisiaj zatrzymałeś.

— Chodź do twojego pokoju. Opowiem ci.

Przechodząc, pocałowałem żonę w policzek.

Położyłem Miguela do łóżka. Opowiadałem mu o różnych sprawach, czekając aż zaśnie. Kiedy w końcu zamknął oczy, odczekałem jeszcze chwilę, aż zapadł sen. Usiadłem na podłodze tak, by moja twarz znalazła się dokładnie na wysokości jego buzi. Wpatrywałem oznak buntu czy złości, ale nie znalazłem nic. Jego twarzyczka była tak samo niewinna i słodka, jak kilka godzin temu, przed ogłoszeniem wyroku. Dobry Boże, dlaczego? Zacisnąłem zęby, żeby nie krzyczeć. Miguel oddychał spokojnie i głęboko, na podłożoną pod policzek rączkę wyciekała odrobina śliny z rozchylonych ust. Tak jak u Salzedo, gdy go schwytaliśmy. Co zrobiłem nie tak? Jaki błąd popełniłem? Dlaczego nie można tego zmienić?

Sięgnąłem do kurtki i z wewnętrznej kieszeni wyjąłem rewolwer. Pogłaskałem syna po głowie i przystawiłem do niej pistolet.

— Przepraszam — wyszeptałem, łkając, i pociągnąłem za spust.

Poduszki, ściana, pościel, moja twarz i ubranie w sekundę pokryły się krwią i kawałkami mózgu. Osunąłem się na podłogę. Zaalarmowana hałasem Rosita wpadła do pokoju. Po jej spojrzeniu widziałem, że nie rozumie, co się stało. Że nie chce rozumieć i uwierzyć w to, co widzi.

— Coś ty zrobił? — krzyknęła roztrzęsiona i podbiegła do ciała Miguela. Przytuliła syna, jej dłonie i przedramiona pokryły się krwią. Zaszlochała i odwróciła się w moją stronę. Odsunąłem się w stronę drzwi, broń rzuciłem na podłogę i wpatrywałem się we własne ręce, nie mając odwagi spojrzeć Rosicie w oczy.

— Coś ty zrobił? — wrzasnęła histerycznie. Upuściła ciało syna i dobiegła do mnie, okładając mnie drobnymi pięściami i krzycząc. Przyjmowałem ciosy z pokorą, a po chwili objąłem ją i przytuliłem. Szarpała się i odpychała mnie, odwracając głowę, jakbym nagle stał się kimś obcym. Przyciskałem jej ciało do siebie, starając się ją uspokoić.

— Zapewniłem nam przyszłość — powiedziałem, płacząc.

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

LITERACKI
KONKURS
TEMATYCZNY

DRESZCZE

ANTOLOGIA GROZY



/LITERACKIKONKURSTEMATYCZNY



rys. Alicja Tempłowicz

LUNA

Jarosław Jakubowski

„[...] żyli pamięcią nieprzydatną do niczego”.

Albert Camus „Dżuma”

1

Miasto w czerwonej mgle. Z mgły wyrastają geometryczne kształty olbrzymów z milionami świecących oczu. Nad miastem góruje Statua Człowieczeństwa, przerobiona z figury Chrystusa Zbawiciela. Z figury usunięto wszystko, co z Chrystusem mogłoby się

kojarzyć. Został ogólny zarys, a nawet jego szkic – ogromny granitowy prostopadłościan. Statua jest wyższa nawet od najwyższego budynku miasta – Pałacu Szczęścia.

Kto powiedział, że szczęście jest nieosiągalne?

Ktoś, kto tak powiedział, musiał być kompletnym abnegatem. Nie ma gorszego słowa. Abnegat to wróg człowieczeństwa, to insekt żerujący na zdrowym jego ciele, szerzący zarazę nieuzasadnionego zwątpienia. Takich ludzi walczą się wszelkimi możliwymi sposobami, oczywiście zgodnymi z zasadami ogólnie pojętego humanizmu. Ogólnie pojęty humanizm, rzecz jasna, nie może tolerować swego śmiertelnego wroga, toteż niszczy go bezwzględnie.

W mieście nie ma cmentarzy. Nielegalne cmentarze są likwidowane. Nielegalni starcy są w trybie natychmiastowym usypiani. Pozostałych, którzy nie przekroczyli jeszcze wieku granicznego, umieszcza się w rozsianych na peryferiach miasta ośrodkach rewitalizacyjnych. Po zakończonym turnusie abnegat wychodzi z takiego ośrodka jak nowy. Czysty jak biała karta.

Mądrość to zrozumienie jednego prostego faktu: TERAZ to prawda, dobro, o które trzeba się troszczyć, którego nie można lekkomyślnie się pozbawić snując bzdurne wspomnienia. Amnezja jest naturalna jak oddychanie, a oddychanie jest możliwe dzięki codziennemu zażywaniu Czerwonej Pastylki. Po jej połknięciu umysł oczyszcza się z nalotu wspomnień, pamięta się tylko o sprawach bieżących. Rzeczywistość zaklęta jest w Czerwonej Pastylce i tysiącach jej pochodnych, które abnegaci nazywają „narkotykami”, ale oni znani są z tego, że używają nazw niezgodnych z ich prawdziwym znaczeniem. Wiadomo bowiem, że narkotykami są w istocie wspomnienia, opowieści, gawędy, które sączą się jak jad z ich starczych, pomarszczonych ust.

Zażywanie nieregularne albo całkowite zarzucenie łykania CP prowadzi do poważnych zaburzeń osobowości, a jeśli taki stan się przedłuży, to właściwie jedynym wyjściem jest wymazanie całościowe, reset. Skutkiem ubocznym takiego zabiegu może być wystąpienie nerwicy, co z kolei kwalifikuje takiego delikwenta do umieszczenia w zakładzie zamkniętym. A pensjonariuszom zakładów zamkniętych ordynuje się silniejsze odmiany CP, toteż przypominają oni wydrążone kukły, posłusznie wykonujące polecenia personelu. Taki stan trwa z reguły aż do osiągnięcia wieku granicznego, kiedy to lekarze wstrzykują w ich żyły substancję usypiającą na zawsze. Ich mózgi są całkowicie nieprzydatne, toteż nie wykorzystuje się ich nawet w procesie neurocyklingu. Po prostu znikają. Już następnego dnia nikt nie pamięta o ich istnieniu. Dlatego tak ważne jest regularne zażywanie Czerwonej Pastylki.

Inaczej jest ze zdrowymi osobnikami. Taki po osiągnięciu wieku granicznego ma miesiąc na napisanie odwołania, równoznacznego z prośbą o odroczenie uśpienia na trzy lata. Jeśli w ciągu miesiąca takiego pisma nie złoży w stosownym urzędzie, ten sam urząd wysyła mu wezwanie, aby w ciągu tygodnia udał się do najbliższego szpitala celem poddania się procesowi. Jeśli wezwanie nie skutkuje, urząd deleguje do delikwenta swoich pracowników. Dokonują oni uśpienia w miejscu, w którym go zastają. Rzecz jasna, są ludzie, którzy nie dożywają wieku granicznego, toteż ich neurocykling odbywa się już bez udziału Instytutu Regulacji. Trafiają od razu na stosowne oddziały szpitalne, gdzie odbywa się nie tyle czyszczenie, co przenoszenie danych zgromadzonych w mózgach na bardziej trwałe nośniki. Takie płytki zbierane są w miejscu, do którego dostęp ma niewielki krąg osób, głównie wysokiej klasy naukowców. To miejsce to Archiwum Pamięci, jedyna instytucja ze słowem „pamięć” w nazwie. Z grubsza rzecz biorąc, Archipa zajmuje się odzyskiwaniem ze zgromadzonej pamięci elementów przydatnych w bieżącym życiu miasta. Zdarza się przecież, że ludzie odchodzą nie zdążywszy podzielić się z bliźnimi swymi ideami, bywa, że cennymi, a dzięki Archipa takie pomysły nie idą na zatracenie, tylko zmartwychwstają w postaci bitów.

System działa sprawnie, zapewniając przede wszystkim przestrzeń życiową mieszkańcom, co przy wyczerpanych możliwościach powiększania się miasta jest warunkiem *sine qua non* jego prawidłowego funkcjonowania.

2

Miasto w czerwonej mgle. Adam wraca z pracy. Zażywa Czerwoną Pastylkę i włącza telewizor. Jego ekran zajmuje całą ścianę pokoju z panoramicznym oknem, wychodzącym na czarne olbrzymy z milionami oczu, które teraz stają się bladoniebieskie, jak okno Adama. Mężczyzna jest panem pilota, za pomocą którego zmienia kanały. Gdzieś przy siedemdziesiątym zasypia. Dzisiaj i tak zasnął dość późno, zwykle nie dociera nawet do Kanału 50. Jeszcze nigdy nie dotarł do ostatniego, koniec jawi mu się jako coś nierealnego, nieistniejącego. Osoba, która go odwiedza, bardzo przypomina istotę zbudowaną z pikseli.

— Co jest? — Adam jest senny.

— Sobota, nie pamiętasz? Napiałabym się czegoś — mówi kobieta.

Gospodarz zwleka się z łóżka, podchodzi do barku. Nalewa sobie i kobiecie po szklance mocnego alkoholu. Przez chwilę piją w milczeniu, łąpczywie, jakby nie pili od bardzo dawna, potem ona zsuwa z siebie pończochy i całą świetnie dopracowaną resztę.

Adam nie może pozbyć się wrażenia, że jego gość jest rodzajem miłego oszustwa, dlatego lubi sprawiać jej delikatny ból, żeby usłyszeć syk, cokolwiek nie będącego kłamstwem.

Kobieta jest już całkiem naga i leży na łóżku. Mężczyzna powoli podchodzi do niej z papierosem tkwiącym między zębami. Dym wgrzyza mu się w oczy, łzy spływają po policzkach, już prawie nie widzi leżącej, która przeciąga się i doskonale dopracowanymi gestami wabi go. Wtedy on pochyla się nad nią i delikatnie, ledwie dostrzegalnie muska jej stopę rozżarzoną koniuszkiem papierosa. Przygląda się mikroskopijnemu stykowi żaru i skóry, potem patrzy na kobietę, której usta już zaczynają się krzywić w grymasie bólu, ale czy prawdziwego bólu? Trzeba to sprawdzić. Papieros dotyka stopy dokładniej, mocniej, właściwie gaśnie na niej, dopiero wtedy ona krzyczy. Adam wchodzi w nią bezwładnie, zmęczony i właściwie niechętny temu zbliżeniu, ale im bardziej w nią wchodzi, tym bardziej w tym wchodzeniu się zapomina i robi to zapamiętałe, a kobieta krzyczy, krzyczy, ale on już nie myśli o tym, czy ten dźwięk jest prawdziwy, tylko czy jest odpowiednio sformatowanym zbiorem bitów.

Kiedy jest po wszystkim, znowu zapala papierosa i wkłada go między zęby kobiety. Są długie i ostre, takie, jakie bywają tylko w reklamach past do zębów albo środków antykoncepcyjnych. Potem gość wkłada z powrotem pończochy i całą świetnie dopracowaną resztę.

— Nie napijesz się? — pyta Adam.

— Mam pracę — mówi kobieta.

Wychodzi, zabierając z nocnego stolika tęczy banknot. Mężczyzna nalewa sobie szklankę mocnego alkoholu i wypija ją jednym haustem, potem napełniają znowu i stają przy oknie, w którym odbija się mrugające, nigdy niezasypiające Miasto.

Gra spokojna muzyka. Adam pije już spokojniej, patrząc na światła przebijające przez czerwoną mgłę. Aerochody mijają się na aerostradach, a na iglicy Pałacu Szczęścia pali się Gwiazda Gwiazd, herb miasta. Czerwona mgła faluje, Statua Człowieczeństwa fosforyzuje kolorowymi refleksami reklamowych sloganów.

Muzyka gra i buczy. Adam, pijany, tańczy, aż w końcu definitywnie urywa mu się film. Muzyka bardziej buczy niż gra, dźwięk przechodzi w jednostajną mantrę.

Adam pije kawę, pali papierosa, patrzy na skutą kajdankami dziewczynę siedzącą za lustrem weneckim i słucha policjanta. Dziewczyna wygląda jak Cyganka, jest ubrana staromodnie, to jest w stylu z początku XXI wieku.

— Próbowała się chlastać jak jej starego zabrali na reset. Musieliśmy jej dać coś na uspokojenie. Zatrzymaliśmy ich w Dzielnicy Północnej XVII, stary nie mógł już chodzić, miał chyba ze dwadzieścia lat przekroczenia. Musi ich tam być znacznie więcej, bo ona i ten dziad mieli przy sobie całe kartony z przeterminowanym żarciem. Ale mała nie chce gadać— mówi policjant.

— Próbowaliście neuroskanerem? — pyta Adam.

— Obraz zamazany. Jest cwana, umie się wyłączać.

— Dobra, pogadam z nią.

Mężczyzna zabiera swoje papierosy i wchodzi do pokoju przesłuchań.

— Zapalisz?

Dziewczyna milczy. Adam zapala papierosa i kiedy wydmuchuje dym, zauważa, że dziewczyna jest piękna. Przygląda się jej twarzy, ale ona patrzy wciąż w jeden punkt, który wybrała sobie kiedy tylko ją tu umieszczono.

— Zdejmę ci kajdanki. Widzisz? My też jesteśmy ludźmi. Opowiedz mi o sobie. Jak ci na imię?

Adam stara się nadać swemu głosowi ciepłą barwę. Jest w tym dobry, gdyby nie niechęć do wczesnego wstawania, mógłby pracować w radiu.

— Rozumiem. Nie chcesz z nami rozmawiać. Gardzisz nami. Nie jesteśmy godni, żebyś z nami rozmawiała. Ale my i tak znajdziemy wszystkich abnegusów. Bo nic innego nie umiemy. A ty zgnijesz w obozie!!! Codziennie mamy tonę donosów na was. Społeczeństwo wykazuje odpowiednią czujność, a jeszcze większą pazerność na pustostany, które zajmujecie na dziko. Dlatego nie zgrywaj świętej- niezłomnej- dziewicy- jakiejś, tylko powiedz, gdzie twój.

— Chcę adwokata— mówi dziewczyna.

— Więc jednak umiesz mówić. A już myślałem, że jesteś niemową. Niemowy są dość trudne do przesłuchiwania.

— Nie wysilaj się, kretynie.

Adam podnosi rękę na dziewczynę, a ona spogląda na podniesioną rękę Adama. W jej oczach jest tryumf, kiedy ręka opada.

— Właściwie moglibyśmy cię wywieźć na wysypisko i nikt by cię nawet nie szukał. Ciebie nie ma. Jesteś o tyle, o ile nam pomożesz. Jak masz na imię?

— Chcę adwokata.

— Jakiego adwokata?! Nieistniejący ludzie nie mogą mieć adwokatów.

— Złożę na ciebie skargę u Rzecznika Praw Obywatelskich.

— Proszę bardzo, mamy nawet gotowe formularze. My bardzo dbamy o prawa człowieka. Ale ty nie masz żadnych praw, bo ciebie nie ma, zrozumiesz to wreszcie?!

— To dajcie mi spokój i mnie wypuście.

— Myślisz, że trzymamy cię tu dla przyjemności? Myślisz, że zarywam niedzielę, bo to lubię??? Nie. Stoję na straży prawa w tym mieście, a prawo mówi, że utrzymywanie kontaktów z abnegatami jest zbrodnią ściganą z urzędu. Nie ja wymyśliłem ten przepis, więc z łaski swojej nie utrudniaj mi pracy. Jesteś młoda, nie szkoda ci życia na wałęsanie się z brudasami? Możemy ci pomóc z mieszkaniem i całą resztą. Musisz tylko z nami współpracować. A stanie się to proste, kiedy zrozumiesz, że nie jesteśmy twoimi wrogami. Zastanów się nad tym.

— Mam gdzieś wasze mieszkania i całą resztę. No, na co czekacie? Zabierzcie mnie na to wasze wysypisko i zróbcie to, co umiecie najlepiej.

— Na bohaterstwo się panience zebrało... Jak chcesz, ale jak będziesz gnić w obozie, to pamiętaj, że był taki ktoś, kto dał ci szansę, a ty go olałaś. Już ja się postaram, żeby ci tego nie wymazali.

— Wzruszające. Mojemu dziadkowi jakoś szansy nie daliście.

— Twoi dziadkowie już dawno nie żyją. Sprawdziliśmy to. Ten starzec był dla ciebie nikim.

— To ty jesteś nikim, czeka cię dokładnie taki sam los. Tylko że on w przeciwieństwie do ciebie umiał zachować honor. Jasne, ty nie wiesz co to za słowo, już go nie ma w tym waszym humanistycznym słowniczku. Wy już przegraliście, choć jeszcze o tym nie wiecie. A może nawet wiecie, tylko brak wam odwagi, żeby to przyznać.

Tym razem ręka Adama trafia w cel. Ale twarz dziewczyny, mimo że w jej oczach pojawiają się łzy, jest tak samo harda. Adam wie, że popełnił błąd. Abnegatom nie można dawać odczuć, że mają przewagę, nawet jeśli jest to przewaga t y l k o moralna.

— No dobra, pogadaliśmy sobie, a teraz posłuchaj. Masz tylko jedno wyjście: zacząć współpracować. Inaczej czeka cię piekło, w które zmieni się twoje zakichane, głupie życie. Tylko nie mów, że je wybierasz, bo za stary jestem, żeby w to uwierzyć. Takie panienki jak ty lubią przede wszystkim wygodę, nie? Rodzice nie dawali swobody, nie pozwalali spotykać

się z interesującymi abnegatami, co? Więc się uciekło z domku i zamieszkało ze śmierdzielami, bo się myślało, że się w ten sposób ratuje świat, he? To ty jesteś żalosna z tą twoją troską o los skrzywdzonych, to takie typowe dla lasek z dobrych domów. W końcu by ci się to znudziło, ale zamiast do domku, pewnie trafiłabyś w łapy któregoś z abnegackich alfonsów i dopiero byś się musiała martwić! Więc właściwie powinnaś nam teraz serdecznie podziękować zamiast zgrywać rewolucjonistkę, którą nigdy nie będziesz. Przemyślisz to sobie w celi. Dawaj rączki!

Adam wyciąga kajdanki z kieszeni płaszcza i wtedy wypada z niej poślizgnięty kawałek porcelany. Dziewczyna to zauważa, jej twarz na moment się zmienia, mężczyzna szybko chowa drobiazg z powrotem i skuwa aresztowaną. Pojawia się umundurowany funkcjonariusz, który wyprowadza ją z pokoju przesłuchań. W wyjściu dziewczyna odwraca się do Adama i mówi spokojnie.

— Na imię mam Luna.

4

Nadinspektor siedzi za ogromnym biurkiem, na równie wielkim krześle. Przegląda teczki, mnóstwo teczek, wyciąga z nich dużą ilość kartek. Adam siada na mniejszym krześle przed obliczem Nadinspektora. Za nimi jest okno z widokiem na Statuę Człowieczeństwa.

— Jak ci się u nas pracuje? — pyta Nadinspektor.

— Czuję, że spełniam się zawodowo.

— Praca w szkole ci tego nie dawała?

— Praca w szkole nie dawała poczucia wpływu na rzeczywistość. Realizowałem program.

— Więc uważasz, że tutaj wpływasz na rzeczywistość. Ale przecież też realizujesz jakiś program.

— Tak. Robię to, co do mnie należy. Ale jestem bliżej linii frontu.

Nadinspektor uśmiecha się szeroko.

— Jako dziecko lubiłeś bawić się w wojnę?

— Nie rozumiem.

Nadal się uśmiecha.

— To było podchwytliwe pytanie. Oczywiście n i e m o ż e s z tego pamiętać.

Uśmiech gaśnie.

— Masz jednak rację. To jest wojna, a my jesteśmy na samej linii frontu.

Nadinspektor grzebie w papierach.

— Luna. Bez nazwiska, wiek nieznan, nie figuruje w żadnej kartotece poza naszą. Abnegatka doskonała. Przyszła na świat poza systemem i wierzy, że spoza niego nadejdzie zbawienie. Ładna smarkuła... Pod koniec przesłuchania spojrzała na ciebie prawie z sympatią. Też to zauważyłeś?

— To tylko psychologia przesłuchania.

— Psychologia... ciekawe... Tak ciekawe jak skarb, który nieostrożnie nosisz w kieszeni płaszcza. Prawda?

— To tylko kawałek porcelany.

— I ten kawałek porcelany sprawił, że ta... Luna spojrzała na ciebie z czymś w rodzaju sympatii.

Nadinspektor podchodzi do Adama.

— Pokaż to.

Adam wyciąga rzecz z kieszeni i podaje Nadinspektorowi. Ten przygląda się przedmiotowi.

— To zwykły, tani kubek. Używany w zbiorowych jadalniach. Widać nawet fragment pieczętki z denka, ale jest zamazana. Wiesz, że posiadanie czegoś takiego jest surowo zabronione. Skąd to masz?

— Znalazłem w Parku Zapomnienia. Leżał na ziemi, więc go podniosłem i schowałem do kieszeni.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Bo nie przypominał niczego znanego. I jest przyjemny w dotyku.

— A może podniosłeś go, bo jest fragmentem, bo zapowiada, albo może opowiada, jakąś całość?

Adam milczy. Nadinspektor nagle się znowu szeroko uśmiecha.

— Powinienem to zarekwirować, a wobec ciebie wszcząć procedurę dyscyplinarną, ale nie zrobię tego.

Kładzie obie dłonie na ramionach Adama. Stoi za nim.

— Nie jesteśmy gestapo ani NKWD. Jesteśmy nowoczesną policją nowoczesnego państwa. Potrafimy być elastyczni jak gumowa ściana i potrafimy wybaczać. Oczywiście nasza wyrozumiałość ma swoje granice, a te granice wyznacza dobro ogółu. Dlatego zamiast wszczynać procedurę, która zapewniam, zakończyłaby się dla ciebie przykrymi konsekwencjami, proponuję ci udział w pewnym projekcie. Będziesz mógł udowodnić, że nadzieje, które w tobie pokładamy nie są płonne.

Nadinspektor wraca za biurko.

— Było włamanie do Archiwum Pamięci. Zginęły cenne i niebezpieczne dane. Z przeszłości. A wraz z nimi jeden z pracowników archipa. Mamy powody sądzić, że dołączył do abnegatów. Chcę, żebyś pomógł nam ich rozpracować i odzyskać skradzioną pamięć. Zaprzyjaźnisz się z Luną, zdobędziesz jej zaufanie, wnikniesz w ich środowisko. Przez ten czas będziesz zdany tylko na siebie. I jeszcze jedno – oficjalnie będziesz dezertorem, ściganym przez policję całego kraju. To cię uwiarygodni. Przyjmujesz moją propozycję?

— Dlaczego ja?

— Bo jesteś podobny do nich — Nadinspektor ogląda kawałek porcelany, który zabrał Adamowi.

— Zatrzymaj to. Może ci się przydać.

Rzuca odłamek Adamowi, a ten go łapie.

5

Adam jest w dobrym nastroju. Luna patrzy na niego nieufnie. Piją whisky z dużych szklanek. W tle widnieje zamazana Statua Człowieczeństwa.

— Więc nadal uważasz, że wypuściliśmy cię tylko po to, żeby cię śledzić i powyłapywać twoich przyjaciół? — pyta Adam.

— To oczywiste. Każdego podejrzanego o przestępstwo pamięci poddajecie testowi z kawałkiem porcelany? A może używacie do tego innych gadżetów: starych zdjęć, guzików z godłami nieistniejących państw, pocztówek wysłanych z wakacji, które dawno minęły? Gadżetów wam nie brak, nie? W końcu rekwirujecie ich u nas setki.

— To nie był żaden test.

Luna śmieje się, coraz głośniej.

— Chcesz się ze mną zaprzyjaźnić? Zaprzyjaźnić, a potem nas wszystkich zresetować. Żeby wreszcie zapanowała ogólna amnezja szczęśliwości. Żebyśmy wszyscy skoczyli w czarną dziurę, tu i teraz.

— Zostałaś zatrzymana na czterdzieści osiem godzin, a teraz jesteś wolna. Nasze podejrzenia nie potwierdziły się. To wszystko. Przepraszamy za niedogodności.

— Jaką mam gwarancję, że dacie mi spokój? — Luna nagle przestaje się śmiać.

— Żadnej. Ale jeśli postępujesz zgodnie z prawem, to nie powinnaś się niczego obawiać. Nie jesteśmy gestapo ani NKWD.

— Gestapo i NKWD to przeszłość. Wy jesteście gorsi.

— Przeszłość nie istnieje. Więc nie możemy być gorsi od czegoś, co nie istnieje. Jesteśmy jedyną rzeczywistością.

— Pieprzenie. Sam nie wierzysz w to, co mówisz. To tylko te wasze Czerwone Pastylki trzymają was w tej klatce. Jeśli to nie był test, to co?

Adam wyjmuje z płaszcza kawałek porcelany, Luna zabiera mu go, ogląda.

— Tu jest pieczętka wytwórni, zamazana. Pochodzi gdzieś z połowy XX wieku. Ziemi jeszcze nie kontrolujecie. Ona kryje wiele takich nieprawomyślnych pamiątek.

— Masz rację. To wszystko to tylko pieprzenie. Jestem policjantem, bo lubię tę robotę, a całą ideologię mam w dupie. Możesz to sobie zatrzymać. Na pamiątkę.— Adam wstaje, chce odejść.

— Zaczekaj. Nie skończyłeś drinka — głos Luny brzmi łagodniej.

Adam ociąga się, ale siada. Piją. Patrzają na siebie.

— Opowiedz mi o sobie.

— Myślałem, że to ja jestem od przesłuchiwania.

— Kim jesteś?

— Chciałbym się dowiedzieć.

— Doskonale wiesz kim jesteś.

— Nie. Nie wiem kim jestem, nie pamiętam już nawet twarzy rodziców. Chciałbym poznać swoją przeszłość, odzyskać wspomnienia.

— Ty podstępny skurwysynu! Ode mnie niczego się nie dowiesz. Nie chcę cię więcej widzieć!

Luna wybiega z baru, Adam rusza za nią, staje w drzwiach.

— Rzucę to wszystko!— woła.

Po chwili przypomina sobie o kawałku porcelany, który został na stole. Wraca po niego, chwyta w garść, mocno zaciska pięść i wali nią w stół.

— Rzucę to wszystko — mówi cicho.

Jego twarz znowu przybiera dawny, urzędniczy wyraz.

6

Opuszczony dom na przedmieściach. Wygląda jak melina bezdomnych. Przez wybite okno widać zarys Statuy Człowieczeństwa. Adam i Luna siedzą na czymś w rodzaju legowiska. Grzeją sobie dłonie nad lampą naftową, świecącą nikłym blaskiem.

— Czy to bezpieczne miejsce?— Adam jest zaniepokojony.

— W tym mieście nie ma bezpiecznych miejsc — mówi Luna. — Do jutra powinno być spokojnie. A rano zaczniemy szukać innego lokum. Dla mnie to normalka. Nie znam innego życia. My, abnegaci, jesteśmy nomadami drugiej połowy XXI wieku.

Luna milknie, ale po chwili znowu zaczyna mówić:

— Moi rodzice pracowali na uczelni, byli historykami. Pisali oficjalne podręczniki, ale po cichu sympatyzowali z ruchem mnemonickim. W końcu przeszli na drugą stronę. Krótco potem przyszedłem na świat. A ich złapano. Wychowywałem się w czymś w rodzaju sierocińca dla takich jak ja. Wśród ludzi, którzy ze wspomnień urządzili sobie świat. Od rana do wieczora musiałam słuchać opowieści starców, uczyłam się ich, a potem sama przekazywałam je młodszym. Pamiętam wszystko. Każdy szczegół, każdy włos i znamię na rękach opiekunów, pamiętam nawet zapach ich oddechów. Pamiętam wszystko, z wyjątkiem własnych rodziców.

— Co oni ci zrobili? Krzywdzili cię?

Luna milczy przez chwilę, wreszcie się odzywa:

— Teraz rozumiesz? Chcę zniszczyć to wszystko. To, czemu całe życie służyłeś i to, z czym walczyłeś. Chcę innego świata, bez tego chorego podziału na świętą pamięć i błogosławioną amnezję. Waszego świata nienawidzę, a mojego się brzydzę.

— Nigdy w nic nie wierzyłem. Byłem wzorowym uczniem, studentem, dobrze zapowiadała się moja kariera zawodowa. Doskonale rozumiałem, że moi starzy rodzice muszą odejść, a ja muszę służyć. Tak, służyłem im nawet wtedy, kiedy już przestałem rozumieć sens tej służby. Po prostu wchodzisz w swoje koleiny i pozwalasz toczyć się godzinom, dniom, miesiącom. Miałem wiele kobiet i żeńskich robotów, ale wkrótce przestawało mi robić różnicę to, z kim jestem. Sam stawałem się robotem. Miałem przed sobą dwie drogi: iść dalej w stronę całkowitego oddania się systemowi albo wyłączyć się. Jedna i druga kończą się na dnie. Ale wybieram to dno. Z tobą. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

— Wybawienie nadejdzie z północy. Tam, w Wielkiej Puszczy, mieszka Duch, który stanie się Człowiekiem i przyjdzie do Miasta, żeby je wyzwolić. A na gruzach Miasta powstanie nowe Miasto, rządzone przez prawych i sprawiedliwych. Statua Człowieczeństwa na powrót będzie przedstawiać Człowieka. A my będziemy żyli długo i szczęśliwie, gromadząc wspomnienia, całe śnieżne zasy wspomnień...

Luna zasypia, wkrótce dołącza do niej Adam. W oddali widać światła i słyszeć wycie syren.

Nadinspektor za biurkiem przegląda akta, Adam siedzi przed nim, na krześle, spokojny.

— Nie jesteśmy zadowoleni z twojego raportu. Oczekiwaliśmy informacji o strukturze ruchu abnegackiego, kierownictwie, sposobach komunikowania się, kanałach przerzutowych. A ty nam dajesz co? — pyta Nadinspektor, podnosząc wzrok na Adama.— Bajkę o mesjaszu, który ma nadejść z Wielkiej Puszczy na północy. Co ty sobie wyobrażasz? Że jesteśmy instytutem etnograficznym?

Wstaje i idzie w stronę Adama. Zatrzymuje się przed nim.

— Wykazaliśmy maksimum dobrej woli, żeby pomóc ci wykonać zadanie. Obdarzyliśmy cię zaufaniem, przeznaczaliśmy na twoją misję niemałe środki. I to wszystko dla pieprzonej bajki o pieprzonym zbawicielu?! Nie interesują nas warunki życia ani nastroje wśród abnegusów! Interesuje nas ich wyeliminowanie z naszego życia, oczyszczenie miasta z tej rakowej narośli, która nie pozwala mu normalnie żyć i rozwijać się!

— Według mojej wiedzy nie mają żadnej struktury poza naturalnymi więziami rodzinnymi. Nie tworzą jednolitej organizacji. Żyją w rozproszeniu. Często zmieniają miejsce pobytu, co sprawia, że nie są w stanie wytwarzać skomplikowanych przedmiotów, narzędzi czy broni — Adam stara się mówić spokojnie i rzeczowo. Nadinspektor uważnie mu się przygląda.

— Więc twoim zdaniem abnegaci są niegroźnym elementem lokalnego folkloru. Jak Cyganie do drugiej połowy XX wieku. Widzisz, interesuję się trochę historią, w naszym fachu to nawet wskazane. I właśnie historia uczy, że każdy ruch, nad którym państwo nie przejmuje w porę kontroli, jest dla niego potencjalnie śmiertelnym zagrożeniem.

— Przejęcie całkowitej kontroli nad nimi będzie trudne, jeśli nie niewykonalne. Właśnie z powodu silnego rozproszenia. Paradoksalnie – organizacyjna słabość jest ich największą siłą.

Nadinspektor, słuchając, przechadza się po gabinecie.

— A zatem nie dajesz nam wyboru. Będziemy musieli zastosować rozwiązanie siłowe. Osobiście byłem jego przeciwnikiem, mimo że w kierownictwie jest silne lobby na rzecz „Endlösung”. Jednak teraz widzę, że nie miałem racji.

— To nie jest rozsądne. Możemy pozyskać wielu z nich. Potrzebuję więcej czasu...— Adam jest zdenerwowany.

— Nie mamy więcej czasu! — Nadinspektor podnosi głos. — Rak wymaga radykalnej terapii, z amputacją chorych tkanek włącznie. W przeciwnym razie zabije nasz organizm i, co gorsza, niczego nie wzniesie na gruzach, bo nie jest do tego zdolny. Wybacz mi to staromodne porównanie, ale oni są jak żydostwo, rozsadzają struktury od środka, pasożytują na nich, a potem przenoszą się na inny, zdrowy organizm. Przestajemy panować nad rozmiarami spisku, dezertków liczymy już dziesiątkami, a wkrótce zaczniemy setkami, może i tysiącami. Jak tak dalej pójdzie, to nie oni, ale my będziemy wyrzutkami. I to we własnym mieście! Zresztą nie ma nad czym dyskutować. Wydałem już stosowne polecenia. Rozwiążemy ostatecznie problem abnegatów, a ty nam w tym wydatnie pomożesz, funkcjonariuszu Adamie.

Nadinspektor staje przed oknem, wpatruje się w czerwoną mgłę, w której tkwią geometryczne bryły ze Statuą Człowieczeństwa na czele.

— W życiu każdego człowieka nadchodzi moment próby. Możesz od tego uciekać, możesz sobie wmawiać, że ciebie to nie dotyczy, że uprawiasz tylko swój kawałek poletka, ale prędzej czy później pojmujesz, że to nieprawda, bo twoja ziemia jest zawsze częścią jakiejś całości. I w imię tej całości musisz podnieść głowę znad grządky, spojrzeć w słońce i powiedzieć jedno z dwóch słów: „tak” albo „nie”. Jednego tylko nie możesz – uciec, bo nie ma takiego miejsca pod naszym słońcem, dokąd mógłbyś się udać. Więc jaka jest twoja odpowiedź, Adamie?

— Składałem przysięgę, że będę stał na straży prawa i to jest moja odpowiedź.

— Doskonale, doskonale... Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się po tobie innej odpowiedzi — Nadinspektor zmienia ton. — Nie uważasz, że nasza architektura wyczerpała już swoją formę? Osiągnęła wyżyny harmonii potęgi i prostoty, i zdolna jest już jedynie do powielania swojej doskonałości. Ale ponieważ doskonałość to także niepowtarzalność, nasze doskonałe budownictwo skazana jest na degenerację, tym szybszą, im szybszy jest postęp techniczny. To pasjonujące i karkołomne, być architektem w czasach schyłkowych. Weź kilka dni urlopu, odpocznij. Czekają nas dni chwały! I nie spotykaj się już z tą... Luną. Nie jest nam już do niczego potrzebna.

Nadinspektor na dobre odwraca się do okna. Adam wstaje i opuszcza gabinet.

8

Adam i Luna przechadzają się wśród zapuszczonych, zapadających się grobów. Statua Człowieczeństwa majaczy na dalekim planie.

— Odkąd przestałeś zażywać Czerwoną Pastylkę, stałeś się sentymentalny.

— Nigdy nie byłem na cmentarzu.

— Całe kwartały Miasta zostały postawione w miejscu dawnych cmentarzy. Największy był tam, gdzie stoi Statua Człowieczeństwa. Był tak wielki, że mówili na niego Miasto Umarłych. Ten nasz jest jego marną namiastką.

— Odwiedziłem rodziców w ośrodku rewitalizacyjnym. Poznałem ich jedynie po numerach identyfikacyjnych. Twarze zupełnie obce. Rozmawialiśmy kilka minut, ale wkrótce nie mieliśmy o czym. Zabrali im całą pamięć. Jesteśmy Miastem Umarłych Za Życia.

— Każdy powinien mieć własnych zmarłych. Ten tutaj nauczył mnie rozpoznawania gwiazdozbiorów. W młodości uprawiał boks. Ostatecznie został krawcem. Szył bardzo staromodne garnitury. A tu leży chłopiec zastrzelony podczas jednej z waszych obław. Umarł na moich rękach.

— „Śp.” to od „świętej pamięci”? Mnie się kojarzy ze „śpi”.

— Nasi starcy twierdzą, że pamięć jest święta, bo ocala człowieka od śmierci.

— Jeszcze jedna z waszych iluzji. Pamięć niczego nie ocala. Próbuje jedynie oszukać rozum.

— Znikasz na tyle dni, a potem spotykasz się ze mną tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

— Musisz uciekać. Oni chcą was wszystkich zabić. Odnajdę cię, jak to się skończy.

— To się nie skończy. Oni niszczą nasze cmentarze, a my zakładamy następne. Na tym polega gra.

— Nie można zaczynać nowego życia od budowy cmentarzy. Nie jestem sam, znam ludzi, którzy są gotowi wam pomóc, dostaniecie broń, żywność. Las da wam schronienie. Zorganizujemy partyzantkę, będziemy ich nękać, nękać tak długo aż sami poproszą o rozejm, ale my będziemy walczyć dalej, do ostatecznego zwycięstwa. Zobaczysz, wszystko będzie inaczej.

— To jest dopiero iluzja! Ale nasza jest przynajmniej bardziej realna, bo opiera się na tym, co było. Twoja jest próżnią, dlatego tak łatwo zasysa wszystkie kłamstwa.

— To jest plan, a nie iluzja. Potrzebny jest symbol oporu, wyraźny znak dla innych, niezdecydowanych jak ja, i dla wychowanych na cmentarzach, jak ty. Ja dopiero z tobą zacząłem zbierać wspomnienia. Zupełnie jakbyś wyciągnęła mnie z brzucha jakiegoś molocha. Pamiętam, jak zobaczyłem cię pierwszy raz. Twój profil, kiedy odwracałaś głowę od lampy. Nigdy nie zapomnę tego, jak wtedy przechylałaś głowę. Nigdy. Ty i inni musicie uciekać, ja mam jeszcze coś ważnego do załatwienia w Mieście.

— A jeśli my nie chcemy żyć inaczej? Może właśnie istnienie takich jak my uzasadnia istnienie takich jak wy. Jesteśmy wam potrzebni, tak jak wy jesteście potrzebni nam. Dzięki wam czujemy się lepszymi niż jesteśmy w rzeczywistości. Ja też nie lubię cmentarzy, boję się trupów, ale tutaj nikt mnie nie zmusza do życia chwilą. Tutaj życie jest chwilą.

Adam patrzy w stronę Wielkiej Puszczy.

— On tam jest. Uśpiony, czeka na sygnał.

Wyjmuje z kieszeni płaszcz znajomy kawałek porcelany, wkłada Lunie w dłoń.

— Muszę iść. Zatrzymaj to.

Całuje Lunę. Biegnie w kierunku majaczącej w oddali Statuy Człowieczeństwa.

—Znajdę cię!

Luna zaczyna wrzeszczeć.

9

Obszerne pomieszczenie przypomina salę szpitalną. Wszystko jest białe, rzęsiście oświetlone. Wysoko wisi ekran z Głową, teraz milczącą. Na środku pomieszczenia znajduje się stół, na którym leży Adam. Jego ręce i nogi przytwierdzone są do stołu grubymi pasami. Przy Adamie stoi umundurowany Nadinspektor i kilka osób, niektóre ubrane na białą, inne w mundurach. Obok widać mniejszy stolik ze strzykawką i fiolkami z medykamentami. W tle majaczy Statua Człowieczeństwa w czerwonej mgłę.

— Podziwiam cię — mówi Nadinspektor. — Naprawdę. Próbować wysadzić Statuę Człowieczeństwa. No, no... Przyznam ci się w zaufaniu, że sam nieraz o tym myślałem. Nasza architektura stała się zbyt przytłaczająca, można powiedzieć, że jej rozwój wyprzedził rozwój jej użytkowników. Nie dorastamy jeszcze do tej potęgi. Z drugiej strony, gdyby skroić ją do naszych obaw i wątpliwości, do naszego wrodzonego oportunisty, to wówczas poprzewracałoby się nam w głowach. Bylibyśmy skłonni sądzić, że panujemy nad światem. A przecież żaden prawdziwy humanista nie powie, że panuje nad światem. Ale ty odważyłeś się zrzucić z siebie maskę humanisty i właśnie za to cię podziwiam. Ona dawała ci poczucie bezpieczeństwa, zabezpieczała twoje idee przed ich realizacją. Postanowiłeś jednak zaryzykować i zobaczyć, jak to jest bez maski. Uwierzyłeś, że widzisz więcej, dalej, że będziesz mógł dać światu symbol. Symbol końca i początku. To była piękna idea, w połączeniu z legendą o Duchu Puszczy wręcz porywająca! Prawdziwy początek Nowego Świata! Zniszczenie Statuy Człowieczeństwa byłoby czymś w rodzaju 11 września 2001 *à rebours*. Wtedy zaczął wykluwać się system bezpieczeństwa, w którym i dzięki któremu

żyjemy do dzisiaj. Ty chciałeś nasz propaństwowy terror złamać terrorem czystym, metaforycznym, a przez to wyjątkowo nośnym. Nie przewidziałeś tylko jednego. Siły ludzkiego przyzwyczajenia, która jest większa niż siła resentymetu. Ale postanowiliśmy wyjść naprzeciw twoim oczekiwaniom i dlatego twoją egzekucję uczyniliśmy symbolem. No wiesz.

Śmieje się.

— „Wiekuiestego zwycięstwa zaranie”.

Przestaje się śmiać.

— Twoja samotna śmierć pozwoli nam na kilka lat zachować jaki taki spokój w naszych szeregach. To wystarczy, żeby ostatecznie rozwiązać kwestię abnegatów.

— Nie jestem sam, za mną pójda inni! Nie złapiecie wszystkich!— krzyczy Adam.

Nadinspektor jakby nie zwracając uwagi na słowa Adama:

— A co do Wielkiej Puszczy, to dzięki tobie przyspieszeniu uległy prace nad jej zagospodarowaniem. Nasi urbaniści i architekci przedstawili szereg wizji zabudowania tego terenu nowoczesnymi osiedlami. Oczywiście jej część pozostawimy jako Park. Kto wie, może nawet nazwiemy go Parkiem Ducha Puszczy. Co o tym sądzicie?

Funkcjonariusze biernie przytakują.

— Jak widzisz, nie jesteśmy dogmatykami. Nawet w trudnych czasach zachowujemy dystans do samych siebie. Szkoda, że musimy rozstać się w takich okolicznościach. Wiązałem z tobą spore nadzieje. Niestety, postanowiłeś dołączyć do grona obywateli nicości. Będziemy strzec pamięci o tobie.

Wybuchą głośnym śmiechem, ale raptownie poważnieje i daje znak trojgu ludziom w białych strojach, którzy przystępują do procedury uśpienia. Każda z tych osób przygotowuje osobną strzykawkę.

Podchodzi pierwsza i wstrzykuje Adamowi zawartość zasobnika. Adam mówi słabnącym głosem:

— W ogrodzie rosły malwy, łapałem w nich trzmiele do słoika. Lubilem leżeć na dachu szopy. Pachniało smołą. Patrzyłem na chmury. A kiedy zachciało mi się pić, szedłem do kuchni, gdzie stała butelka z sokiem malinowym.

Druga osoba wstrzykuje Adamowi środek usypiający. Pacjent mówi słabiej i wolniej.

— Kiedyś zlażiłem z dachu i zawadziłem nogą o gniazdo os. Ojciec je odciął. Został po nim niewyraźny ślad, ale osy wciąż krążyły wokół niego jakby chciały w powietrzu narysować swoje gniazdo. Jakby próbowały przypomnieć sobie jego kształt.

Trzecia osoba wstrzykuje ostatnią dawkę śmiertelnościowego środka. Adam mówi ledwie słyszalnie, bardzo wolno, zasypiając.

— Nic nie ma znaczenia... nie ma śladu po rękach, ustach... zostaje zamazany znaczek na kawałku porcelany...

Zasypia na dobre. Lekarz podchodzi do niego ze stetoskopem, sprawdza, czy oddycha, kiwa głową, że nie wyczuwa pulsu. Pielęgniarki przykrywają ciało białym prześcieradłem. Wyprowadzają je, za nimi wychodzą pozostali. Gasną światła.

Epilog

System działa sprawnie, mimo że zażywanie Czerwonej Pastylki nie jest przecież przymusowe. Ogólnie pojęty humanizm klóci się z wszelkim przymusem i przemocą. Ogólnie pojęty humanizm zakłada, że obywatele nie będą postępować niezgodnie z własnym interesem. Niektórzy próbują ucieczki, nie, to złe słowo, z miasta nie ma innej drogi, jak tylko do innego, niemalże identycznego, a z tego zaś do kolejnego i tak dalej, więc niektórzy próbują iluzji zmiany. Jeśli jednak w Puszczy mieszka Duch, który ma odmienić oblicze miasta, to jest to tylko zjawy, a więc nie ma tam niczego.

System działa sprawnie, zapewniając przestrzeń życiową mieszkańcom. Sporo mieszkań opróżnia się w drodze naturalnego ubywania ich lokatorów. Są nawet całe uśpione dzielnice, będące wciąż jeszcze niestety siedliskami abnegatów, ale takie są społeczne koszty postępu.

System działa sprawnie, choć nie jest wcale łatwo rewitalizować miejsca naznaczone pamięcią.

rys. Marcin Czarnecki



MIASTO W CIENIU SKĄPANE

HISTORIA SH'A ME-DI. Z ZAPISKÓW FYNNA GAEDE'A

Marcin Mierzejewski

*Kto formuje z chmur
Ten kształt, jakby smocze łby?
Kto zrywa z domu dach
Jak skalp, pozbawia okna szyb?*

*Kto piorunom ostrzy groty?
Kto jęzorami fal
Zlizuje palmy z brzegów wysp?
I na rozkaz czyj
Dusze wyskakują z ciał?
Kto przejrzyste kule gradu
Ciska z pasją w maszty statków?
Katarzyna Nosowska, Kto?*

Przewrotne i nieznające ukojenia, rozszalałe wiatry al-shamaal, rozrywające rozgrzane powietrze pustyni Rub'al Khali, pochłaniające życie istot, które były na tyle nierozsądne, by zapuścić się w odmęty czerwonego morza piachu Arabii, skrywają wiele tajemnic, także tych, których nadgryzione przez zapomnienie korzenie sięgają czasów odleglejszych, niżli człowiek byłby to sobie w stanie wyobrazić swoim ograniczonym przez *teraz* umysłem. Z zapisków oficjalnie uznanego za zaginionego, dwudziestodziewięcioletniego Fynna Gaede'a, które swoją drogą sprowadziły na biednych, niczemu winnych poszukiwaczy mężczyzny los gorszy od śmierci, los wiecznej niewiadomej i dozgonnego strachu, dowodzić mają rzekomo istnienia pewnej osady, od tysiącleci i na tysiąclecia okrytej cieniem góry, *której nie nazwał żaden człowiek*. Oraz czegoś, co w osadzie tej miałyby istnieć.

U podnóża owej czerwono-pomarańczowej góry, wychylającej swą głowę ponad pasmo wydm, których wysokość sięga niemal trzystu metrów, rozciągając się miała owa niewielka osada niegdysiejszych nomadów, sięgająca małego, acz zatrwającego jeziora [o ile można je tak nazwać]. Dlaczego akwen wodny, z pozoru życiodajny, napawa wszystkich wtajemniczonych grozą, wyjaśni się wraz z dalszym ukazywaniem losów zaginionego Fynna Gaede'a. Niemniej jednak na bezkresach piaszczystej pustyni istnieć miała osada Sh'a Me-di. Używać możemy jedynie przypuszczeń i niejasnych hipotez, bowiem żadne, nawet te najbardziej specjalistyczne, wybiegające poza ramy konwencjonalnych środków badania i poszukiwania [włączając w to zdjęcia satelitarne] nie dowiodły, iż pustynne miasto, leżące u podnóża góry, *której nie nazwał żaden człowiek* naprawdę istnieje, co zaprzeczało bezlitośnie zapiskom w dzienniku Gaede'a, znalezionym w mitycznym mieście Irem.

Sama legenda owego Sh'a Me-di, miejmy nadzieję wykreowanego przez Niemca – bowiem właśnie stamtąd, a konkretniej z kolebki niemieckiego przemysłu, czyli Dortmundu, Gaede pochodził – pozornie mogłaby stanowić ciekawostkę i atrakcję jedynie dla kręgu wielbicieli folkloru i archeologii. Mogłaby, gdyby nie koślawe słowa Fynna, którymi w swoim odnalezionym [niech będzie przeklęty] dzienniku autor przedstawił wizję łamiącą nie tylko serca, lecz także psychikę każdego, kto odważył się z nimi zapoznać. Sami poszukiwacze nigdy nie poczuli potrzeby, by ukazać swe tożsamości na forum publicznym, chcąc spróbować [jakże naiwnie] żyć bez wspomnień owych przepowiedni, głoszonych przez Niemca, odkrywcę osady Sh'a Me-di, miasta skąpanego w mroku góry, *której nie nazwał żaden człowiek*. Oraz tego, co tam żyło i jest już być może w stanie żyć poza granicami cienia.

Niemniej jednak zanim wszystko to, co przedstawił w swoim dzienniku Gaede [a przynajmniej to, co poszukiwacze odważyli się ujawnić przed zniszczeniem notesu], włączając w to nie tylko barwne opisy Sh'a Me-di, lecz także przepowiednie, przekreślające dalsze dzieje ludzkości, a przynajmniej jej świetlanego okresu, ujrzy światło dzienne, niezmiernie ważnym jest umotywowanie samego jego wyjazdu do zaspanych pradawnymi piachami ergu.

Dodać należy, iż erg ten nie bez powodu owiany był przez tak długi czas nieprzejrzystą dla ludzi z zewnątrz szatą. Jest to teren niezwykle surowy, wręcz skłaniający do [niestety trafnego] porównania z pierwotną brutalnością świata. Tak jakby centrum zła i wojny miało swój załęczek pośród nieprzerwanie szalejących wiatrów al-shamaal. Trwające tygodniami bezdeszczowe burze pochłaniają żarłocznie wszystko to, co stanie im na drodze. I trwać to będzie aż po kres znanego ludzkości świata.

W tym momencie, w ramach ukazania motywacji mężczyzny, koniecznym jest przedstawienie jego postaci – Niemca, rodowitego [i jakże z tego dumnego] mieszkańca Dortmundu, który w chwili ostatecznego zaginięcia zbliżał się wieku trzydziestu lat, którego miejmy nadzieję nie osiągnął.

Najwięcej informacji o tym człowieku dostarczyć mogą relacje osób bytujących z Gaede'm na co dzień, czy to w pracy, czy sąsiedztwie. W jakże ślepych na rzeczywistość oczach swoich pobratymców Fynn jawił się jako osoba niezwykle poważna, dojrzała jak na swój stosunkowo młody wiek. Jego rezolucyjność miała odnajdywać swe źródło w tragicznym wypadku, który zdarzył się, gdy Fynn Gaede osiągnął wiek czternastu lat. W nadal niewyjaśnionych okolicznościach jego ojca, Pascala Gaede'a, pochłonęła wiecznie niezaspokojona paszcza śmierci, pozostawiając po sobie jedynie powykęcane zwłoki,

wydzielające dojmujący, niemal nie do wytrzymania odór spalenizny i zgnilizny. Odnalezienie truchła przez młodego Niemca było tym bardziej dotkliwie, że zaledwie dwa lata wcześniej stracił on w pożarze swą matkę, Sophię. Mimo iż prawną opiekę nad Gaede'm objęła nieznana mu ciotka, która przeprowadziła się w tym celu z Polski, Fynn zmuszony był do samodzielnego przyswojenia wiedzy o przemyśle, który podlegał władzy jego ojca. Przez wiele lat młodzieniec przesiadywał nad kartotekami, raportami i niezrozumiałymi dla swej ciotki księgami, by w pełni zrozumieć mechanikę działalności, która przyniosła jego rodowi tak pokaźne zyski.

Tak jednak postrzegali mężczyznę ludzie, którzy nie znali go bliżej. Prawdziwe oblicze Gaede'a zdała się odkryć dopiero Alina, polska ciotka z niejasną przeszłością, która ostatecznie w 1998 roku, czyli wtedy, gdy Fynn osiągnął wiek osiemnastu lat, utraciła nad nim kontrolę oraz jakikolwiek wgląd w jego poczynania czy to osobiste, czy finansowe. Rozszyfrowała ona prawdziwy charakter swego bratanka, który, nie owijając w bawełnę, okazał się nieodpowiedzialnym, wiecznie szukającym rozrywek kawalerem. Gdyby nie potężne dziedzictwo finansowe, które swoją drogą Gaede zatrwając szybko marnotrawił, już dawno wylądowałby na ulicy, powalony rozprzestrzeniającą się w organizmie chorobą weneryczną, złapaną podczas jednej z niezliczonych, trwających całymi nocami libacji alkoholowych. Tak czy inaczej, koniecznym jest zaznaczenie być może przykrego faktu, iż Fynn Gaede bynajmniej nie popadł w aberrację psychiczną, umotywowaną tragiczną śmiercią obojga rodziców, a zamiast tego czerpał hedonistyczne przyjemności, wykorzystując do tego odziedziczony majątek, jednocześnie odgrywając komedię godną republiki, nakładając maskę idącego śladami ojca przedsiębiorcy.

Uzmysłowienie wszystkim prawdziwego oblicza zaginionego Niemca jest niezwykle ważne dla uzasadnienia jego wyborów. Jednym z nich było choćby zmarnowanie szansy na mniej znaczący, ale mogący przynieść dodatkowe zyski kontrakt z nowym na rynku przedstawicielem przemysłu francuskiego, z powodu przedłużenia wycieczki, mającej na celu wyeksplorowanie mitycznego miasta Irem, w którym odnaleziono, jak już zostało powiedziane, dziennik Gaede'a.

Podróż po piaszczystych odmętach Rub'al Khali rozpoczęła się w roku 2007, a dokładniej 22 marca, gdy Niemiec był już dojrzałym, przynajmniej fizycznie, mężczyzną. Powodem wyruszenia na tę sąsiadującą z niedostępnymi dla człowieka, pogrążonymi w wiecznych burzach al-shamaal rejonami pustynię była, przynajmniej w oczach ludzi nieznających Fynna bliżej, możliwość poszerzenia wpływów przedsiębiorstwa Pascala Gaede'a o faktorie ropy naftowej położone w Shaybah, leżącego blisko granicy ze

Zjednoczonymi Emiratami. Prawda jednakowoż była taka, iż dwudziestosiedmioletni mężczyzna pragnął tylko i wyłącznie odwiedzić mityczne miasto Irem, o którym tak wiele słyszał. Ze wspomnianego już przekłętego przez poszukiwaczy, żyjących obecnie w paraliżującym strachu przed ciemnością, dzienniku [który swoją objętością przekraczał wiele współczesnych powieści] odnieść można wrażenie, iż obsesja na punkcie tego miasta rozwijała się w Niemcu już od niemal młodości. Sama możliwość dotknięcia rozgrzanego piachu miasta, które uległo zagładzie przez własne grzechy, napawała go niewytłumaczalną ekstazą. Dlatego też, po załatwieniu wszelkich formalności, ekspedycja ruszyła ku jednemu miejscu, jakie Fynn uznawał za wartę zachowania powagi. Jego żądza przygód łączyła się ze świadomością wyższości archaicznych sekretów nad człowiekiem.

Właśnie tam, pośród niezaspokojonych piachów elisum, broniących zazdrośnie swych tajemnic, odnaleziono w roku 2010 dziennik zaginionego Fynna Gaede'a, dzięki któremu możliwe jest sprawozdanie z jego losów. Już sam fakt, że dziennik pojawił się w miejscu, do którego mężczyzna nie zaglądał od trzech lat, mogło nurtować poszukującą go ekspedycję, jednak o wiele dziwniejszym i spędzającym sen z powiek poszukiwaczy był fakt, w jakim konkretnie miejscu ów dziennik postanowił ukazać się ich oczom. Była to bowiem najpewniej nieodkryta przez nikogo wcześniej jaskinia bądź też nora, która niczym topielec złakniony powietrza przedarła się ponad morze czerwonego piachu i otworzyła gębę ku błękitnemu niebu. W samej jaskini lub też norze nie znajdowało się absolutnie nic poza jedną, niesięgającą nawet połowy wysokości białą kolumną, która w wyobraźni poszukiwaczy zamieniła się w świetle pochodni w drobny ząb zanimizowanej podziemnej pieczary. Na jej gładkim szczycie leżał zamknięty notes spisany koślawym pismem Niemca od jednej czarnej, oprawionej w prawdziwą skórę okładki, do drugiej, poplamionej czymś, co w dalszych ekspertyzach, zgodnie z obawami, okazało się krwią zaginionego. Dlaczego Fynn Gaede zostawił notes w pieczarze oraz co sprawiło, że pokrył go swą posoką, zostało tylko pośrednio przez niego wyjaśnione, a poszukiwaczce pozostają przy ostatku zdrowych myśli tylko dzięki nadziei, iż lapsusy w dzienniku świadczą o nieautentyczności ostatnich akapitów.

Jednakowoż zanim przedstawione zostanie prawdopodobne zakończenie żywota zaginionego Niemca i [bogowie uchronicie] czyhające na los ludzki mroczne, zarówno w przenośni, jak i niestety dosłownie, zagrożenie, należy rozpocząć sprawozdanie od samego początku, bowiem dopiero wtedy, poznawszy zapomniane przez wszystko co ludzkie miasto Sh'a Me-di oraz jego historię i przyszłość zapowiedzianą przez Gaede'a w dzienniku, będzie możliwe poznanie prawdziwej grozy, która zawisła nad naszymi dziejami.

Można by rzec w luźnej narracji, iż cała historia, kończąca się odkryciem dziennika w jaskini w Irem, wzięła swój początek w wyprawie europejskiej ekspedycji z 2007 roku do Shaybah w celach biznesowych oraz owego mitycznego miasta, by spełnić zachciankę Fynna.

Samego opisu Irem, jakiego zastał Gaede po wszelkich sabatach z żądnymi krwi biznesmenami z Shaybah, było zadziwiająco mało. Czy wynika to z rozczarowania, które zatrulo serce i umysł mężczyzny, czy z czegoś zupełnie innego – nie sposób ocenić. Choć samego opisu rumowisk odbywających wieczną kąpiel w czerwieni piachu było niepokojąco mało, to zrekompensowała to deskrypcja tajemniczej księgi, odnalezionej [jeśli wierzyć słowom Niemca] pod jedną z niepozornych skał. Fynn ochrzcił ją mianem Księgi Krawedolusa, choć czy ma to cokolwiek wspólnego z prawdziwym znaleziskiem – zapewne nigdy nie będzie dane ludzkości się dowiedzieć. Tak samo bowiem jak odkrywca owego dzieła, tak i księga zaginęła, a wszelkie szczątkowe informacje na jej temat wywodzą się właśnie z dziennika mężczyzny, który strawiły płomienie, wzbudzone przez poszukiwaczy na tyle zdesperowanych, by odciąć się od pozyskanej wiedzy, jak choćby tego, że nieformalny Hadeik to zaledwie nieprzejrzana dla oka ludzkiego granica, odcinająca naszą ludzką świadomość od dziejów świata naznaczonych wydarzeniami znacznie krwawszymi i brutalniejszymi niżli wszystkie stoczone przez nasz gatunek wojny i konflikty.

Księga zapisana była niezrozumiałym dla zaginionego Gaede'a językiem, jednak nie nieznanym. Gaede doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że spogląda na niezwykle starannie nakreślone arabskie słowa, układające się w lity tekst. Choć pobratymcy Niemca określali go jako osobę stosunkowo chłodną, wyzbytą jakże typowej dla człowieczeństwa konieczności ekspresji swych emocji, to kolejne zdania w dzienniku znalezionym w Irem w 2010 roku były prawdziwą, niepohamowaną, orgiastyczną eskalacją ekstazy, w jakiej znalazł się mężczyzna. Czuł, że trzymane w jego chudych rękach dzieło literackie zabierze go w świat niezapomnianych przygód i tajemnic. Bowiem jak często spotyka się w niedostępnych dla ludzkości przestworzach ergu księgi? Poszukiwacze często zastanawiają się, czy gdyby Fynn nie sięgnął wtedy po księgę albo chociaż nie próbował jej tłumaczyć, to czy wtedy mogliby spać spokojnie, bez zapalania świec i lamp oraz modlenia się, choć sami już zwątpili do kogo, o łaskę.

To właśnie owa Księga Krawedolusa, tajemniczego mężczyzny, który pojawiał się sporadycznie na kartach historii, wertowanych przez poszukiwaczy już po odnalezieniu dziennika, zaprowadziła Gaede'a bezpośrednio w śmiertelny i nieustępliwy uścisk pogrążonego w cieniu góry miasta Sh'a Me-di, a w dalszej konsekwencji do obłędu, który profetycznie sprowadzi na znany nam świat zagładę.

Gaede, żądny przygód i sekretów spisanych, jak to określił, pięknymi arabskimi słowami, postanowił zabrać owe cymelium do swego rodzimego Dortmundu, by następnie, zgodnie z coraz skrupulatniejszymi zapiskami w dzienniku, poświęcić dwa lata na jego tłumaczenie. Poszukiwacze zarzekli się przed ujawnieniem choćby najmniejszej części tego, co owa Księga Krawedolusa głosiła swą infernalną perorą. Zgodnie stwierdzili jedynie, iż właśnie owa jowiszowa księga doprowadziła mężczyznę do Sh'a Me-di, miasta od tysiącleci i na tysiąclecia skąpanego w mroku góry, *której nie nazwał żaden człowiek*, oraz czegoś znacznie bardziej archaicznego niżli zwykle, możliwe do zrozumienia przez ograniczony ludzki umysł, ruchy orogeniczne.

W roku 2009 tłumaczenie woluminu dobiegło końca. Właśnie wtedy Fynn Gaede postanowił wyruszyć ponownie do Arabii, by na własne oczy ujrzeć opisywane w Księdze Krawedolusa miasto okryte szatą mroku. Poszukiwacze nie byli w stanie jednogłośnie stwierdzić, skąd Niemiec posiadał tak obszerną wiedzę na temat owego mitycznego miasta Sh'a Me-di, bowiem żadne z zanotowanych fragmentów tłumaczeń nie dotyczyło miasta samego w sobie.

Sama historia miasta, bazując na danych w dzienniku Gaede'a, spisywana była podczas podróży ku odmętom piaskowego morza Rub'al Khali, do której mężczyzna przygotowywał się skrupulatnie przez dwa lata.

Według Niemca wszystko rozpoczęło się nim jeszcze pradawny świat kultury minojskiej pokryty został płachtą hekatomb, a nawet przed historycznym potopem, który chrześcijanie uznali za wydarzenie znamienne dla ich wiary. Niemniej same wydarzenia miały miejsce już w holocenie.

Na szlakach przecinających znany nam współcześnie Półwysep Arabski, zakodowanych genetycznie w pólpierwotnych umysłach wędrujących nomadów, koczowała wówczas niewielka gromada niezwykle jak na swoje czasy rozwiniętych prototypów współczesnego człowieka, szukając schronienia niczym ślepy owad, odbijający się od tafli szkła, w oczekiwaniu na rejteradę. Okres ich odysei, przekłętej niezaspokojonymi burzami al-shamaal, miał trwać nieprzerwanie wiekami do czasu natrafienia na tereny, które poszukiwacze Fynna Gaede'a niepewnie porównali do Wabar, w którym to odkryto krater uderzeniowy po meteoroidach, a przynajmniej po tym, co wraz z meteoroidami przybyło.

Właśnie tam, pośród kraterów Wabar, mylnie datowanych przez ograniczone kręgi naukowców, przed ponad dziewięcioma mileniami ów nomadzki lud odkrył sześć kamiennych obelisków wystających ponad płaszcz pustyni i kuszących swą ekscentrycznością. Obeliski te, uformowane w idealne prostopadłości, nie przerastały wielkością współczesnego człowieka,

zaś każda ze ścian uświetniona została swoistego rodzaju instrukcją, zapisaną pismem piktograficznym, by prosty nomadzki lud mógł bez problemu zrozumieć swoje przeznaczenie i ciężący obowiązek wobec owych kamieni.

Zgodnie z instrukcjami zawartymi w wykonanych z niezwykłą dokładnością rzeźbieniach przyszła ludność miasta Sh'a Me-di zabrała ze sobą pięć spośród sześciu sięgających czasów złączenia się Uranosa i Gai obelisków i wyruszyła w podróż w poszukiwaniu góry, *której nie nazwał żaden człowiek*, a pod którą znajdować się miało niewielkie jezioro z wysepką pośrodku, na której zgodnie z wolą tajemniczej postaci z płaskorzeźb umiejscowione miały zostać owe dzieła sztuki. W zamian, jeśli wierzyć zapisom Gaede'a, za codzienne krwawe ofiary z turów składane w wodach jeziora, miasto, które założone miało zostać tuż u podnóża czerwonej góry, już nigdy nie miało poznać wściekłości wiatrów al-shamaal oraz żaru Słońca. Góra, *której nie nazwał żaden człowiek*, rzucać bowiem miała nigdy niezmienny swego położenia cień.

Humanitarnym obowiązkiem jest ostrzeżenie, iż powyższa legenda spisana była przed przybyciem Fynna Gaede'a do Sh'a Me-di, zaś to, co opisał w dalszej części dwudziestodwuletni Niemiec odnosić miało się do sensualnych wrażeń, jakich doznał po dotarciu do góry, *której nie nazwał żaden człowiek*. Oczywiście cała historia wydawać może się jedynie wymysłem złąknionego wrażeń mężczyzny, jednak przepowiednia oraz końcowe zapiski autora dziennika sprowadziły klątwę strachu na wielu ludzi, którzy wciągnięci zostali w poszukiwania zaginionego, głównie z powodu tłumaczeń archaicznej Księgi Krawedolusa, których świat nigdy nie pozna z łaski owych poszukiwaczy.

Fynn Gaede dotarł do Sh'a Me-di w roku 2009, 26 kwietnia, zaledwie parę minut po południu. Jego oczom ukazał się ogrom czerwonej góry, sięgającej ponad najwyższe z wydm, stanowiącej swego rodzaju symbol czasów zamierzchłych, zapomnianych przez stworzenia panoszące się bezmyślnie po współczesnym świecie. Jęzory niezaspokojonego, zadzierzystego wiatru zlizywały z czubków owych usypisk potężne połacie piachu, wznosząc je w chochlikowy, powietrzny taniec. Zdawać się mogło, iż pejzaż ten, jakże zwykły dla terenów Rub'al Khali, niesie ze sobą przesłanie znacznie głębsze, jakby ducha Natury, ostatkiem walczącego o zwrócenie na siebie uwagi. Bowiem już za ową górą, wokół której pustynna matka grała akordy wiatru i tańczyła desperacki taniec, kończyły się prawa znane ludzkości i samej Naturze, zwane fizyką, biologią, chemią, czy znane pod takimi określeniami jak czas czy życie.

Góra owa stała niewzruszona niczym ostry ząb, przedzierający bezlitośnie mięsowo pustyni i wznoszący się ku bezchmurnemu niebu. Jej obwód przy samej podstawie przekraczał

wszelkie oczekiwania, tak więc okrażenie jej zabierało więcej cierpliwości niżli się tego spodziewano. Każdy krok niestrudzonego dromadera przybliżał ku mistycznemu miastu skąpanemu w cieniu, lecz mimo mijania czasu zza czerwieni skał nie ukazywała się żadna osada. Załamany już umysł wędrowca nawiedzać zaczęły wampiryczne przeświadczenia, iż owe Sh'a Me-di, założone tysiące lat przed wybudowaniem choćby najmniejszych budowli na Krecie, w rzeczywistości nie istnieje, zaś wszelkie poszlaki i informacje na jego temat zapisane w niezmiernie kabalistycznej księdze są tylko i wyłącznie majaczeniem niespełnionego pisarza, szukającego poblasku dzięki swym fantazjom i brutalnym kłamstwom. Kłamstwom, które doprowadziły biednego, opętanego szaleńczą żądzą ujżenia czegoś niezwykłego wędrowca w te niedostępne dla turystów rejony.

Właśnie wtedy, gdy umysł nawiedzały najczarniejsze myśli, oczom ukazywały się pierwsze oznaki tak upragnionego zwieńczenia podróży. W powietrzu unosiło się coraz to mniej ziaren czerwonego piachu, co objawiło ostateczny blamaż słabej natury, która uklękła pod potężnym berłem zjawisk mających swój początek przed wszystkim, co istnieje obecnie. Al-shamaal ostatecznie zniknął za górą, *której nie nazwał żaden człowiek*, a po ziemi zaczął ciągnąć się niczym welon panny młodej wiedzionej na pokuszenie dywan chłodnego cienia, w którym to ukojenie miała odnajdywać ludność Sh'a Me-di.

W jakże wielkie ukontentowanie, w zaledwie sekundę opanowujące wszelkie komórki słabego organizmu, popadł wędrowiec, ujrzawszy owe miasto, o którym prastary Krawedolus tak twórczo płodził słowa w jednej ze swych niezliczonych ksiąg. Jakaż to ekstaza zamieniła jego krew we wrzący błogostan, a umysł w elizjum, po którym szalały słodkie powiewy Zefira.

Oto bowiem u samego podnóża góry rozciągała się osada, sięgająca aż do zakrytego przez jedną z wież jeziora.

Jakież słowa stworzone przez prostacki ludzki umysł, jakież epitety malarskie, jakież metafory czy porównania są w stanie opisać piękno emitowane niemalże fizycznym żarem z pierwotności owego miasta, które skryte przed wzrokiem człowieczym przez tysiąclecia postanowiło niczym w mefistofelesowym grepsie ukazać się właśnie jemu?

Zjawiskowość ta bynajmniej nie miała swego źródła w feerii czy ogromie. Nie... Upojenie, które zacisnęło swe niewzruszone szpony na oszalałym sercu wędrowca, zaatakowało bestialską szarżą w skutek prymitywizmu krajobrazu rozciągającego się wzdłuż jezora mroku, sprowadzonego przez dobrodusznego, pustynnego zbawiciela.

Najbliżej góry, niemal w emocjonalnym, dziękczynnym uścisku, wznosił się budynek, swą wysokością przerastający mrowi rój szalasów, których niejasnej dla człowieka opętanego

duchem urbanizmu wyjącego wprost do ucha niczym banshee predestynacji, wędrowiec mógł się tylko domyślać.

Niemal wszystkie z tych prymitywnych budowli, kontrastujących w niepodważalnym stopniu ze światem dortmundzkich maszyn, zbudowane zostały z wykorzystaniem skór ciemnych zwierząt i czerwonego piaskowca, który musiał być swego rodzaju wyznacznikiem majątku ludu zamieszkującego owe namiotowe domostwa, bowiem wraz z posuwaniem się dalej i dalej od góry, Gaede spostrzegał go coraz mniej, aż jego miejsce całkowicie zastąpiły grube futra. W jaki sposób ludzie tutaj dzielili się na klasy majątkowe? Jakież działają tutaj zasady socjalne, które tak wyraźnie ukształtowały społeczeństwo XXI wieku?

Wędrując między tymi plemiennymi budowlami Sh'a Me-di i delektując się błogostanem, ofiarowanym przez nigdy nieustający cień, wędrowiec zamarzył, by pozostać w odnalezionym przez siebie mikroświecie – stać się częścią tajemnicy skrywanej przez górę, *której nie nazwał żaden człowiek*. Stąpał więc już coraz pewniej, oczekując rozmowy z tutejszym ludem, która to przenieść mogła go na wyższy poziom oświecenia, świadomości tego, co dzieje się na tym dziwnym świecie. Nie wiedząc dlaczego, wierzył, że rozmowa ta przebiegnie w języku niemieckim. Musiała tak przebiec. Dlaczego? Nie wiadomo. Jednakże jedyne artykułowane dźwięki, dopiero po dogłębnej deliberacji przypominające głos ludzki, dobiegały z oddali, dokładnie stamtąd, gdzie widoczna najpierw wysoka, obita szczelnie skórą zwierząt wieża zasłaniała zazdrośnie opisane w legendzie jezioro.

Wędrowiec ruszył więc skwapliwie ku wodnym ofiarnicom, powstrzymując ochotę, by wejść przez nieruchome płachty do prymitywnych domostw. Któż bowiem wie, czy to, co zobaczyłby swymi ślepyimi oczyma, nie wzmogłoby i tak już balansującej na krawędzi szaleństwa adrenaliny? Odwracając więc ostatkiem sił wzrok od tych prymitywnych, nieruchomych, skórzanych drzwi, kroczył ku jezioru. Przystanął jednak, gdy ostatni z wydeptanych zakrętów wyniósł go dokładnie na wprost żwirowego wybrzeża porośniętego florą, której nie widział dotąd świat. Jego serce, biednego, strudzonego wędrowca, pękło, otwierając mroczną czeluść żalu i rozpaczy na widok hiobowego, a zarazem zatrważającego pejzażu, rozciągającego się wzdłuż nieruchomej tafli jeziora.

Spodziewając się widoku prostackiego, nomadzkiego ludu, igrającego karczemnie z czasem i Naturą, wrzasnął wniebogłosey, szukając ujścia dla swej rozpaczy. Bowiem z ludu niegdyś przemierzającego dzielnie odmęty Rub'al Khali nie pozostało niemal nic godnego czczenia. Ich skóra, kredowo biała niczym najczystszy arktyczny śnieg jarzący się w tym samym Słońcu, które nie było w stanie przekroczyć granicy góry, *której nie nazwał żaden*

człowiek, napinała się minorowo na ostatekach tkanek, chroniących szkielety tak kruche, iż wędrowiec zwątpił, czy są w stanie wytrzymać wysiłek godny małego dziecka.

Straszny to był widok, a jeszcze straszniejsze same głowy, nienaturalnie małe, osadzone na krótkich, chwiejnych szyjach.

Widok fizjonomii tego szczepu, jakże paralizujący chłodnym powiewem każdą komórkę oszołomionego organizmu wędrowca, dowodził jawnie, że nawet Afrodyta, która swą halką piękna okrywa ludzkość, potrafi zapomnieć o przyodzianiu swego mrowiska w ludzki wygląd. Owłosione powieki bladego ludu Sh'a Me-di ciążyły leniwie nad kościstymi policzkami, na które cień rumianego pola już od wieków nie wstępował, ukrywając tym samym jakikolwiek przepływ krwi. Filigranowość białych twarzy, pozbawionych jakichkolwiek włosów na czubku, kontrastowała groteskowo z ogromem jednakowych kolorystycznie ust.

Jednak tym, co wyrwało nienaturalnie kakofoniczny ryk z głębi drżącej krtani wędrowca, nie był sam wygląd dawnych nomadów, a jego parantela z powolnymi i mechanicznymi ruchami kruchego, kredowobiałego ciała. Niczym marionetki, niezdarnie dyrygowane niewidzialnymi rękoma Śmierci.

Fynn Gaede stał sparalizowany strachem tak przenikliwym, iż słusznym wydawać się może stwierdzenie, że żaden człowiek dotąd takiej trwogi nie przeżył. Mijały sekundy, podczas których blade, chorobliwe kruche łątki drżały niczym nienaoliwiony mechanizm, a Gaede łkał bezgłośnie, krztusząc się łzami.

Ostatnim, co zapamiętał przed osunięciem się w kojące ramiona nyksowej ciemności, był fakt, iż wszystkie kreatury patrzają na niego matowymi, trupimi ślepiami.

Mimo odzyskania, można to tak nazwać, świadomości, Gaede nie był w stanie otworzyć oczu. Prawdę powiedziawszy, słowo *świadomość* dość dobrze opisuje stan, w jakim się znalazł. Omijając jakże błahy fakt, iż utracił jakiegokolwiek sensualne zdolności, jego wyobraźnia napełniała się miazdzącymi swym ogromem obrazami. Nie trwało to jednak długo, bowiem każda z cennych informacji, jakie to napłynęły do jego umysłu w boskiej iluminacji, rozwiewały się niczym tak często przez ludzkość zapomniane sny. Jakież żal ogarniał jego serce! Wiedział, że posiadał wiedzę, o której nie pomyślałby największy filozof, a którą utracił pogrążony w całkowitym paraliżu.

Właśnie ów paraliż napełnił go obawami. Narastały one, wypełniając każdy zakamarek chudego ciała, w akompaniamencie dźwięków, które pogrywały wokół niego.

Próbował opisać je onomatopeicznie, jednak rezultat jedynie zmroził krew w żyłach poszukiwaczy. Jakież czynności, jakie usta, jakie stworzenia są zdolne do wydobywania takich dźwięków? Nigdy nie odważyli się ich powtórzyć. Zbyt wiele wizji stawało im przed oczyma. Co rozgrywało się wokół nic nieczującego Fynna Gaede'a? Co dotykało jego zamrożonego ciała? Jak daleko znajdowali się biali ludzie?

Po odzyskaniu pełni sensualnych możliwości Gaede stał się jednym z owych niegdysiejszych nomadów, chrzcących się mianem Nestarów. Oczywiście, nie można mówić tutaj o płaszczyźnie fizycznej, bowiem ciało wędrowca nie uległo najmniejszym deformacjom, ale o wymiarze psychicznym. Po uniesieniu ociężałych powiek, Niemiec w końcu poczuł się jednym z tych wyklętych przez Naturę mutantów, skazanych na życie w cieniu góry, *której nie nazwał żaden człowiek*.

Jedynym dźwiękiem, który pobrzmiwał w owalnym pomieszczeniu wieży, z której jedyne okno ukazywało płaską taflę jeziora i wyspę na jego środku, było nierównomierne sapanie bladych istot, klęczących w równych odstępach pod skórzanymi ścianami. Oddychały przez szeroko otwarte usta, w których jawiły się powykrzywiane, drobne zęby. Wędrowiec wiedział, że oczekiwały przyjścia swego wodza, władcy Nestarów. Oczekiwanie to napawało Niemca strachem. Czuł wrogość bladych istot. Fetor, rozsiewający swe nasiona w całym pomieszczeniu, niósł przesłanie śmierci i przegranego losu. Gaede leżał na ziemi, dokładnie w centrum okrągłego pomieszczenia, będącego, jak mniemał, najwyższą częścią wieży. Niczym ofiara na marmurowym ołtarzu, czekająca, aż dziewica poderżnie mu wygiętym nożem delikatną, drżącą krtań.

Sapanie przybierało na sile wraz z każdym dźwiękiem stąpięć, dobiegających z niższych segmentów piaskowcowo-skórzanej wieży. Były równomierne, niemal idealne w swym mechanicznym rytmie. Oczyma wyobraźni Gaede widział rozdygotane kości, owinięte ciasno kredową skórą, siłujące się z grawitacją i zmęczeniem, by pokonać kolejne stopnie. Sapanie było już niemal nie do zniesienia. Jego intensywność była tak wielka, że nie był już pewny, czy Nestarzy, czający się w mroku za jego głową, nie są znacznie bliżej niż się domyślał. Nie miał odwagi spojrzeć w tamtą stronę. Wolał pozostać na ofiarnicy, czekając na swój los.

Serce zamarło mu w piersi, gdy koścista dłoń zacisnęła się na jego łydce. Był to dotyk tak zimny, że żadne znane ludzkości epitety nie byłyby godne objaśnienia tego, co poczuł Niemiec. Gdyby nie podziw dla nomadzkiego ludu i konieczność zachowania powagi godnej bóstw, zacząłby krzyczeć. Jednak jego los był o wiele ważniejszy, nie mógł poddać się tym ludzkim instynktom.

Podniósł wzrok, by ujrzeć tego, który tak strudzenie dążył po schodach wieży. Opisy na nic nie zdadzą się tym, którzy chcieliby ujrzeć oczyma wyobraźni to, co swymi ujrzął zaginiony dwudziestodzieciolatek. Nawet poszukiwacze, dzierżąc nieistniejącym już [na szczęście dla równowagi psychicznej ludzkości] dziennik zapisany pospieszonymi [i coraz mniej dbałymi] zapiskami, nie byli w stanie w pełni pojąć makabry, która dotknęła swym skażonym pocałunkiem najstarszego spośród obywateli Sh'a Me-di. Najrozsądniej będzie pozostać przy stwierdzeniu, że najwyższy z białych, zdeformowanych Nestarów wykraczał poza konwencje ludzkiego pojmowania grozy.

Wędrowiec jak w transie podążył za owym królem, który drżąc niczym w chorobie, czołgał się w stronę jedyne okna wyciętego w ogromnym połacie skóry. Gdzie Nestarzy zdobyli tak wielkie płachty? Jakież zwierzęta były ich nosicielami, jeszcze gdy Sumerowie nie śmieli myśleć o piśmie?

Właśnie wtedy, widząc pejzaż jakże ambrozyjski, przekraczający swą doskonałością wszelkie ludzkie pojęcie, Gaede poznał pełną legendę miasta Sh'a Me-di. Władca Nestarów, posługując się łamanym językiem niemieckim, przerywanym onomatopiecznymi dźwiękami, opowiadał historię swego ludu, a wędrowiec patrzył. Patrzył na rozszalałe wiatry al-shamaal mające swą granicę, ciągnącą się pionowo od ziemi aż po kres nieba, zaraz za uśpioną wodą jeziora. Granica ta zapierała dech w piersiach, trwała bowiem niczym boska, niewidzialna szata, broniąca wstępu demonicznym wiatrom do przekłętego miasta. Patrzył na wyspę, na której osadzone niegdyś obeliski zniknęły, ukazując głęboką, mroczną czeluść, sięgającą głębiej niż wnętrze ziemi. Patrzył na labirynt szafasów, kurczących się i pogrążających w zniszczeniu wraz ze zbliżaniem się do tafli jeziora. Patrzył w końcu na legiony białych ludzi, wpełzających z owych prostackich budowli i dążących do życiodajnej wody, z której poilo się kilka ostałych turów. A Nestar opowiadał.

Jeszcze przed druzgoczącym dla Nienazwanych Bóstw zetknięciem się Uranosa i Gai, wielu z tych pradawnych idei poczuło zbliżający się kres i zniewolenie. Jednym z nich był Nienazwany, blakający się po piaszczystych skórkach bogini ziemi, któremu ostatecznie mieszkańcy Sh'a Me-di przybrali miano Blatho'te Nestara. Młody był to Nienazwany byt. Późno, bowiem już u końca odwiecznej wojny, wyłonił się z wiecznego Chaosu wojny i zniszczenia, a widząc potęgę, którą posiadał, zażądał jego dalszego biegu. Zapragnął istnieć na zawsze, karmiąc się tym, czym każdy Nienazwany – bólem i strachem. Nestarzy jednak tego nie wiedzieli.

Przed założeniem osady, jeszcze przed zaistnieniem Iremu, byli niczym ślepe owady, szukające bezradnie wyjścia z pomieszczenia, które nieodzownie stać się miało ich mogiłą.

Właśnie wtedy, wyzbyci jakichkolwiek oporów odkryli obeliski, których mrocznej przeszłości domyślili się na podstawie niezwykle precyzyjnych płaskorzeźb, pokrywających każdy milimetr owych monumentów, składając się na jedną spójną historię, która swą aurą dotykała zarówno przeszłość jak i przyszłość.

Owe obeliski, wyrzucone u kresu swego istnienia przez Blatho'te Nestara nie bez powodu, nie za sprawą przypadku, a dzięki niezwykle precyzyjnemu planowi, znalazły się na drodze nomadzkiej poszukiwaczy sanktuarium, które chronić ich miało przed przewrotnymi i nieznającymi ukojenia, rozszalałymi wiatrami al-shamaal. Niczym marionetki, którymi [o zgrozo] stały się wraz z mijaniem nieubłaganego czasu, lud pustyni podźwignął pięć spośród sześciu obelisków. Ostatni bowiem przeznaczony został według pierwotnego, sięgającego czasów przedhadeikowych planu innemu ludowi, który osiadł w kamiennym mieście Irem, do którego to Gaede tak usilnie dążył.

Patrząc przez wycięte w skórze okno, Niemiec widział nomadów, sytuujących pięć obelisków na karlej wysepce, która stała się centrum ich zamkniętego świata. Promienie Słońca, które chyliło się ku swej zagładzie w walce z Księżycem, rzucało mętne światło na wydarzenia, które na zawsze odmieniły los ludu skażonego jadem degradacji. Gaede delektował się widokiem turów, które zanurzone pod wodą przez gronie opalonych jeszcze mężów, niczym niemal nieprzypominających tego, co teraz go otaczało, tłoczyły strumienie krwi, sączące się z poderżniętych gardzieli, by umocnić szatę Blatho'te Nestara, chroniącą Nestarów przed al-shamaal i przed czymś znacznie groźniejszym – przed czasem.

Jednak życie w cieniu góry, *której nie nazwał żaden człowiek*, przyniosło na lud pustyni zagładę, kielkującą w ich żyłach od samego początku i być może rozsiewającą zarodnie we współczesnych metropoliach, na które coraz obficiej splywa mrok. Oto bowiem, żyjąc przez tysiąclecia w warunkach jakże idealnych, mając do dyspozycji nienaturalnie obfitą faunę i florę, wieczny chłód i spokój ducha, Nestarzy zatracali w sobie coraz to więcej cech zarówno psychicznych, jak i fizycznych, które mogłyby pomóc im w wyrwaniu się poza welon mroku, ciągnięty przez górzystą pannę młodą. W ten oto zatrwajający, przeczący prawom ewolucji sposób stali się tym, co zbliżało się ku niemu coraz bliżej. Gaede niemal czuł ich duszący oddech, rozsiewający fetor w owalnym pomieszczeniu na swoim karku. Jednak wizje dziejów Sh'a Me-di były zbyt absorbujące, zbyt hipnotyzujące, by zwrócić uwagę na fakt, że jest obcym w plemienu, mimo tego, co sobie wyobrażał. Nastarzy stali się więźniami swego kamiennego Nienazwanego bóstwa, które ochrzcili przeklętym dla ludzkości mianem.

Dopiero później cel, dla którego Blatho'te Nestar zlitował się nad bliskimi zagładzie nomadami, stał się jasny. Dopiero po tysiącach lat, gdy mięśnie niemal całkowicie zanikły w ich ciałach, zrozumieli zgrozę, którą przyciągnęli do osady ich przodkowie. Oto bowiem pewnej wyjątkowo niespokojnej nocy, kiedy po niebie przesuwały się tajemnicze kształty, całkowicie kontrastujące z naturalnymi zwyczajami nieboskłonu, nad jeziorem zakwitły chmury, kłębiące się niczym monstrum, mogące być animizacją ich marnego losu. Gdy zaś błądy lud zgromadził się, drżąc z przerażenia, biały kłęb rozerwała błyskawica, która w furii zaatakowała wyspę, będącą schronieniem dla pięciu pradawnych, bożych obelisków. Wstrząs i grzmot towarzyszący destrukcji owych fetyszy był niewyobrażalny, niemożliwy do opisania, a na pewno nie przez rękę ludzką. Gdy tumany kurzu opadły, oczom Nestarów ukazała się jama, którą już w czasie rzeczywistym widział Gaede.

Jama ta miała w sobie coś mrocznego. Nie było to nic na równi z błądymi ludźmi czy setkami zwierząt, które wykrwawiały się pod taflą jeziora. Było to coś znacznie gorszego, bardziej przerażającego. Nie mrugając, Gaede patrzył w ową czeluść, jakby czekając, aż trędowata dłoń, zwieńczona powykrzywianymi od wspinaczki palcami wynurzy się i zgarnie wszystko, na co natrafi. Jego to podniecało.

Jednak nawet taka wizja nie była równa temu, co w rzeczywistości sprowadziła na lud nomadów mroczna czeluść. Oto bowiem już następnej nocy, jeszcze po złożeniu ostatniej w dziejach Nestarów ofiary, rozegrał się koszmar. Ludzie [o ile można ich tak nazwać], którzy znajdowali się wówczas nad brzegiem przekłętego akwenu, opisywali to, co zresztą zostało potwierdzone przez późniejszych obserwatorów w późniejsze noce, których było niezliczenie wiele, jako fale materialnego mroku, który niczym więzień zamknięty w celi przez tysiąclecia, żądny tlenu i choćby draśnięcia promieniem słonecznym, wylewały się z czeluści, dążąc nieubłaganie ku osadzie. Nie było w tym potopie niczego, co można by określić mianem dobrego, pożytecznego... Niósł ze sobą jedynie ból i terror osadzony niczym kamień szlachetny w sygnetach połyskujących w świetle menory nierozzerwalnie w mroku, którego ludzkie oko nie było w stanie przejrzeć, zaś każda próba jego rozjaśnienia spelzała na niczym. Iskry bowiem gasły prędzej niżli się pojawiły, zaś ogniste kule znikwały, jakby ich nigdy nie było. Jedyne co istniało, to mrok.

W mroku żyło coś więcej. W falach cienia, które niczym macki zacisnęły się na Sh'a Me-di, pływało coś pierwotniejszego niż ludzka pamięć, niż zwierzęce istnienie, niż związek pierwszych bogów Nazwanych. Blatho'te Nestar po tylu mileniach czczenia posiadał moc, potęgę umożliwiającą jakże typowe dla Nienazwanych Bóstw żerowanie na sercach istot żyjących. Pełzał ów kamienny bóg piaszczystymi ścieżkami, wżerając się w marne umysły Nestarów, kreując wizje szkaradniejsze

od najszykardniejszych ikelosowskich koszmarów. Niektóre z nich sprowadzał swą rosnącą mocą, by szalały niczym wiedzmy w noc Walpurgii po pustynnym mieście i tak jak stwórca posilały się strachem.

Podobny los spotkał mieszkańców Irem, którzy zgarnęli ostatni z sześciu obelisków i założyli swe mityczne miasto. Mrok po wielu tysiącleciach wypłynął kaskadą fal, budząc horror uspiiony w komórkach ludzkiego mózgu. Trwało to dziesięciolecia, noc w noc. Po każdym zejściu Słońca rodziły się nowe zmory, które dreptały za nigdy już nieśpiącą ludnością. W ciemnościach czuło się obecność najstraszliwszych istot. Pełzały po ścianach, patrząc swym przenikliwym spojrzeniem na robactwo, na którym żerowały. Siedziały na ich barkach, szepcząc do uszu niezrozumiałym językiem klątwy. Istniały obok nich. Aż do zagłady, którą sprowadzili na siebie sami mieszkańcy Irem. Zdobyli się na odwagę, która nie przysła Nestarom nigdy. Postanowili położyć kres panowaniu Blatho'te Nestara, wybijając się nawzajem w łasce miłosierdzia. Nie wiedzieli jednak o Sh'a Me-di i o tym, że krwawa ofiara, której posoka latami wsiąkała w piachy Rub'al Khali, była bezcelowa.

Gaede wiedział, że historia ta ma zakończenie, dalszą przepowiednię, której błąd lud nie chce zdradzić. Wiedział, że w niewypowiedzianych słowach kryje się wyjaśnienie faktu, że Nestarzy mówią w jego języku. Wiedział, że mogą mu wyjaśnić jego rolę w dziejach Sh'a Me-di, która musiała przecież istnieć.

Jednak nie miał czasu, by zgłębić tę tajemnicę. Oto bowiem Słońce ostatecznie przegrało swój wyścig ze szkaradną tarczą Księżyca i schowało się zawstydzone za niekończącym się horyzontem. Oto właśnie Niemiec na własne oczy mógł ujrzeć zgrozę, która wylewała się z niemającej dna otchłani, w głębi której żył Blatho'te Nestar, siejący postrach w każdym żywym istnieniu. Fale mroku zalewały ulice i zrezygnowanych, zdeformowanych mieszkańców, otoczyły fundamenty wieży i zbliżały się do góry, *której nie nazwał żaden człowiek*. Pierwotną ciszę rozerwał krzyk przerażenia tak pierwotnego, tak czystego i niezmaconego żadnym racjonalnym myśleniem, że Gaede niemal na powrót osunął się w ramiona Hypnosa. Jednak musiał czuć. Patrzył, jak fale mroku wbijają się poprzez niejednorodne płachty skór, zalewając wnętrze wieży. Piętro po piętrze mrok, a wraz z nim to, co w owych ciemnościach żyło tysiącleciami, zbliżał się do nich, a krzyk rozpaczony Nestarów potęgował się. Strach przybierał tutaj najprawdziwszą formę. Cóż widzieli, co czuli, co słyszeli pod szatą Blatho'te Nestara?

Władca monstrów odsunął się od niego, by mógł sam utonąć w fali mroku, która przedarła się przez piaskowcową podłogę.

Opowieść ta spisana musiała zostać w drodze do mitycznego, upadłego przez ludowe samobójstwo Irem. Wędrowiec, przynajmniej tak twierdzą poszukiwacze, nie opisał zmór, które czuwają w mroku. Nie zdradził tego, na jakie katusze skazani byli Nestarzy przez tysiąclecia, odkąd Blatho'te Nestar powstał, by żywić się ich strachem. Nie był w stanie. Już sam opis owego zalewania Sh'a Me-di pierwotnym cieniem przepełniony był niejasnymi ekspresjonistycznymi konceptami. Coraz żywszy, niemal dynamiczny opis, spisany jakby w ekstazie, niemal skłonił poszukiwaczy do zaprzestania rozszyfrowywania rozszalałego pisma Niemca. Podjęto jednak decyzję, by kontynuować, bowiem zapisków pozostała zaledwie jedna strona.

Jedna strona, która skazała ich na wieczny strach i niepokój. Jedna strona koślawego pisma, która wypaliła się im boleśnie w pamięci, co noc w krainie trójki braci odnawiając się tymi samymi słowami, które byli w stanie zarecytować bez zastanowienia.

Mrok jest potęgą, potęgą jest mrok... Jakże ślepyimi były me oczy. Dopiero w mroku ujrzałem światło. W świetle już dojrzeć prawdy nie mogę...

Zostałem wybrany... Blatho'te Nestar, Wielki Nienazwany, Zrodzony w Chaosie, Ten, Który Oszukał Uranosa i Gaję oraz Ich Kończące Życie Spotkanie...

Przez tyle lat... Milenia!

Cały los stworzony dla mnie... Plan, którego zwieńczeniem jestem JA.

Krawedolus nie wiedział. GŁUPIEC TO! Myślał, że odkryje tajemnice... Nie wiedział o medium, którym jestem... JESTEM!

Naczyniem...

Teraz chce mnie powstrzymać. Powstrzymać mnie przed dopełnieniem swej roli w planie... Miasto Irem ma świątynię... Blatho'te Nestar tam mnie kieruje. ALE TO POCZĄTEK... Początek ery mroku, ery Nienazwanych. Będę żył wiekami, erami, eonami! EONAMI! Oto bowiem niosę ze sobą trwogę, która spłynie na niegodną życia ludzkość. Nie ważne, ile to potrwa, nim fala wypłynie...

Jesteśmy cierpliwi...

Jedynie Krawedolus wie o wszystkim. Ale nie powstrzyma nas...

Poczekamy...

Cień padnie na świat, a strach stanie się jedyną myślą.

To ostatnie z zapisków zaginionego Fynna Gaede'a, którego krew w zastanawiająco małej ilości znaleziono na okładce dziennika, spoczywającego na pojedynczym filarze nory Irem, która zbyt dobitnie przypominała świątynię. Gdzie Niemiec jest teraz? Czy wspomniany Krawedolus naprawdę istnieje i ścigał wędrowca? Czy jeśli tak, udało mu się go

unicestwić, a wraz z nim grozę, która istnieje już może wokół nas? W ciemności? Nie wiadomo. Pozostaje czekać...



PORADNIA LECZENIA BÓLU

Marianna Szygoń

Dzień zapowiadał się pogodnie. Tomasz Leszczuk nie zasnął, tak jak zwykle mu się to zdarzało. Dziś miał sporo czasu do rozpoczęcia pracy, a jednak z przyzwyczajenia zbiegł po schodach, jakby bardzo mu się spieszyło. Na progu zwolnił i uprzejmie pozdrowił cecia, z namaszczeniem zamiatającego chodnik. Na widok sympatycznego lokatora twarz dozorca rozjaśnił szczery uśmiech, a z ust popłynęły życzenia miłego dnia.

Czyżby wreszcie było tak, jak miało być? – myślał Tomasz, gdy młodzież śpiesząca do

szkoły bez zachęty w postaci wymownych spojrzeń dorosłych ustępowała w tramwaju miejsca starszkom, a te, zamiast utyskiwać na drożyznę i bałagan w służbie zdrowia, rozprawiały ochoczo o sukcesach dzieci i wnuków. *Czy to nie pani córki Igorek śpiewał wczoraj na uroczystości? Tak, tak, zdolny chłopiec, prawda? Cudownie śpiewał, i jaka piękna ceremonia. Co miesiąc chodzę, wie pani? Nie opuściłam żadnej od trzydziestu lat.*

Jak okiem sięgnąć, cały tramwaj trwał jeszcze we wczorajszej niedzieli, pogodnej, choć naznaczonej podniosłą celebracją narodowej tragedii. Mimo to, Leszczuk nie dostrzegł żadnych zmęczonych twarzy, oczu zapuchniętych od łez czy ciemnych okularów, skrywających sine powieki. Żadnych nerwowych rytmów, wystukiwanych obcasem, pełnych dezaprobaty potrząsań głową czy miotanych bezgłośnie przekleństw. I tylko jeden niespodziewany, urwany okrzyk rozdarł ciszę: oznaka z nagłą przeszywającego ciała bólu, stłumiona natychmiastowym zaciśnięciem szczęk, przygryzieniem warg aż do krwi. Pasażerowie jak jeden mąż zerknęli w stronę krzyczącego: spracowany mężczyzna natychmiast ukrył głowę w ramionach i zażenowany, odwrócił twarz ku oknu.

Wszystko wróciło do normy: podróżni z jeszcze większą gorliwością zanurkowali w smartfonach, by zdobyć więcej punktów w popularnej grze *OBDO*, starszki wymieniły przepisy na ciasta, Tomasz kurtuazyjnie przepuścił młodą matkę z trojgiem pociech, spieszącą do wyjścia. Tramwaj przystanął, drzwi rozsunęły się z cichym sykiem, rodzina wysiadła, a do środka wkroczyli dwaj mundurowi.

Spojrzenia pasażerów od razu wskazały im winnego obrazy myślą Opiekunów Narodu.

Człowiek zmagający się z bólem nie stawiał oporu: wysiadł razem z funkcjonariuszami, nie opóźniając odjazdu. Tomasz obserwował przez szybę, jak pobladły mężczyzna klepie szeroką dłońią lewy bark. *To tu mnie rwie*, tłumaczył zapewne, choć czuł, że policjanci i tak nie uwierzą. Leszczuk wiedział, co czeka nieszczęśnika: obowiązkowa konsultacja lekarska, orzekająca o przyczynie bólu. Jeśli cierpiący nie kłamał — czysta formalność. Zamyślony, prawie przegapił swój przystanek: wybiegł na chodnik w ostatniej chwili przed zamknięciem drzwi.

Nie, wciąż nie wszystko jest tak, jak miało być, pomyślał z mściwą satysfakcją, ukrył grymas nagłego bólu udając, że wyciera nos i wszedł do kawiarni.

Celina za ladą uśmiechała się równie promiennie jak co dzień. Z niezmiennym wdziękiem podawała mu kubek, błyskając przy tym białymi, choć nierównymi i zbyt dużymi jak na jej filigranową szczękę ząbkami. Tomasz uznał, że być może nadszedł czas, by poprosić o numer telefonu, choć znał imię dziewczyny tylko z identyfikatora na bujnych piersiach, o których fantazjował nocami. Zmienił zdanie, gdy zatrzymawszy się przy witrynie

zaobserwował, że panna uśmiechała się tak samo do wszystkich klientów, a co gorsza, uśmiech nie zniknął z jej twarzy nawet wtedy, gdy kolejka topniała do zera.

Nie warto tracić czujności ani na chwilę, bo nigdy nie wiadomo, kto patrzy, przypomniał sobie powtarzane w telewizji hasło i zerknął na zegarek. Z kawą w dłoni przebiegł przez przejście dla pieszych i wpadł w chłodne objęcia biurowca. Zdążyła wystygnąć, zresztą w windzie nie smakowała już tak samo; po drodze do biura z rozmachem cisnął kubek do kosza na korytarzu o nieustająco błyszczącej posadzce. Kilka kropli wymknęło się spod wieczka, pstrząc nieskazitelną podłogę, ale rzucający nie zauważył swego występkę. W przeciwnym razie czułby się w obowiązku użyć chusteczki do nosa, albo co najmniej rękawa, by to chwalebne zachowanie zostało zapisane w archiwizowanych na wieki annałach monitoringu.

— Panie Tomku, ktoś do pana. — Asystentka szefa działu, Martynka, z nieprzemijająco pogodnym profesjonalizmem zaanonsowała gościa. Tomasz pomyślał drwiąco, że pewnie równie uprzejmie obwieszczałaby nadejście kata, gdyby kiedykolwiek otrzymała posadę sekretarki w sali tortur i natychmiast sam skarcił się za tę myśl. Nie, to że odrzuciła jego awanse, nie mogło mieć wpływu na ocenę fachowości Martynki. *Zawiść to uczucie ze wszech miar naganne*, zganiał w duchu sam siebie głosem zadziwiająco podobnym do głosu pani minister czystości moralnej i porządku publicznego.

Szczere spojrzenie na nieznanego, otwarta postawa i ręka wyciągnięta na powitanie: Tomasz zachował się jak trzeba, choć mina gościa pozostawała nieodgadniona. Zdradziła go, jeszcze zanim tamten ujawnił stanowisko i stopień służbowy. Tylko funkcjonariuszom bezkarnie uchodziła granicząca ze zgorzkniałością powaga. Tylko ich nie rozliczano z okazywanego znudzenia i frustracji: mogły być przecież elementem blefu, maską przywdziewaną dla wkupienia się w łaski niezadowolonych. Świadczyły, jak wielki ciężar ochrony państwa każdego dnia dźwigają na barkach ludzie tacy jak nadinspektor Konstanty Szumilas.

— Gdzie możemy spokojnie porozmawiać? — spytał tajniak tym samym beznamiętnym tonem, którym się przedstawiał.

— W sali konferencyjnej. — Profesjonalny uśmiech ani na chwilę nie zniknął z twarzy Martynki, lecz nie nosił znamion wesołości: asystentka przypominała Tomaszowi Celinę z piekarni.

Nigdy nie wiadomo, kto patrzy.

Nie, nie. Teraz wiadomo: Konstanty Szumilas. Nie spuszczał oka z ofiary nawet wtedy, gdy usiedli w pustym o tej porze pokoju zebrani: wzorowy młody pracownik firmy opartej na

narodowym kapitale naprzeciw oddanego sprawie bezpieczeństwa państwa starego wygi. *Cóż mógłby mi mieć do zarzucenia?* – rozważał Tomasz. *Przecież nie niezapłacony abonament; uiszczam za rok z góry, jak dobry obywatel. Kupuję tylko krajowe produkty, oglądam tylko naszą telewizję i słucham naszego radia. Mam konto na narodowym portalu OBDO, co prawda nie zbieram punktów, ale, do jasnej cholery, nie ma przecież takiego obowiązku. Nikt nigdy nie słyszał, bym o kimś z rządu powiedział coś złego. Czasem źle o nich myślę, ale tylko, gdy jestem sam.*

Chyba że... Wtedy. Ale mam alibi.

— Miesiąc temu zgłosił się pan do dentysty. — Szumilas postukał palcami w idealnie wypolerowany blat stołu. — Dokładnie jedenastego.

Leszczuk skinął głową.

— Tak. Do doktor Piaseckiej. W czym rzecz?

— Skarżył się pan na ból zęba. Dokładnie lewej górnej szóstki.

— Prawda — przyznał Tomasz.

Wiedział już, do czego zmierza funkcjonariusz i pomimo że wciąż otwarcie, bez bojaźni wytrzymywał spojrzenie jego sępicich oczu, czuł, jak po plecach spływa mu strużka potu.

— Zażądał pan ekstrakcji.

— To przecież nie jest zabronione.

— Tak, o ile występują przesłanki medyczne do podjęcia takich działań.

— A nie wystąpiły?

— Nie. Według dokumentacji medycznej, pańska lewa górna szóstka była zębem zdrowym.

Tomasz uznał, że święte oburzenie ujdzie mu płazem.

— Niemożliwe! Przecież bolała jak diabli — krzyknął.

Konstanty wydał wargi i jeszcze raz zabębnił palcami o blat.

— Czyżby? Przypomnieć panu, co miało miejsce dziewiątego, w sobotę?

— Impreza integracyjna. — Wzruszył ramionami Leszczuk.

— Właśnie — podchwycił Szumilas. — Dziesiątego pan trzeźwiał, a dzień później pobiegł do stomatologa. Zadziwiająca prawidłowość!

— Przypadkowa zbieżność, proszę pana.

— W takim razie jak wyjaśni pan to? — Konstanty wyciągnął z kieszeni smartfon, uruchomił jedną z aplikacji systemu *OBDO* i podstawił pod nos rozmówcy ekran ze zdjęciem z firmowej imprezy. Na pierwszym planie rozradowana, choć nieco już wstawiona Martynka wznosiła kieliszek do toastu. Twarz uchwyconego na drugim, nie patrzącego w obiektyw

Tomasza wykrzywił grymas bólu. — Czy to też ząb?

— Oczywiście. — Tomasz skinął głową skwapliwie, myśląc, jak trafnie, choć złośliwie rozwijano nazwę popularnego systemu: *OBDO*, czyli „Obywatele Donoszą”.

Nic dodać, nic ująć.

— Czyżby? — Zagrział funkcjonariusz. — W takim razie człowieka, z którym pana sfotografowano, również boli. I to mocno. Pański kolega nie należy jednak do bystrzaków: nie zadbał, jak pan, o wiarygodne alibi dla swego cierpienia. Którego z Opiekunów Narodu obrażaliście tą rozmową?

Mają mnie, zrozumiał Tomasz. *Teraz się nie wywinę*. Przewidywał co prawda, że jakaś usłużna świnia, na przykład ten nieudacznik Słodkowski, może wrzucić do *OBDO* takie zdjęcie i zawczasu pobiegł do dentysty. Teraz wiedział, że popełnił błąd: trzeba było udawać lumbago albo symulować atak migreny. Cokolwiek innego, niż ból zęba, którego po wyrwaniu można zachować jako *corpus delicti*.

— Zostanę aresztowany? — spytał ponuro.

— Nie. — Nadinspektor wstał, ukrył smartfon w kieszeni marynarki, a zza pazuchy wydobyl złożony na czworo papier. — Gdybyśmy mieli zatrzymywać wszystkich, którzy pomyślą źle o rządzie...

— Przecież zatrzymujecie. — Leszczuk przypomniał sobie zdarzenie w tramwaju.

— Otrzymuje pan tylko wezwanie na terapię w poradni leczenia bólu. — Szumilas wyciągnął dłoń z kartką w stronę rozmówcy i potrząsnął nią znacząco.

Tomasz z ociąganiem sięgnął po papier. Słyszał co nieco o stosowanych w poradni metodach. Ludzie po terapii na widok premiera Plisiewicza wpadali w ekstazę, a kobiety doznawały orgazmu na sam dźwięk jego głosu. *...do stawienia się dnia dziewiętnastego bieżącego miesiąca o godzinie dziesiątej...* – przeczytał bezgłośnie. Gdy podniósł wzrok, nadinspektora nie było, jakby nigdy nie siedział naprzeciwko.

Trzymane w dłoni pismo nie zniknęło. W pierwszym odruchu Tomasz chciał wrzucić je do niszcarki, ale zdawał sobie sprawę, że przyplaciłby ten czyn atakiem bólu tak potężnym, że – po namyśle – złożył papier na czworo i schował go do kieszeni. Wracając do swego biurka, przechwycił ni to kpiące, ni to triumfalne spojrzenie Słodkowskiego.

Wiedział już, komu zawdzięcza kłopoty. *Ciekawe, ile za to przyznali mu punktów OBDO* – pomyślał ze złością, ale nie bez podziwu – *i ile jeszcze brakuje mu do nagrody głównej*.

Pazerny skubaniec!

Wyznaczony dzień bieżącego miesiąca nadciągał nieubłaganie. Osiemnastego wciąż

świeciło słońce, ludzie uśmiechali się do siebie w tramwajach, wysyłając jednocześnie zgłoszenia do narodowej loterii *OBDO*, a policja sprawnie wyłuskiwała z tłumu cierpiących. Dziewiętnastego Tomasz jak gdyby nigdy nic przyszedł do pracy i choć przez całą zmianę raz po raz zerkał na drzwi, czy nie pojawi się w nich jakaś przysłana przez Szumilasa ekipa, dzień minął spokojnie. Leszczuk czuł jednak, że powinien zniknąć.

Po pracy nie wrócił do domu. Obserwował dyskretnie, jak Celina z kawiarni wychodzi z lokalu po skończonej zmianie i ruszył jej śladem. Minęła znajomy przystanek tramwajowy i zagłębiła się w uliczkach, którymi Tomasz nigdy nie podążał, wiedąc go w rejony miasta nieodległe od codziennej marszruty Leszczuka, ale nieznanne. Tu latarnie świeciły jakby słabiej, bramy odpychały mrokiem, ludzie rozmawiali głośniej, nie wstydząc się przekleństw. Usiłował nie spuszczać z oka jasnej kurtki dziewczyny, wyczuwał jednak, że sam też jest śledzony. Nie zastanawiał się długo, gdy, minąwszy grupkę pijaczków, wstąpiła do zajmującej parter starej kamienicy, miejscowej „Ważki”; natychmiast zrobił to samo. Wytrwale krążył pomiędzy półkami, aż wreszcie wytropił Celinę, stając z dziewczyną twarzą w twarz. Nie uśmiechała się już: jej zmęczone oblicze nabrało nader pospolitego wyrazu, powszechnego w takich dzielnicach.

Zanim zdążył choćby skurczem mięśnia okazać rozczarowanie, pojął, iż sam został wytropiony. Potężne chłopisko, pozornie nie zainteresowane niczym poza zakupami wychynęło zza regału i zastygło, oglądając promocyjne misie w czekoladzie z takim zacięciem, jakby nie widziało ich nigdy w życiu. Celina przechwyciła wzrok na Tomasza: zobaczyła w nim znajomy strach.

Zrozumiała.

Niespodziewanie chwyciła Leszczuka za rękę, okręciła go jak na karuzeli i pociągnęła za sobą. Ledwo udało im się wyrobić zakręt przy końcu regału; ścigani przez amatora wafelków pognali w stronę zaplecza. Pchnięte drzwi ustąpiły, otwierając się z rozmachem, i gdy tylko Tomasz wpadł za próg, Celina natychmiast je zatrzasnęła i przekręciła klucz.

— Pracowałam tutaj kiedyś — wyjaśniła zdyszana. Osilek po drugiej stronie zatargał klamką, więc szarpnęła ramię zbaraniałego Tomasza, dodając: — Tędy.

Opuścili „Ważkę” wyjściem dla personelu, przebiegli obskurne podwórze wyłożone kocimi łbami, wpadając w czeluść cuchnącej piwnicznym smrodkiem klatki schodowej. Powitała ich mrokiem: nie zapłonęła ani jedna lampa na korytarzu. W którymś mieszkaniu zaszczeakał pies. Jak na skrzydłach pokonali schody, by przycziąć się na półpiętrze, gdzie okno o zmatowiałych ze starości szybach pozwalało dyskretnie obserwować zaplecze sklepu.

— Czym podpadłeś? — spytała szeptem dziewczyna.

— Nie stawiałem się w poradni leczenia bólu — wyjaśnił Tomasz.

Amator wafli właśnie wypadł z „Ważki” na podwórze w akompaniamencie przekleństw sprzedawczyni. Z bramy wychynął podobny mu osilek i kiwnięciem głowy przydzielił towarzyszowi klatkę do sprawdzenia. Celina mocniej ścisnęła spoconą dłoń towarzysza.

— Na górę — poleciała.

Dopiero na trzecim piętrze zapłonęło światło. Drabinka prowadziła do wyjścia na dach: skorzystali z niego skwapliwie, ponaglani dudnieniem kroków z dołu i ujadaniem psa.

— Co teraz? — Leszczuk zadzwonił zębami, rozglądając się bezradnie. — Mam skoczyć?

Dach nie należał do stromych, ale zaczynało się ślisko, a trzewiki od garnituru nie nadawały się do wędrówki po gzymsach. Zresztą, Tomasz nie widział siebie w skórze kota. Nie miał dziewięciu żyć.

— Spokojnie — mruknęła zupełnie bez emocji Celina. — Wychowałam się tutaj. Wystarczy patrzeć pod nogi i stawiać drobne kroki.

Faktycznie, wystarczyło. Dwie kamienice dalej dziewczyna odnalazła znajome zejście, podniosła klapę i pierwsza zniknęła w otworze prowadzącym na dół. Zanim Tomasz pokonał drabinę, Celina pukała już do drzwi oznaczonych dziewiątką i staroświecką wizytówką z nazwiskiem Lucjan Kąkol.

— Cześć, tato — powiedziała, gdy w progu stanął człowiek w rozpiętym szlafroku i rozdeptanych kapciach. — Wreszcie kogoś znalazłam!

Wciąż wiszący na drabince Leszczuk poczuł się jak idiota. Nie sądził, że zakończy wieczór na herbatce u emeryta i jego córki, najwyraźniej starej panny. Nie miał jednak wyboru.

Bardziej zdopingowany hałasem na dachu niż ponaglony kiwnięciem dłoni Kąkole znalazł się wreszcie w mieszkaniu. Wystrojem przypominało lata minionej komuny, pachniało kawą, kilkakrotnie odgrzewanym bigosem i kurzem, zalegającym na dziesiątkach afrykańskich masek zdobiących ściany i starym, najwyraźniej zepsutym telewizorze. Usiedli z Celiną na rozklekotanej wersalce, zapadając się aż po same sprężyny.

— Ma skierowanie do poradni — wyjaśniła dziewczyna.

Ojciec w zamyśleniu drapał się po brzuchu, aż trzeszczała poplamiona podkoszulka.

— Dobrze go znasz? — spytał w końcu.

— Wcale — odparła.

— To nawet i lepiej.

— O co wam chodzi? — Tomasz zmarszczył brwi.

— Widzisz, chłopcze — Kąkol przysunął krzesło i usiadł, po czym uniósł ramię i zaczął drapać się pod pachą — pierwszym badaniem, które zrobią ci w poradni, będzie ocena prognozy bólu. Pokażą zdjęcia, puszczą jedno czy drugie przemówienie, relację ze składania wieńców. Nie ma na to mocnego – oprócz fanatyków. Nawet zwykły sympatyk rządu może nie przejść tego testu – zależy, którego orędzia użyją. Na pewno trafisz na terapię.

— To akurat wiem — warknął rozzłoszczony Leszczuk.

— Ale nie wiesz, że istnieje sposób, pozwalający oszukać lekarzy — wtrąciła Celina.

— Akurat! — Skrzywił się z niedowierzaniem Tomasz. — To musiałyby być antidotum na ten cały syf z telewizji i *OBD*...

Gdy Celina położyła palec na ustach, zawiesił głos. Kąkol pokręcił głową i opuścił rękę, tym razem drapiąc owłosione udo.

— Nie. To z medycyny naturalnej. Spraw, że to, co tej pory sprawiało ból, zacznie cieszyć.

Oburzony Leszczuk wstał na równe nogi.

— Ale ja nie chcę zmieniać poglądów!

— Cicho! — syknęła Celina.

— Siadaj. — Kąkol spojrzał z politowaniem w górę i machnął dłonią w geście zachęcającym do ponownego zajęcia miejsca. — Będzie cię śmieszyć, rozumiesz? Nie przestaniesz dostrzegać absurdów, jak w przypadku powodzenia terapii.

Tomasz powoli opadł na rozklekotaną wersalkę.

— Właściwie to planowałem się ukryć. Nie iść do poradni wcale.

— Przeczekać w moim łóżku? — Dziewczyna uśmiechnęła się drwiąco, zupełnie inaczej, niż do klientów i Leszczuk pojął, że być może właśnie poznał jej prawdziwą twarz.

— Co mam zrobić? — spytał skołowany.

Stary wstał i podreptał do kuchni. Tomasz spojrzał na Celinę pytająco. Wzruszyła ramionami.

— Ja też przechodziłam przez coś takiego — wyznała, uspokajająco gładząc jego dłoń.

— Obraziłaś Opiekuna?

Spuściła wzrok.

— Nie. Ale nie zgłosiłam dwóch kresek.

— To znaczy że... Masz dzieci? — spytał naiwnie.

— Nie — odparła.

Nie musiała mówić nic więcej.

Kąkol wrócił do pokoju z oprawionym po staroświecku obrazem jakiegoś świętego

w jednej dłoni i hebanowym słoiczkiem w drugiej. Bohomaz położył gościowi na kolanach, otworzył naczynko i stukając w nie palcem, wysypał na szybkę zabezpieczającą wizerunek dwie prawie równe kreski białego proszku.

— Jaja sobie robicie? — Zbaraniały Leszczuk podniósł wzrok na pochylonego nad nim Kąkola. — To taki sposób?

— Nie. To nie to, co myślisz. — Gospodarz wyprostował się, zamknął pojemniczek i sięgnął do kieszeni szlafroka, wyciągając stamtąd dziesięciozłotowy banknot. — Ale widzę, że wiesz, jak użyć tego zestawu.

— Wiem, ale...

— Spokojnie. — Celina wyjęła banknot z dłoni ojca i skrzyła go w rulonik. — To po prostu najkrótsza droga do mózgu dla *Delleria frustratis*.

— Że co? — wybełkotał Tomasz. — Co to?

— Afrykański pierwotniak, ale niegroźny. A właściwie jego wysuszona postać przetrwalnikowa. — Kąkol ponownie usiadł naprzeciwko, kiwając głową dla potwierdzenia słów córki. — Już jutro wszystko, co frustruje i wyzwala psychogeny ból, zacznie cię bawić.

— Ale...

— Nie pytaj, jak. — Celina podała Leszczukowi rulonik. — To ma jakiś związek z wydzielaniem endorfin. Ważne, że działa.

— Nieustający haj — zaśmiał się gospodarz. — Nieprzemijający.

Tomasz z ociąganiem sięgnął po banknot i, wciąż niezdecydowany, obrócił go w palcach.

— Skąd mam wiedzieć, że zadziała?

Dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu.

— Wystarczy, że włączysz jutro telewizor — stwierdziła, jakby było to coś najoczywistszego na świecie. — I obejrzyś wiadomości.

— Dopiero jutro? — skrzywił się. — A dziś? Mam przesiedzieć do rana na dachu?

Celina nieznacznie potrząsnęła głową i mrugnęła porozumiewawczo. Zrozumiał. Pochylił się, przytknął rulon do nosa i wciągnął najpierw jedną, potem drugą kreskę. Po prostu zapiekło, ale mimo iż czekał i on, i gospodarze, nic niepokojącego się nie stało.

— Czas na was, dzieci — orzekł w końcu Kąkol, klepiąc Tomasza familiarnie w ramię. — Powodzenia!

Noc minęła zbyt szybko.

Czując jeszcze na języku słodycz skóry Celiny, rano zgłosił się do poradni leczenia bólu. O świecie w mieszkaniu dziewczyny pomyślnie przeszedł test porannych wiadomości:

choć spikerka w ostrych słowach potępiała w czambuł aresztowanych w nocy sabotażystów, skorumpowanych wrogów państwa i rozplywała się nad liczbą zgłoszonych w zeszłym tygodniu szczęśliwych poczęć, uśmiechał się coraz promiennie. Pozostał obojętny na wszystkie podprogowe przekazy, a żadnej krytycznej myśli nie przyplącił bólem. Pożegnany ostatnim, pośpiesznym numerkiem w czasie reklam między sportem a pogodą, opuścił gościnne mieszkanie, przyrzekając dziewczynie solennie, że wróci. Na do widzenia pocałowała go tylko w czoło.

Jakby nie uwierzyła, że jeszcze się zobaczą.

Pielęgniarka w recepcji odebrała skierowanie z miną głodnej harpii; sprawiała wrażenie, że zamierza pożreć papier razem z dłonią pacjenta. Druga poprowadziła Tomasza do gabinetu z gracją więziennego strażnika, po czym z wprawą tegoż pomogła lekarzowi przypiąć Leszczuka do specjalnego fotela. Mebel krępował ruchy tak, by uniemożliwić badanemu uniki. Podłączono też aparaturę mierzącą ciśnienie i tętno, skronie i palce Leszczuka oklejono taśmą z elektrodami. Przewody, biegnące od każdego opuszka do komputera, upodabniały pacjenta do poddawanego diagnostyce robota. Potem włączono przekaz: na ekranie, zajmującym prawie pół ściany, pojawiła się pucułowata twarz młodego rzecznika rządu na tle jakiegoś szpitala w zapadłej dziurze.

...mamy pełne zaufanie do decyzji podejmowanych przez panią minister zdrowia. Praca zespołu ekspertów nad projektem ustawy nie poszła na marne. Rządowy program kontroli poczęć i monitorowania ciąży „Jedno poczęcie, jedne narodziny” przez dwadzieścia cztery roki obowiązywania przynosi rewelacyjne efekty w postaci przerostu urodzeń...

Roki? Ja pierdolę, co za ćwok. Wzrostu, nie przerostu, tępy chuju – poprawił go w myślach Tomasz, nie przestając się uśmiechać. Sam jesteś najlepszą antyreklamą tego programu, bucu!

Lekarz zatrzymał nagranie. Zerknął na ekran laptopa i wybrał kolejne: tym razem na wyświetlaczu dokonywano aresztowania dyrektora jednej ze szkół w wielkim mieście, po czym z sejmowej mównicy zagrzmiała minister czystości moralnej i porządku publicznego:

...osobiste, wsteczne przekonania jakiegoś degenerata już nigdy nie opóźnią przekazania do kuratorium właściwego dla danego regionu wyników oceny pożądanej postawy propaństwowej młodzieży pierwszych klas szkół średnich...

— I dobrze! Śmierć zdrajcom! — zawył rozradowany Tomasz, obrzucając w myślach obelgami tłuste babsko z telewizji.

Pizda. Kurwa. Stara maciora. Ciekawe, czy wszystkie z dziesięciorga jej dzieci mają pożądaną postawę propaństwową!

Medyk skrzywił się tylko i odtworzył kolejny plik. Serce Tomasza zamarło, ale tylko na moment. Gdy premier Plisiewicz, zwany też Pierwszym Opiekunem Narodu zaseplenił coś o konieczności zwalczania wrogów wewnętrznych, zachowaniu nieustającej czujności i zgłaszania władzom przypadku każdego niepokojącego zachowania, Leszczuk wybuchnął śmiechem tyleż szczerym co niespodziewanym, tak, że siedząca z tyłu pielęgniarka prawie podskoczyła w przestkach.

— Tak! — krzyknął, by zagłuszyć nadciągającą falę bólu; przecież zwykle tak właśnie reagował na negatywne emocje, wywoływane przez premiera. Podprogowy przekaz, sączący się z każdego programu telewizyjnego wpędzał w poczucie winy i przyprowadził o realne cierpienia wszystkich, którzy choćby pomyśleli źle o politykach jedynej legalnej partii. Tym razem ból nie nadszedł, choć Tomasz z chęcią zazgrzytałby zębami i skręcił palantowi kark. — Tak! Ma rację! Absolutną! Brawo!

Ekran pociemniał. Lekarz wyłączył telewizor.

— Pan poczeka na wyniki na korytarzu — mruknął.

Pielęgniarka zaczęła odpinać elektrody, a Leszczuka opuściły nerwy. Nagle poczuł głód; nic dziwnego, przecież nie miał w ustach nic od wczorajszego lunchu. Dziwne, że wytrzymał tak długo. Na widok ucha siostry o mięsistym, czerwonym płátku zassało go w żołądku. Łakomie oblizwał wargi. Kobieta właśnie odpięła zaczepy, unieruchamiające głowę badanego, pochyliła się nieco, by zdjąć pasy z przegubów jego rąk i Tomasz wyraźnie poczuł jej zapach: słodkawy, przywodzący na myśl baraninę. Zanim zdołał pojąć, że dzieje się z nim coś niedobrego, niespodziewanie przyciągnął pielęgniarkę do siebie.

Wrzasnęła przeraźliwie, gdy zatopił zęby w jej smakowitym uchu, szarpnął i odgryzł wraz z fragmentem małżowiny, by sięgnąć po resztę. Lekarz ruszył podwładnej na pomoc, lecz zanim wychynął zza biurka, Leszczuk pchnął kobietę na ścianę z telewizorem, poderwał się z fotela, wpadł na medyka i powalił go na podłogę. Nie zdołał sięgnąć jego twarzy: konował zasłaniał się rękami, poprzestał więc na jednej z nich. Ugryzł z całej siły pulchne miejsce nad nadgarstkiem, i szarpiąc głową jak pies, wrywał kawałek ciała. Przełknął go pośpiesznie i wrócił go kłusania gdzie popadnie: podczas szamotaniny spod fartucha i koszuli wyłoniła się potężna fałda tłuszczu na brzuchu medyka. Tomasz bez wahania zatopił w niej zęby. Wrzaski zaalarmowały pozostały personel; gdy w progu stanęła harpia z rejestracji, Leszczuk odwrócił głowę, wbijając w kobietę dziki wzrok.

Widząc zalane krwią usta i podbródek pacjenta, zaczęła histerycznie wzywać ochronę. Pomimo słusznej postury nie zamierzała wdawać się w walkę z szaleńcem. Zaszokowana, skamieniała jednak na progu i to ją zgubiło. Leszczuk porzucił ryczącego jak zarzynane bydło

lekarza, w dwóch susach dopadł drzwi i rzucił się harpii do gardła. Tak jak medyk, usiłowała zasłonić się przedramieniem, ale wtedy pacjent ukąsił miękką krawędź jej dłoni. Trzymał, mimo iż kobieta wolną ręką targała go za włosy i wierzgała nogami. Nie mogąc dosięgnąć mięsistej szyi, rozdarł jej bluzkę i wgryzł się w miękką, rozlaną materię piersi, wrywając dorodne kęsy i przetykając je pośpiesznie.

W korytarzu zadudniły ciężkie buciory ochroniarzy: zasuszony emeryt i młody idiota zastygli o kilka kroków dalej i najpierw zbaranieli, nie wiedząc, co począć, by po chwili zacząć okładać plecy Leszczuka pałkami.

Nie czuł bólu.

Gdzieś w oddali zawyła policyjna syrena, z głębi korytarza biegła młoda lekarka z gotową do iniekcji strzykawką w drżącej dłoni. Rozjuszony razami Tomasz puścił harpię. Podniósł głowę; ciosy pałek ustały. Wykorzystał moment niepewności tamtych i poderwał się, atakując starego. Gdy padli obaj na podłogę, spanikowany młody uciekł. Pograżony w amoku Leszczuk nie czuł już nic poza głodem i ciepłem rozdzieranych ciał: ani pałek na plecach, ani ukłucia igły, ani zastrzyku, którego dziewczyna w fartuchu nie zdołała wykonać do końca, bo, odepchnięta i przewrócona, nie zdołała uchronić się przed zębami furiata. Leszczuk kąsał wszystkich w narastającym szale, rozszarpywał paznokciami powstałe rany, drapał, rozrywał skórę i mięśnie, przegryzał giętkie nici naczyń, chleptał ciepłą krew. W szale rzucił się nawet do ataku na nadbiegający od wejścia policyjny patrol.

Funkcjonariusze użyli broni. Tomasz nie poczuł bólu.

— Nie szkoda ci go? — spytał wieczorem Kąkol, gdy Celina usiadła jak gdyby nigdy nic na rozklekotanej kanapie i wlepiła wzrok w ekran wyłączzonego od dwudziestu czterech lat telewizora, jakby czekała, aż ojciec wreszcie go użyje. — Nie żałujesz?

— Nie — przyznała, marszcząc brwi. — A powinnam?

— Raczej tak. Przecież chyba coś was łączyło?

— Tylko seks, tatusiu. Niezobowiązujący. Ale z zabezpieczeniem. — Roześmiała się cynicznie. — Chociaż dla ciebie liczy się wyłącznie fakt, że rozprzestrzenił *Dellerię*, prawda? Że zarażeni nie będą reagowali bólem na każdą krytyczną myśl o naszej wspaniałej władzy, choć nieważne, ilu zginie. Powiedz, tylko to się liczy?

Wstała i zaczęła spacerować na środku pokoju, wokół stołu, przy którym siedział ojciec. Nucila coś pod nosem i kiwała dłońmi w takt melodii, towarzyszącej telewizyjnym losowaniom loterii *OBDO*. Mężczyzna obserwował córkę z coraz większym niepokojem. Nawet słabnący wzrok pozwolił mu dostrzec czerwoną plamkę na wardze Celiny.

— Ugryzł cię? — spytał przerażony, gdy stanęła za nim. — Jak mogłaś być tak

nieostrożna!

Oparła dłonie na ramionach ojca. Potem pochyliła się, na moment zastygła z nosem tuż przy jego uchu, węsząc tak, jakby szukała znajomego zapachu. Kąkol wstrzymał oddech.

Krzyknął w przestachu, gdy umyślnie głośno kłapnęła zębami, po czym roześmiała się głośno, drwiąco, szyderczo. Zrozumiał, że to tylko makabryczny żart; rodzaj zemsty za to, że wykorzystał i Leszczuka, i — wszystko na to wskazywało — także ją.

— Nie — odpowiedziała. — Ale żałuję, że tego nie zrobił.

Lucjan odetchnął z ulgą.



SMOKOPOLITAN

CZASOPISMO OD FANÓW DLA FANÓW

www.smokopolitan.pl



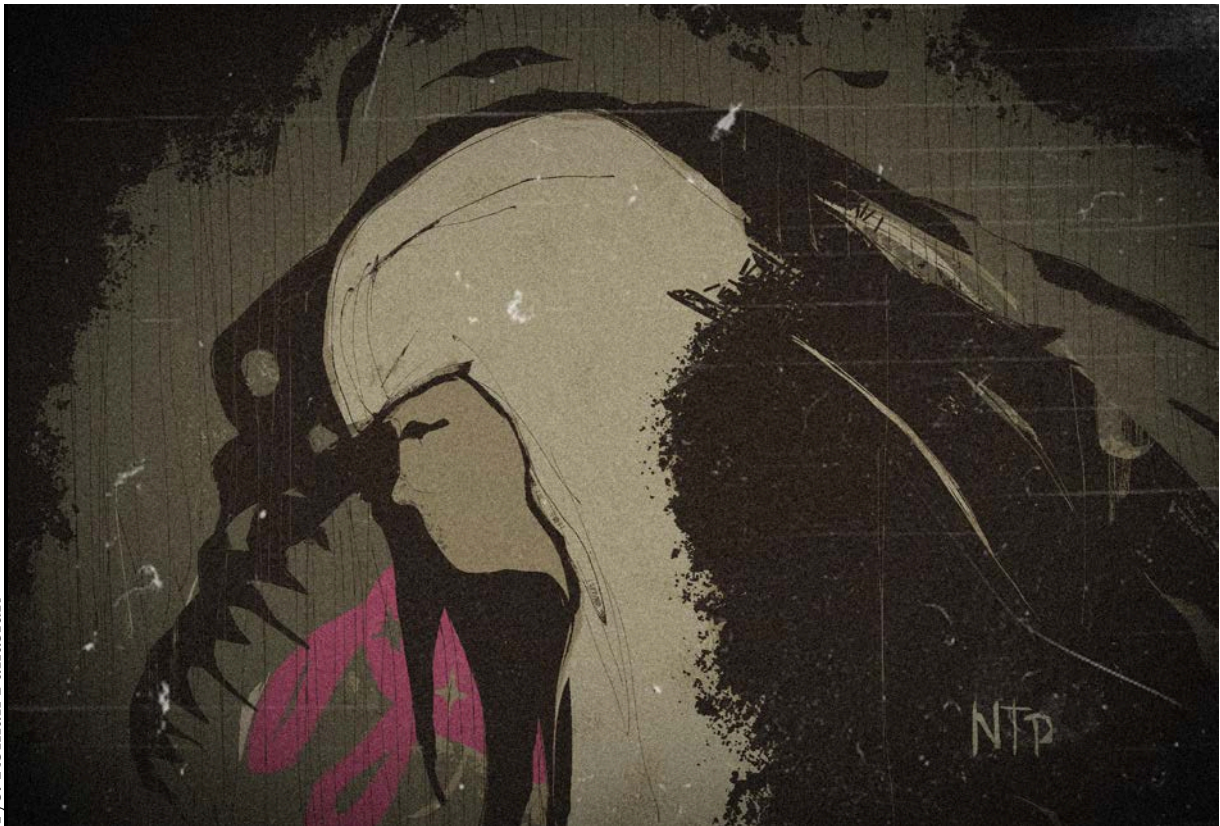


SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**



RÓŻOWY KRÓLICZEK

Sandra Gatt Osińska

Klęcząc w kącie pokoju, mała Elwira przetrząsała skrzynię pełną zabawek. Rozpaczliwie szukała ulubionego króliczka, którego schowała tam poprzedniego dnia. Sprawnie grzebała rączkami pomiędzy wybrakowanymi lalkami, prującymi się pluszowymi misiami i zniszczonymi przyrządami kuchennymi z plastiku. Wieloma z nich nie bawiła się już od dawna, ale szkoda było je wyrzucić. Im głębiej sięgała, tym większa stawała się rozpacz. Elwira nie chciała innych zabawek. Chciała tę jedną, jedyną!

Na pызatych policzkach dziewczynki pojawiły się wypieki, a czoło przeszył grymas złości. Usta, które jeszcze przed chwilą były wygięte w podkówkę, nadęły się w sposób typowy dla dziecka. Elwira czuła się wściekła i znużona, choć tak naprawdę nie wiedziała

czemu. Zniknięcie zabawki dodatkowo wzmagало negatywne emocje, tak jakby dziewczynka nie miała wystarczająco dużo zmartwień.

Kopnęła zniszczony klocek, który wypadł ze skrzyni. Usiadła na dywanie, wzdychając z dezaprobatą. Nudziła się jak nigdy dotąd. W domu panowała sroga i nienaturalna cisza. Dziewczynce brakowało typowych odgłosów domowego życia. Nie było z kim porozmawiać czy bawić się przy kominku. Nie było nikogo, kto mógłby poczytać na głos ciekawą książkę. Nawet telewizor, który zazwyczaj grał na cały regulator, po prostu milczał. Obecność sztucznie uśmiechniętych ludzi z ekranu została zastąpiona pustą czernią.

Odrętwiała Elwira wstała i otrzepała swą suknię. Kreacja budziła w niej wstręt, gdyż ani trochę nie spełniała dziewczęcych wymagań. Banalnie prosty krój, brak jakichkolwiek ozdób, kolor żałobnej czerni – taka suknia była zbyt poważna i nudna dla dziecka. Dziewczynka ponownie westchnęła, podchodząc do lustra. Poprawiła blond loczek, który wymknął się spod spinki. Zamyślona przygryzła dolną wargę, ssąc ją lekko. Po chwili zauważyła kolejną, niepokojącą rzecz.

Gdzie jest mama?

Świadomość długiej rozłąki z rodzicielką zabolą dziewczynkę. Zastanawiała się, co mama mogła teraz robić. Kiedy ostatnio Elwira rozmawiała z tatą, ten wspomniał coś o dalekiej podróży, do aniołków. Lecz co to znaczyło? Dlaczego nie wracała? Czyżby wolała bawić się z nimi zamiast z własną córką? Dziewczynka przypomniała sobie minę ojca, gdy mówił o mamie. Jego śmiertelna powaga wydawała się Elwirze wręcz przekomiczna. Wyglądał przerażająco, a zarazem zabawnie. Pierwszy raz widziała łzy w jego oczach. Czyżby tęsknił za mamą? Przecież miała wrócić, obiecała!

Elwira, nucąc pod nosem jedną z kołysanek, podeszła do okna sięgającego od podłogi aż do sufitu. Chciała za wszelką cenę przerwać panującą ciszę. Wielkimi oczami rozejrzała się po okolicy. Słońce leniwie chowało się za horyzontem leśnych drzew. Tylko one otaczały dom, tworząc z niego twierdzę jak z dziecięcych snów, choć tak naprawdę życie Elwiry bardziej przypominało koszmar. Brakowało jej sąsiadów, z których dziećmi mogłaby się bawić. Nigdy nie wychodziła na zewnątrz, przynajmniej nie wtedy, gdy patrzyli rodzice. Czasem w nocy wymykała się do ogrodu, aby stąpać gołymi stopami po zroszonej trawie i obserwować płynące po niebie chmury, zasłaniające wstydlivy księżyc.

Oparła się dłońmi o zimną taflę szkła, które zaparowało od jej oddechu. W powietrzu unosił się przenikliwy zapach zimna, kojarzący się z nadchodzącą jesienią. Ile to już minęło czasu? Powoli zapadał zmierzch, a tata nadal nie wychodził ze swojej sypialni. Dziewczynka robiła się głodna.

Odwróciła się, żeby poszukać taty i wtedy dostrzegła na kanapie znajomy kształt. Po długich poszukiwaniach zguba sama się znalazła! Elwira podbiegła do siedziska i energicznie chwyciła maskotkę za długie, różowe uszy. Mocno przytuliła do siebie króliczka, który pachniał perfumami mamy. Dawno nie czuła tak rozpaczliwej tęsknoty.

Zastanawiała się, od ilu lat towarzyszył jej uszaty pluszak. Dopiero teraz dotarło do niej, że tak naprawdę nigdy nie nadała mu imienia. Może dlatego tak często się przed nią chował? Czuł się niechciany – zupełnie jak Elwira. Przytuliła go jeszcze mocniej, czując, jak szklane oko wbija jej się w ramię. Bezimienny różowy króliczek był jedynym przyjacielem Elwiry.

Nagle usłyszała głośny trzask. Dźwięk dochodził z piętra. Wydawał się nienaturalnie donośny i niepokojący, brzmiał trochę jak rozrywany materiał. Serce w próbie raptownego wyskoku, zabiło mocniej w kruchej klatce piersiowej, dając poczucie objęcia się o żebra. Dziewczynka zadrżała z przerażenia. Jeszcze przed chwilą wydawało jej się, iż dom był zupełnie pusty. Mimo panicznego lęku, spróbowała pozbierać myśli. Odgłos musiał pochodzić z biblioteki. Lecz zazwyczaj nikt, poza mamą, z niej nie korzystał.

Mama.

Niewiele myśląc, Elwira pobiegła po schodach, targając króliczka za ucho. Nie zważała na głośne skrzypnięcia starych desek. Kiedy była już u szczytu schodów, na wąskim korytarzu w dosyć słabym świetle, dostrzegła, jak zamykają się drzwi prowadzące do biblioteki. Przystanąła na chwilę, by złapać oddech. Żarówka w lampce zaczęła przygasać, a przeciąg uniósł kosmyki włosów Elwiry. Serce waliło jak oszalałe, wzmagając migrenę spowodowaną głodem. Przez chwilę dziewczynka miała wątpliwości. A co jeśli to nie była mama, ale ktoś obcy? Co jeśli nieznajomy zrobi jej krzywdę? Była jedynie drobnym dzieckiem, sparaliżowanym przez strach i głód.

Niepewnie, krok po kroku, Elwira podeszła do drzwi. Wzięła głęboki wdech, aby uspokoić bicie serca. Wypuściła powietrze i przygryzła dolną wargę. Zapukała trzy razy – mimo nadzwyczajnych okoliczności nie chciała być niekulturalna. Po dłuższej chwili drzwi uchyliły się z głośnym skrzypnięciem. Dziewczynka na uginających się nogach weszła do pomieszczenia. Pierwszym, co zauważyła, była mama. Znajdowała się tuż przed dziewczynką, tak długo wyczekiwana matula! Łza zakręciła się w oku dziecka, jednak coś je zaniepokoiło. Zapatrzona w matkę Elwira, zaczęła iść przed siebie, ale po chwili potknęła się i gwałtownie upadła. Nie spuszczając wzroku z mamy, nie zauważyła ani pustej butelki po winie, ani blistrów po lekach nasennych. Choć leżały nieopodal, pozostały nieistotne. Coś

było nie tak z mamą i to stanowiło dla dziecka priorytet. Jego piąstka zacisnęła się na szyi króliczka, a warga zaczęła samoistnie drgać.

Mama Elwiry siedziała bezwładnie na wiekowym fotelu przed mahoniowym sekretarzykiem. Spuszczoną na ramię głowę okrywała kaskada czarnych włosów. Pośród nich dziewczynka dostrzegła blade i spierzchnięte usta. Spokojny obrazek przypominał raczej przemęczoną istotę, która zasnęła w trakcie czytania kolejnej obszernej lektury. Jedyne, co świadczyło o nieobecności kobiety, to szeroko rozwarte oko, patrzące w nicłość.

Zaniepokojona Elwira wstała i zatrzymała się kilka kroków od ciała. Nie czuła w powietrzu ciepła matki, jedynie słodką woń perfum i krwi, spływającej powoli z nadgarstka kobiety na podłogę. Krwi, łączącej matkę z córką.

Krew.

Króliczek upadł bezwładnie na ziemię, patrząc szklanymi oczami w sufit. Odbijało się w nich światło, sprawiając wrażenie, jakby pluszak płakał bezgłośnie, choć nie wiedział, jak wielkie stało się nieszczęście. Elwira podeszła bliżej matki i opadła na kolana, tuż przy jej nogach. Z ustami rozchylonymi w niedowierzaniu, złapała za dłoń rodzicielki. Ciało poruszyło się bezwładnie niczym manekin. Dziewczynka przytknęła wargi do bladej skóry. Ta zaś była zimna, wręcz lodowata. Stawy zdążyły już lekko zeszywnieć, a cera nabrała niezdrowego, matowego koloru.

Elwira zacisnęła mocno powieki, nie dowierzając w to, co się stało. Ucałowała dłoń matki i obracając ją w rękach, przejechała wargą po przegubie. Odsunęła twarz, by spojrzeć na głębokie rany na nadgarstkach, cięte wzdłuż przedramienia. Krótkimi pociągnięciami noska wciągnęła w nozdrza zapach krwi. Poczuela, że ciecz zaczynała krzepnąć, lecz wciąż była dostatecznie ciepła. Nadal sączyła się z rany, błyszcząc w świetle padającym z żyrandola. Elwira delikatnie i ledwo zauważalnie oblizwała usta, niczym przebiegłe zwierzę. Rozchyliła wargi, a następnie objęła nimi ranę. Miękkim językiem dotknęła śladu po cięciu. Poczuela słodki smak krwi, który jedynie bardziej rozbudził jej głód.

Głodna.

Nagle ręka matki rozplynęła się w dłoniach Elwiry. Dziecko rozpaczliwie zaczęło rozglądać się dookoła, w panice próbując chwycić blednącą zjawę. Po chwili dziewczynka zorientowała się, że klęczy samotnie w ciemnym pomieszczeniu. Fotel, na którym siedziało widmo matki, stał zasłonięty białym materiałem pokrytym kurzem. Elwira szarpnęła tkaninę w dół z nutką nadziei, że znajdzie pod nią mamę. Niestety, mebel stał pusty.

Elwira zawyla głośno i przeciągle, czując gwałtowny skurcz żołądka. Była niesamowicie głodna, jak nigdy dotąd. Pragnienie coraz bardziej odbierało jej zmysły,

powodując zawroty głowy. Gdzie do cholery znajdował się ojciec? Czyżby zebrało mu się na zabawę w chowanego?

Piastki dziewczynki uderzyły w mahoniowe deski podłogi, a z oczu popłynęły krystalicznie czyste łzy. Bezsilność. Była całkowicie bezsilna. Nienawidziła tego uczucia. Przewróciła fotel matki i skuliła się, rękoma obejmując ramiona. Załkała cicho. Pragnęła jedynie odrobiny ciepła, nie tylko domowego ogniska, lecz także zwykłego ognia w kominku. Tej nocy ojciec nie ogrzał domu jak należy. Elwira widziała, jak wydychane powietrze momentalnie zmienia się w parę. Drżała ze złości i zimna, czuła się samotna i opuszczona.

Gdzie jest tata?

Wstała z podłogi, wciąż obejmując swoje ramiona. Jej żołądek zaburczał głośno, manifestując potrzebę jedzenia. Elwira pomasaowała obolały brzuch. Poczowała wystające żebra. Zaniepokoiło ją to jeszcze bardziej, lecz tym razem powstrzymała płacz. Wyszła z biblioteki, ostrożnie zamykając drzwi. Starła się, żeby nie wydały z siebie najmniejszego dźwięku, gdyż ojciec zdenerwowałby się, słysząc, że wchodzi do azylu matki. Nawet jeśli ta przebywała teraz wśród aniołków.

Dziewczynka ostrożnie skierowała się w stronę schodów. Stąpała krok po kroku, czując coraz bardziej przenikliwe zimno. Zatrzymała się na chwilę w połowie schodów i spojrzała na okno naprzeciw. Zamiast zachodu słońca, widziała padający śnieg, okrywający korony drzew delikatną pierzyną. Wszystko było białe – niebo, las, polana przed domem... Elwira zerknęła na swoje odbicie w tafli szkła. Wydawało jej się, że miała o wiele dłuższą sukienkę, niż gdy wchodziła po tych schodach. Przytuliła mocniej różowego króliczka. Czyżby i on się skurczył?

Kątem oka, poniżej balustrady, Elwira dojrzała odbicie ciemnej postaci, unoszącej się nad podłogą. Dziewczynka zmrużyła oczy, przyglądając się tajemniczej sylwetce. Cień przypominał wysokiego mężczyznę, bujającego się do przodu i do tyłu, zawieszony na grubej linie. Elwira przetarła oczy w niedowierzaniu, lecz postać nie zniknęła. Kto to był? Ktoś obcy? I czemu tata go nie zauważył?

Tata.

Elwira zerwała się do biegu. Jej stopy sprawnie poruszały się po stromych schodach, wręcz zeskakiwała z jednego stopnia na drugi. Nie wierzyła, nie chciała! Jednak jej najgorsze obawy potwierdziły się, gdy stanęła naprzeciwko unoszącej się postaci. To nie była mara ani sen. Ktoś, i to nie byle kto, naprawdę zwiślał z balustrady, powieszony za szyję na grubym sznurze. Oczy dziewczynki podążały za kołyszącą się postacią, otwierając się coraz szerzej w niedowierzaniu. Lekko otwarte usta wygięły się w podkówkę, a policzki nabrały szkarłatnej

barwy. Elwira opadła na kolana, wypuszczając z dłoni pluszowego króliczka. Maskotka potoczyła się tuż pod wiszące truchło, jakby na nie wskazując.

Tata, najdroższy tata, wisiał z wytrzeszczonymi oczami i wywalonym językiem powieszony na balustradzie. Stróżka śliny toczyła się po jego podbródku, skapując na starannie wyprasowaną koszulę. Źrenice miał zwrócone w dół, patrzył na małą Elwirę, jakby próbował wzbudzić w niej poczucie winy. Obie ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała, a w powietrzu unosił się jedynie zapach śmierci.

Elwira wstała szybko z podłogi i objęła nogi ojca, dusząc w sobie płacz. W pierwszej chwili, chcąc uratować tatę, próbowała choć trochę unieść ciało. Szybko jednak zrozumiała, że to daremny wysiłek. Mężczyzna nie żył. Dziewczynka przytuliła się mocno do zwłok, jakby próbowała w nie wniknąć, lecz nagle ciało rozmyło się w powietrzu. Upadła na ziemię, tuż obok swojego króliczego towarzysza. Za oknem panowała całkowita ciemność, a w salonie paliło się jedynie kilka świec. Przenikliwy chłód był jeszcze bardziej dotkliwy niż przed chwilą.

Elwira została sama. Całkowicie sama, zamknięta w tym przeklętym domu. W dodatku coraz bardziej odczuwała głód, boleśnie przeszywający jej żołądek. Skąd wziąć jedzenie? Jak sobie poradzić? Nie wiedziała. Usiadła na zimnej podłodze i skuliła się, przytulając mocno różowego pluszaka. Pozwoliła płynąć łzom, które tak bardzo próbowała powstrzymać. Z jej ust wydobył się przeraźliwy jęk, pełen rozpacz i cierpienia. Wydawało jej się, że królik był jeszcze mniejszy. Odsunęła się na chwilę, aby mu się przyjrzeć. Jego ciało, które niegdyś nie mieściło się w jej małych rączkach, w tej chwili wydawało się groteskowo wątle. Czuła niedobór wypełnienia w pluszowym ciele. Brakowało również jednego szklanego oka.

Usłyszała drapanie. Szybkie, urwane, drapieżne skrobanie w drewno, które niemal natychmiast ucichło. Po chwili powtórzyło się, lecz znów trwało przez ułamki sekundy. Dziewczynka, przytuliwszy króliczka, ostrożnie stąpała w stronę źródła dźwięku. Co to mogło być? Odgłos nasilił się, powodując na ciele Elwiry gęsią skórę. Wystraszone dziecko, podeszło do frontowych drzwi. Drapanie ustało, a serce dziewczynki zaczęło bić mocniej.

Elwira przybliżyła się do masywnych wrót, by przyłożyć ucho do drewna. Próbując opanować oddech, aby cokolwiek usłyszeć, oparła się ramieniem o wejście. Burczenie w brzuchu zakłóciło ciszę. Dziewczynka dotknęła żołądka, jakby prosząc, by się nie odzywał. Wtedy z zamyślenia wyrwało ją gwałtowne walenie w drzwi. Oskoczyła jak opatrzona, dusząc w gardle krzyk. Uderzenia nasilały się z każdą chwilą. Ktoś z drugiej strony szarpał za klamkę, próbując sforsować wrota.

- Potwór! –krzyknął nieznajomy.
- Zabić ją! –wtórował mu drugi głos.

Dziewczynka zakryła uszy, aby stłumić intensywne dźwięki. Nie przywykła do takiego hałasu, gdyż od długiego czasu towarzyszyła jej jedynie sroga cisza. Próbowala zliczyć, ile osób mogło być za drzwiami. Dwie, trzy, może nawet więcej. Uderzenia nasilały się coraz bardziej, jakby pięści zmieniły się w tarany. Elwira chwyciła swojego pluszowego towarzysza i pobiegła w głąb domu. W duszy modliła się, by wrota wytrzymały jak najdłużej.

Szybkimi susami wspięła się na sam szczyt schodów. Nie odwracając się, pobiegła wąskim korytarzem, mijając drzwi biblioteki. Słyszała, jak puścił zamek w drzwiach, a krzyki stały się jeszcze głośniejsze. Nadchodzili. Kto tu był potworem? Małe wystraszone dziecko czy ci bandyci, którzy wdarli się do jej domu? Spojrzała na sufit i dostrzegła uchyloną klapę, prowadzącą na strych. Skoczyła i ręką złapała za sznurek przymocowany do drewnianych schodków. Nie przejmowała się tym, że ktoś nie zamknął wejścia. Po prostu wbiegła na górę i wciągnęła drabinkę z powrotem, odcinając wejście intruzom. Zatrzasnęła klapę, po czym odsunęła się od niej gwałtownie.

Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Ręką kurczowo trzymała nóżkę maskotki. Pragnęła, by to był tylko zły sen. Jeszcze przez chwilę nasłuchiwała odgłosów z głębi domu, lecz wokół panowała jedynie cisza.

Zniknęli.

Elwira wzięła głęboki wdech i wypuściła powietrze. A co jeśli to wszystko było jedynie marą? Podejrzewała, że nieznajomi zniknęli tak samo, jak jej rodzice. Przetarła zmęczoną twarz, czując, że kosmyki włosów opadają na jej oczy. Dziewczynkę kusiło, żeby sprawdzić, co się dzieje na dole, lecz nie miała na tyle odwagi, by opuścić swój schron. Spojrzała w stronę małego okienka, przez które przebijały się ostatnie promienie słońca. Szukając czegoś do jedzenia, całkowicie straciła poczucie czasu. A może to czas stracił ją? Niezdarnie przeczołgała się w stronę okna i wstała z kolan. Poprawiła swą czarną suknię, która stała się dla niej za krótka. Nawet rękawy sięgały jej teraz do połowy rąk. Niechętnie podeszła do przykrytego starym prześcieradłem lustro i ściągnęła materiał. Spojrzała na swoje odbicie z niedowierzaniem. Jej ciało nie przypominało tego sprzed kilku godzin.

Godzin.

Odwróciła się i rozejrzała po pokoju. Ściany pokryte były licznymi zadrapaniami, niczym więzienna cela. Elwira podeszła do jednej z nich i zaczęła liczyć złożenia. W niektórych z nich widziała krew. Wszystkie układały się w rzędy, po siedem.

2557 dni.

Upadła na ziemię, łapiąc się za głowę i krzycząc głośno. Czuła się zagubiona. Co tak naprawdę stało się w tym domu? Nie wiedziała. Była głodna, a głód odbierał jej rozum. Zaczęła uderzać pięściami o podłogę pokrytą kurzem i szczątkami małych zwierząt. Uderzała w drewno, truchła szczurów i ptaków, aż w końcu zdarła sobie knykie. Kim tak naprawdę była?

Kim jesteś?

Skuliła się w kącie i zaczęła się bujać. Do przodu, do tyłu. Do przodu. Do tyłu. Nerwowym wzrokiem rozglądała się po pokoju. Siedem lat – tyle minęło, odkąd po raz pierwszy uciekła na strych. Serce waliło jej jak oszalałe, a paznokcie mocno wbijały się w ramiona. Dopiero teraz dostrzegła, że suknia jest cała zniszczona i podziurawiona, a palce zamiast w materiał, wbijają się w gołą skórę. Wycie Elwiry wydawało się nienaturalne.

Kim ja jestem?

Przezołgała się do prowizorycznego łóżka i opadła na zniszczony koc. Czuła intensywny zapach moczu i zakrzepłej krwi. Spojrzała na pościel. Była cała brudna, pokryta niezidentyfikowanymi plamami. Mimo to Elwira opadła na posłanie i skuliła się. Pragnęła tylko zasnąć i nigdy nie obudzić.

Króliczek.

Spojrzała w stronę pluszowego towarzysza. Było jej wstyd, że tak po prostu porzuciła go przy wejściu na strych. Przezołgała się do maskotki, opierając ciężar swojego ciała na dłoniach. Przypadkowo stanęła na klapie. Zdążyła się odsunąć, gdy wieko runęło w dół, rozkładając schodki. Elwira klęczała nieruchomo, nasłuchując odgłosów z wnętrza domu. Nie była sama. Słyszała wyraźnie skrzypienie podłogi pod stopami intruzów. Musiało być ich czterech lub pięciu. Mówili coś do siebie, ale zbyt niewyraźnie. Najwidoczniej znajdowali się na parterze.

To ludzie.

Żywi ludzie.

A ludzie oznaczają

krew.



TEORIA RZECZY: CZARNY LAS

Piotr Kulpa

*Umarli wychodzą z ziemi
gromadą bratków;
bratki są barwne i nieme
– niepomne strasznych wypadków.*

*Życiu i śmierci obce,
żywią się rosą ranną,*

*bratek, który był chłopcem,
bratek, który był panną...*

*„Bratki cementarne”
Maria Pawlikowska-Jasnorzewska*

Uratował ją terkot. Guzy w osi jezdni spełniły swoje zadanie. Jowita, krzycząc dziko, szarpnęła kierownicą i w ostatniej chwili wyrwała czerwone clio spod paszczy potwora, ryczącego klaksonem i zalewającego kabinę ogniem blasku reflektorów. Małe auto odbiło w bok, a kobieta uderzyła skronią o szybę. Tuż obok przetoczyło się z hukiem ogromne koło. I kolejne. I jeszcze jedno.

Minęła się z tirem o włos.

Z trudem utrzymała się na pasie ruchu. Prawie stanęła. Adrenalina sprawiła, że nie słyszała nic poza szybkim tętnem, a skóra na głowie mrowiła i piekła. W jej ustach rozlał się metaliczny smak. Ścisnęła kierownicę kurczowo, bardziej po to, by się opanować, niż po to, by kierować. Silnik zaczął się dławić na zbyt niskich obrotach.

– Boże – szepnęła, zerkając w lusterko. Nic. Dochodziło wpół do dwunastej, droga opustoszała, i całe szczęście. Minęła wolno dwa zakręty, ułożone w wielkie es i wyjechała na prostą. W świetle reflektorów dostrzegła znak: parking, pięćset metrów, łyżka i widelec, skrzyżowane jak kości pod czaszką na pirackiej fladze. Dość. Jeszcze tym razem się udało, ale jak nie zmieni trybu życia, to wcześniej czy później nie ocknie się w porę. Czas się zatrzymać. Najlepiej zacząć od teraz.

Zjazd na parking pojawił się tuż za murowanym przystankiem autobusowym z wiszącą krzywo tabliczką Czarny Las. Sam plac był niewielki, na kilka osobówek lub jedną dużą ciężarówkę. Nieskończenie wielką, jak się teraz Jowicie zdawało. Zatrzymała się pod zaparowanym oknem baru. Paliło się w nim żółte światło, a od czasu do czasu błyskała fioletowa poświata.

Jowita zgasła silnik i opadła czołem na kierownicę. To nie był dobry dzień i miała nadzieję, że wyczerpała już limit kłopotów. Najpierw nieudana rozmowa w białostockiej klinice. Liczyła na łatwą sprzedaż dwóch tomografów, a okazało się, że uprzedził ją ten wredny kolega z Pomorskiego. Przez dwie godziny robiła z siebie idiotkę, negocjując cenę, która już dawno została ustalona. Co za skurwiel, zapłaci jej za to! Potem, w Warszawie, utknęła w korku i spóźniła się do prywatnego szpitala onkologicznego. Nie czekali na nią. Nie

zarobiła nawet na mandat, który niewrażliwi na głęboki dekolt policjanci wlepili jej za przekroczenie szybkości w drodze powrotnej. W dodatku po południu zadzwoniła wychowawczyni Blanki z informacją, że „córki znowu nie było w szkole i jak tak dalej pójdzie, to nie dopuszczą jej do egzaminu gimnazjalnego”.

A miała zostać w domu. Obiecywała sobie od dawna, że jak tylko spłaci Wojtka, bierze urlop. Mieszkanie, które zostawił jej odchodzący mąż, było wolne od hipoteki od czterech miesięcy. W ciągu tych samych czterech miesięcy Jowita nie spędziła dnia bez wykonania telefonu w sprawie służbowej, bez buszowania w sieci w poszukiwaniu możliwości poprawy wyniku handlowego, bez awantury z Blanką i przerywanej przerażającym bezdechem nocy. Teraz, patrząc w zmatowione od pary okno baru Czarny Las, na którym ktoś od środka narysował palcem serce przebite strzałą, poczuła strach. Strach przed utratą panowania nad swoim życiem, nad sobą i nad Blanką. Pora je zmienić. Życie.

Wysiadła. Pierwsze, na co zwróciła uwagę i co ją zdumiało, to ciepło. Niezwykłe, doskonałe ciepło lipcowej nocy. Klimatyzacja w jej nowym samochodzie działała bez zarzutu, ale nijak nie była w stanie wytworzyć równie przyjemnej aury. Otaczał ją pełen spokoju mrok i, póki co, nie słyszała nawet grających niedaleko cykad. Od strony gęstych drzew bił ożywczy chłód, niosąc ze sobą zapach sosen, igliwia i mokrego po przelotnym deszczu mchu.

Jowita odetchnęła głęboko, czując pieczenie pod powiekami. Wyjęła telefon i odnalazła numer Blanki. Ale zanim usłyszała sygnał wybierania, przerwała połączenie. Zacisnęła szczęki. Niedługo północ, idiotyzmem byłoby teraz dzwonić i budzić córkę dla własnego kaprysu. Mogła z nią nie gadać w domu, poczeka i teraz. Rano. Jutro rano zrobi jej jajecznicę, usiądzie obok i będzie patrzeć, jak je. A potem pojedą na jakąś wycieczkę. Same. Na cały dzień. Bez komputera, bez telefonu...

Podskoczyła, gdy htc zawibrował w jej dłoniach. Zanim spojrzała na wyświetlacz, zalał ją pełen radości popłoch, że oto przywołała myślami córkę, że swoją nagłą tęsknotą obudziła ją i zaraziła. Rzut oka na ekran wystarczył, by z radosnej ekscytacji zrodziła się fala furii. Łukasz T. To gnojek, jeszcze ma czelność wydzwaniać po nocach! Nie dość, że w zasadzie ją okradł, ograbił z należnej jej właśnie transakcji i płynącej z tego prowizji, to teraz będzie pewnie mydlił oczy obietnicą rewanżu. Ścisnęła telefon, nie odbierając połączenia. A może jednak? Powie mu, co myśli o nim i jego sposobie pracy. Nic dziwnego, że jest najlepszy w regionie. Z takim tupetem?!

Telefon nadal dzwonił. Nie, nie odbierze. Nie zniży się do jego poziomu. Pewnie dzwoni, bo się świetnie bawi, świętując wysoką premię. Jej premię. Będzie bełkotał pijanym głosem do słuchawki, może nawet znowu zaproponuje jej łóżko, jak pół roku temu. Gnida,

nawet mu nie stanął!

Zamachnęła się i podbiegła kilka kroków, by nabrać rozpędu, a potem cisnęła telefon w czerń między drzewami. Przez chwilę nasłuchiwała odgłosu uderzenia, ale albo głośny oddech go zagłuszył, albo przypadkiem telefon trafił idealnie w lukę pomiędzy sosnami i wylądował w miękkim mchu. Tak. Tak się zmienia życie. Nagle i bezpowrotnie.

– Jest tu jakiś pokój?

Mężczyzna za barem odwrócił się i popatrzył na nią, marszcząc nos i usta. Potarł palcem czoło. Przy automacie hazardowym facet w kapeluszu z dużym rondem czknął i szarpnął wajchę. Kiedy w okienkach z terkotem wirowały symbole, spojrzął na Jowitę i cmoknął. Nie zareagowała, stukając tipsem w brudny, lakierowany blat z wielkiej, nierównej dechy. Drzwi od ubikacji otwarły się nagle i wytoczył się z nich niski, krępy klient w podkoszulku. Na widok Jowity zamarł z paskiem od spodni w ręce. Jego mięśnie błyszczały w migotliwym świetle wielkiego ekranu telewizora, zawieszzonego nad głowami. To on rzucał fioletowe refleksy przez zaporowaną szybę.

– Pokój?

Kobieta nieco mocniej uderzyła o blat całą dłonią.

– Muszę się przespać.

– A czyjaś ty? – usłyszała nagle za plecami piskliwy głos. Już, już się odwracała, ale nie! Co to ma być, do cholery?!

– Ma pan jakiś wolny pokój z łóżkiem? Zamykany na klucz?

Barman cofnął się o krok, zerkając za plecy Jowity.

– Na klucz... – powtórzył, jakby nie rozumiał, o co pyta.

Coś w jego spojrzeniu przekonało ją, by jednak się odwróciła. Zrobiła to powoli, czując narastające zdenerwowanie. Odechciało jej się noclegu, jakoś dowlecze się do domu. Tyle że ten telefon... Co ją podkusiło, żeby go cisnąć w las?! Nowiutki, za prawie trzy koła. Musi zostać do rana, żeby go znaleźć.

Za plecami nie było nikogo.

– Dobra. W porządku. Jadę dalej, trudno. – Starła się mówić spokojnie, nie okazując paniki. która powoli wypierała w niej złość.

– A dokąd to, panienko? – Facet w podkoszulku stanął tuż przy niej, zaciągnął pasek i poprawił sobie spodnie w kroku. Zupełnie, jakby podrzucał kiść winogron.

– Proszę mnie przepuścić! – Jowita podniosła głos, ale zabrzmiało to jak niepewna prośba. Zrobiła krok w bok. Facet też. Był niższy od niej i umięśniony niczym kulturysta. Odwróciła się znowu do barmana. Patrzył ze strachem w oczach. Wgapiła się w niego, krzywiąc się i ruchem głowy dając mu znać, by jej pomógł. Ten jednak tylko stał i czyścił bez końca szklanę.

Kiedy zimna dłoń dotknęła jej pośladka, o mało nie wybuchła. Ale instynkt, czy też zniewolony umysł, nakazał jej tylko zacisnąć szczęki i przeczekać zaczepkę. Czasem lepiej nie drażnić potwora, powącha i pójdzie, jak mawiał ojciec.

– Tyś już nasza, panno – usłyszała ponownie piskliwy głos, tym razem tuż przy uchu. Barman skulił się, jakby obok uderzył piorun.

Spokój. Tylko spokój mógł pomóc Jowicie. Ze wszystkich sił starała się nie wrzasnąć i nie rozplakać. Obok nie było nikogo, tylko przy automacie do gry stał i patrzył teraz na nią ten wysoki w kapeluszu. Ten, który cmokał. Może był też brzuchomówcą? Teraz patrzył milcząco i Jowita za wszelką cenę chciała dostrzec w jego wzroku współczucie i obietnicę pomocy. Odkleił więc ramię od maszyny i ruszył w ich stronę.

– Tu nie ma pokoi. Można tylko zjeść fasolkę, kielbasę albo bigos i wypić kawę. – Patrzył na nią z góry, ale nie zerknął ani razu w jej dekolt. Nie uśmiechał się też i nie mrugał powiekami. – Niech pani jedzie dalej.

– Co ma być? – spytał barman.

– Nic – odburknęła nieco za szybko. Powtórzyła spokojniej:

– Nic. Dziękuję.

Kulturysta poruszył lewym, potem prawym mięśniem piersiowym. Podkoszulek podskoczył kilkakrotnie w popisowym numerze. Mężczyzna obtarł kąciaki ust i powiedział:

– Podziękujesz, jak zjesz. Tak mówiła moja babcia.

Jowita poczuła, jak spod pachy spływa jej kropla potu. Oddech mężczyzny muskał jej kark. Pomyślała, że musiał jeść chyba stęchlą ziemię.

– Puść panią, Foltyn.

Wysoki dał jej znak, żeby wyszła. Odwróciła się i zrobiła krok w stronę drzwi. Foltyn dłużej wykałaczką w zębach. Patrzył na kolegę ze złością. Nie na nią. Na szczęście.

Kiedy zamykały się za nią drzwi, usłyszała tuż za plecami:

– Nasza panienska, nasza...

Jeszcze nigdy nie zachwyła się nowoczesną elektroniką tak, jak w tej chwili. Gdyby musiała znaleźć w torebce kluczyk, potem włożyć go w zamek drzwi i w stacyjkę, jak w starym aucie, padłaby trupem. Nowe clio łypnęło do niej pomarańczowymi oczami i zagadało szczękiem zamków, gdy tylko zbliżyła się doń na odpowiednią odległość. Wystarczyło wsiąść, wcisnąć wielki przycisk obok fotela i po prostu wiać.

Właśnie: wiać.

Jowita nie lubiła wiać. Wiać to znaczyło przegrać.

No i telefon. Firmowy sprzęt, co prawda, ale musiałyby go spłacić. Determinacja w zmianie stylu życia słabła, gdy Jowita wyobrażała sobie sumę, którą będzie musiała wysupłać z kieszeni.

Otworzyła schowek. W jego wnętrzu leżał stary samsung, na wszelki wypadek. Jowita wyjęła go i wcisnęła odpowiedni przycisk. Po chwili ekran rozjarzył się błękitnym blaskiem, zamigotał i wyświetlił komunikat: Brak karty sim. Jasna cholera! Ależ się wygłupiła. Nie zadzwoni na swój własny numer, by wytropić go wśród mchów i gałązek. Rzuciła samsunga na fotel.

A może wróci, jakby nigdy nic, poprosi tego chudego o pożyczenie telefonu, albo żeby chociaż zadzwonił pod jej numer i poczekał, aż w mroku lasu odnajdzie dzwoniący aparat? Oho, i usłyszy znowu za plecami:

– Podziękujesz, jak zjesz.

Nie ma mowy.

Już lepiej rozłóż fotel, zablokuje drzwi i zaśnie. A rano, jak tylko się rozwidni, przeszuka las. Tak, to mogło się udać. Tylko...

Spojrzała w zaparowane okno baru. Przyklejony językiem do szyby, z dzikim uśmiechem, wpatrywał się w nią Foltyn.

Włączyła silnik i gwałtownie wyjechała na jezdnię. Chciała, by słyszeli, jak ucieka. Tymczasem kilkadziesiąt metrów dalej zwolniła, gdy dostrzegła kolejny zjazd w las. Skręciła w prawo. Dukt był wąski i wiódł lekkim łukiem, w dużej odległości wokół baru. Raz czy dwa pomiędzy drzewami mignęło jej nawet światło kuchennego okna. A może trochę dalej przejechała ciężarówka?

Wypatrzyła kolejną wąską koleinę w lewo. Ostrożnie skręciła, by się nie zakopać i wjechała w głąb na kilka długości auta. Kiedy zobaczyła odpowiednio szeroką przerwę między sosnami, skręciła i zatrzymała samochód. Od strony baru zasłaniały ją wysokie jałowce, z drugiej też. Idealne miejsce. Zablockowała drzwi. Opuściła fotel i splotła ręce na piersiach. Nie bała się przecież lasu i mroku. Tatusz ją przekonał, że najniebezpieczniejszym miejscem na ziemi jest jasno rozświetlony rodzinny dom. W biały dzień.

Jowita została wcale nie dlatego, że nie bała się mroku i lasu. Również nie tylko dlatego, że musiała odnaleźć telefon. Nawet to, że nie chciała przegrać z chamami z baru, ani okropne zmęczenie nie były głównymi powodami jej zachowania.

Coś, co kazało jej zostać, wjechać w bezbłędną czerń lasu i czekać, przyszło do niej spoza świata, spoza feerii realnych i namacalnych impulsów, pobudzających człowieka do działania bądź jego zaniechania, jeśli nawet nieświadomych, to jednak ludzkich, akceptowalnych, normalnych. To coś goniło ją od lat dziecińczych, nasycalo jej sny bezdechem a miesiące ciągami procoholizmu. To coś sprawiało jej ból przy rozmowach o szczęściu i o Bogu. Od tego bólu zaciskała szczęki, aż zrobiły jej się szerokie, jak u amstafa, umięśnione i nawet ładne, pociągające na swój sposób.

Być może właśnie to coś pomogło jej dawno temu powstrzymać się przed pragnieniem otwarcia drzwi łazienki, w które skrobał coraz słabiej, coraz lżej, coraz ciszej ojciec, gdy przez podcięte żyły uchodziło z niego życie. To coś zagłuszyło panikę, która wybuchła w jej głowie, gdy metalowe wiadro z krwią, kopnięte zniemacka tężejącymi w agonii nogami przewróciło się z hukiem, uderzając o muszlę klozetową niczym serce wielkiego dzwonu. To coś wyzierało potem z oczu małej dziewczynki, Jowitki, odpowiadającej na pytania pana w mundurze, paraliżując go i odbierając mu zdolność logicznego myślenia.

Myślała potem czasami, że opętał ją diabeł, i owszem. Zwłaszcza wtedy, gdy tarzała się z chłopakami w akademiku, wciskając ich w swoje rozpalone, chłonne i zachłanne – i nienachlane, jak mówił ten rudy, wściekły jak i ona – łono. Wciskała w siebie ich członki i uda, palce i brzuchy, ale przede wszystkim – twarze. Wiele twarzy.

To coś dogoniło ją dziś, gdy przysnęła na drodze ogromnej ciężarówce. Uczępiło się jej i powoli, ale z ogromną, tępą siłą pchało ją teraz w głąb mroku.

O godzinie trzeciej dwadzieścia sześć i jedenaście sekund księżyc osiągnął całkowity nów. Od jakiegoś czasu z północy nadciągały gęste burzowe chmury. Teraz przesłoniły całe

niebo. Las pogrążył się w zupełnej czerni. Jeśli więc w tej ciemności pojawiały się światełka, nie były to refleksy światła odbitego. Musiały to być źródelka światła. Jak oczy diabła w tanim filmie.

Między jałowcami stało clio, na przekór spowijającej je ciszy drżące co jakiś czas od okropnych chrapnięć, które w nieregularnych interwałach przerywały zdające się nie mieć końca fazy bezdechu u śpiącej na odchylonym przednim fotelu Jowity.

Zbudził ją chłód muskający kark. Było to nawet miłe, dopóki nie postanowiła unieść pochylonej głowy. Ból w szyi wybudził ją błyskawicznie. Musiała podeprzeć skroń dłonią, by się wyprostować w fotelu i rozluźnić nieco ramiona. Syknęła, przeciągając się i masując drętwe miejsce nad barkiem. Wtedy dotarła do niej świadomość obecności chłodnego powiewu we wnętrzu, które powinno być w tej chwili duszne i nagrzane. Zerknęła we wsteczne lustro, ale mrok, który ją otaczał, był gęsty i namacalny. Chwileczkę, gdzieś za plecami, nieco z boku, w lustrze dostrzegła czerwonaświatłą poświatę, jakiś słaby poblask wdzierający się w doskonałą czerń. To było czerwone światło ostrzegawcze, umieszczone w tylnych drzwiach. A to oznaczało, że musiały być otwarte. Uniosła rękę ku podsufitce i przesunęła włącznik. Kabina wypełniła się żółtym blaskiem, ukazując prawdę. Tylnie drzwi clio, po stronie kierowcy były otwarte na oścież.

Jowita miała w życiu sporo szczęścia. Owszem, była wykształcona, znała dwa języki obce, angielski i rosyjski, a obecnie uczyła się hiszpańskiego, w dodatku stanowiła wzór pracowitości. Działała, jakby od tego zależało jej szczęście, a nawet jej prawo do istnienia. Jakby człowiek został stworzony właśnie w tym celu, by pracować, pracować i pracować. Nawet, kiedy się kochała z mężczyznami, to jakby wykonywała kolejny rozbudowany i szczegółowy plan, ruch po ruchu, krok po kroku, pieszczota po pieszczocie. Orgazm był premią, osiąganą wskutek metodycznej i ciężkiej pracy jej ciała.

Przy całej tej harówce miała jednak wielki fart. Pod koniec studiów przespała się z przyszłym prezesem koncernu farmaceutycznego. A że w tym przespaniu była, jak zwykle, wyjątkowo pracowita, została zapamiętana. Jakiś czas później stanęła do wyścigów o stołek handlowca, spojrzęła w oczy swojego dawnego kochanka i pomyślała, że dobrze się złożyło.

Dostała stołek i niezłą forszę.

Kiedy Jowita odbierała nowe służbowe clio, nie zajrzała nawet do bagażnika. Nie zastanawiała się, gdzie jest zapasowe koło, trójkąt ostrzegawczy czy komplet bezpieczników. Wszystkie nieprzyjemne wydarzenia drogowe obskakiwał odpowiedni pakiet assistance. Teraz, nie patrząc na fotel obok, na którym spokojnie leżał stary telefon, sięgnęła do schowka i z trudem trafiając rozdygotanymi rękami w odpowiednie miejsce, otworzyła go. Nie zastanawiała się, czego szuka. To była czynność odruchowa, podyktowana pragnieniem uchylecia się, odsunięcia od tego, kto mógł otworzyć tylne drzwi clio i przebywać teraz gdzieś tam, za jej plecami. W tej chwili przez strach i zdumienie przebił się kolejny bodziec. Jowita poczuła zapach mokrej, stęchłej ziemi, taki sam, jaki otoczył ją, gdy ten dupek w podkoszulku stał za nią, nieco za blisko, i sapał. Schowek otworzył się nagle, wyrzuając beznamiętnie niepotrzebne szpargały. Kobieta wsunęła do środka rękę i mimo że wewnątrz paliło się światło, po omacku, zamykając powieki, zaczęła po prostu grzebać. Jakby to grzebanie mogło przynieść spokój i opanowanie, choć serce biło jej coraz głośniejsze i szybciej, a łzy napływały do rozbieganych oczu. Wstrzymała je, nawet, gdy zahaczyła o coś ostrego, kalecząc boleśnie wierzch dłoni. Na szczęście w tym momencie objawił się fart Jowity. Chwyciła w rękę twardy i chłodny, metalowy przedmiot. Wyjęła go i nie pojmując przez chwilę, co to takiego, ujęła oburącz jak miecz, jak pałkę i wystawiła przed siebie.

Była to latarka, dość duża i solidna. Wzdłuż uchwytu biegł wygrawerowany napis „DLA NAS WSZYSTKO JEST JASNE. PZU”. Gratis od ubezpieczyciela.

Włączyła ją. Ostry strumień białego światła pomknął przez szybę... Powinien pomknąć. Przednia szyba była zasypana ziemią pełną korzonków. Pomiedzy nimi pełzało kilka obłych, białych robaków. Poczowała, że się dusi, jakby ktoś przycisnął ją do fotela ogromnym ciężkim worem. Włączyła wycieraczki, ale silniki poruszające pióra jęknęły tylko i szyba pozostała pokryta ziemią. Warstwa ohydztwa musiała być zbyt gruba. Jak gruba?

Jowita otworzyła drzwi. Impet sprawił, że wróciły po chwili, uderzając ją boleśnie w kolano. Wspierając się o krawędzie clio, z latarką w ręce, wysiadła. I od razu runęła na ziemię, bowiem jej stopy po kostki ugrzęzły w zimnej, mokrej mazi. Błoto oblepiło ją chłodem. Latarka wbiła się soczewką w kałużę aż po rękojeść.

Nagle zimno i wilgoć sprawiły, że Jowita wrzasnęła. Krótko, urywanie, jak dziecko, gdy wyrwać mu włos. To jednak wystarczyło, by oprzytomniała. Wspięła się na czworaka a potem uklękła. Z błota sterczała latarka, ledwie widoczna w plamie słabego światła padającego z kabiny. Kobieta wyciągnęła ją z cichym mlaśnięciem czarnej mazi i przetarła palcem soczewkę. Biały, silny snop strzelił w noc. Omiotła szybko światłem przestrzeń wokół siebie.

Nikogo. Zaczęły do niej docierać dźwięki. Wiatr, kapiące z drzew krople, jęczenie gałęzi. Poświeciła pod nogi. Tkwiła w błocie, czarnym, tłustym błocie. Wokół jej ud gromadziła się woda i miała wrażenie, że cały czas zapada się głębiej. Oświetliła clio. Koła ugrzęzły po osie, a maska wyglądała, jakby ktoś usiłował pogrzebać Jowitę żywcem w samochodzie, przywalając go mchem i gałęziami.

Z trudem stanęła na nogi, przytrzymując się otwartych drzwi auta. Zapadła się w maź po kostki i czuła, że to nie koniec. Ledwie uwolniła stopy, zostawiając w brei jeden but, i przysiadła na fotelu.

– Co tu się stało, do cholery?! – Jej głos zabrzmiał obco, był bardzo wysoki i drżący. Pomyślała, że musi być bardzo wystraszona i spięta, choć pierwsza panika opadła z niej wraz z upadkiem.

Wciągnęła nogi do środka samochodu. Kiedy postawiła je na dywaniku, poczuła znowu chłód. Skierowała tam strumień światła. Podłogę pokrywała warstwa ciemnej wody, a przez próg sączyły się strumyki. Auto zapadało się w błoto. Wychyliła się z latarką i oświetliła koło. I wtedy zobaczyła coś, co przeraziło ją bardziej niż wizja utopienia. Obok koła, wyciśnięta spod ziemi ciężarem renault, sterczała ludzka ręka. Pięć bladych palców zacisnęło się i otworzyło...

Jowita otworzyła oczy. Oddychała gwałtownie. Odruchowo położyła ręce na piersi i odciągnęła pas bezpieczeństwa. To on tak ją dusił, wywołując senne koszmary. Co za głupota, spać z zapiętym pasem! Włączyła wycieraczki. Sucha guma zatrzeszczała na zakurzonej szybie, sunąc po niej w tę i z powrotem. Raz i drugi. W aucie było duszno. Jowita zapaliła światło sufitowe i spojrzała w lusterko wsteczne, ale nie dostrzegła nic niepokojącego. Drzwi zamknięte. Cisza. Położyła palce na włączniku światła. Przez chwilę wystraszyła się, wyobrażając sobie, że wszystko wokół pokryte będzie błotem i czarną mazią. Odetchnęła i nacisnęła włącznik. Snop jasnego światła wdarł się w las. Jałowce były na miejscu, sosny stały nieruchomo. Spojrzała w boczną szybę z prawej strony. Gdzieś tam, daleko, powoli wstawał dzień. Na tle już nie czerni, ale głębokiego jeszcze granatu, subtelnie rysowały się korony drzew. A gdy tak wpatrywała się w ledwie dostrzegalne oznaki zbliżającego się świtu, w pewnej chwili jej uwagę przykuł bohomas na szybie. Wyrysowane niby tłustym palcem serce, przebite strzałą. Gdzieś to już widziała, i to niedawno, pomyślała, ale zaraz uświadomiła sobie, że takich rysunków można spotkać setki w najróżniejszych

miejscach na ziemi. Gdyby myślała o tym jeszcze przez chwilę, pewnie przed oczami stanęłaby jej zaparowana szyba baru, w którym nie znalazła noclegu, i wyrysowane na niej serce, ale w tym momencie do jej uszu dobiegł nikły głos, cień zaledwie dzwonka, na tyle jednak rozpoznawalny, by bez namysłu otworzyła drzwi, gotowa ruszać w mrok lasu z jednym słowem na ustach: Blanka!

Zanim jednak ruszyła tropem sygnału, sięgnęła do schowka i wyjęła latarkę. Nie zastanawiała się nad tym, skąd się tam wzięła ani dlaczego w ogóle jej tam poszukała. Zew konieczności odebrania telefonu od córki, dzwoniącej o czwartej nad ranem, był tak silny, że dopiero potem, gdy zrezygnowana zaczęła rozglądać się za powrotną drogą do auta, pojęła niezwykłość zdarzenia, jego prorocze znaczenie. Śniła o latarce w schowku i ona tam była, dokładnie taka, jak we śnie.

Nie znalazła telefonu. Mimo białego światła sponsorowanego przez PZU, nie wszystko było jasne. Nie dowiedziała się, dlaczego Blanka dzwoni, i to dwukrotnie, o tej porze. Mogła jedynie wyobrażać sobie swoim matczynym umysłem możliwe scenariusze. Najpewniej była chora. Mogła się normalnie bać, obudzić w środku nocy z krzykiem na ustach, zapalić światło i bać jak diabli. Ale mogła też być pijana, zgwałcona, samotna albo umierająca. Jowita traciła spokój. A kiedy zmęczona szybkim chodzeniem po miękkim poszyciu zatrzymała się, by odpocząć i przez chwilę pomyśleć, zastanowić się, jaki to ma sens – cała ta bieganina, ta niezwykła noc i cały ten nieszczęsny świat – nie wiedzieć czemu usłyszała za plecami szept, choć był to zapewne trzask upadającej szyszki, strąconej podmuchem wiatru. I dałaby sobie uciąć głowę – co za niefortunne określenie w tych okolicznościach – to szeptała Blanka, to był jej głos, jej powiedzonko, tylko jak ono brzmiało, do diabła?!

Jowita odwróciła się na pięcie. Tak, to mogła być szyszka. O, jeszcze się toczy, być może! Kobieta położyła palec na przycisku. Światło padające z latarki tworzyło w tej chwili cały wszechświat. Bez niego nie byłoby nic. Ach, jak ją korciło! Zgasić wszechświat jednym przyciskiem! Zgasić światło! I znowu – nie wiedzieć czemu – przypomniał jej się dzień, w którym odnalazła Blankę w szafie, jak wycinała sobie na udzie żyłką litery. Litery, których za żadne skarby Jowita nie chciała złożyć w całość.

– Zadzwoń, Blanka! – głos kobiety zawisł absurdalnym przesłaniem pomiędzy wysokimi, szarymi sosnami. – Dzwoń, kochanie.

Gdzieś tu powinien leżeć telefon. Mniej więcej stąd dochodził dzwonek, gdy uzbrojona

w źródło światła skoczyła z auta w las. Ale gdzie konkretnie? Jowita świeciła pod nogi, kręcąc się w kółko i omiatając blaskiem przestrzeń wokół siebie. Mech, gałązki, krzaczki jagód i borówek, jakaś paproć, a nawet – o proszę! – bratki. Małe, smutne bratki. Coś błysnęło wśród nich. Jowita przykłękała i rozchyliła kwiatki. Nic. W tej sekundzie rozległ się znowu dzwonek, głos tego piekielnego świra, Mansona, którego tak uwielbiała Blanka. Jowita uniosła głowę jak zając nasłuchujący kierunku, z którego dobiega dźwięk i oceniający instynktownie odległość i zagrożenie. Kobieta zerwała się i marszcząc czoło ze zdziwienia oraz nie zastanawiając się specjalnie nad tym, dlaczego sygnał co rusz dociera z innego zakątka, wciągając ją coraz głębiej w czerń lasu, odciągając od drogi i auta, pobiegła w stronę ponurego śpiewu.

Telefonu nie było. Za to przyszło opamiętanie. Dysząc ciężko, z opuszczonymi rękami, Jowita zaczęła wreszcie pojmować, że już dawno powinna być w domu. Dawno. Nie dziś. Nie teraz. Nie za godzinę, po szaleńczej nocnej jeździe, wbrew zmęczeniu i senności, wbrew niechęci do życia. Dawno, czyli od początku. Od chwili, gdy urodziła Blankę, ostatecznie.

Wyłączyła latarkę. Wokół było ciemno, aż gęsto. Jowita usiłowała uspokoić oddech i serce, by słyszeć i czuć przestrzeń dookoła siebie. Odgłosy nocnego lasu, nadsyczonego światła, podszepty własnego serca i ten szczególny dźwięk, słyszalny tylko w czaszce, wzmacniany przez przegrodę nosową i rezonatory kości głowy, coś jak słowo, jak uporczywie powracająca myśl, mantra, pozwalająca osiągnąć spokój i zmusić rozdygotane ciało do działania. Najbardziej zaskoczyło Jowitę brzmienie owego słowa, zupełnie nieadekwatne do jej wyobrażenia o stanie swojego ducha i własnej osobowości: Boże!

– Boże! Boże! Boże! – dudniło w jej czaszce. Błagalny ton zagłuszał inne myśli.

– Boże... – powtórzyła szeptem, który w tym leśnym amfiteatrze rozpełzł się pomiędzy drzewami niby wśród publiczności. A potem nagle wzięła głęboki oddech i z całej siły, zaciskając pięści, kurcząc się i wyciągając szyję jak wilczyca, zawyła:

– Boooooożeeeeeee....!!!

Blanka siedziała na parapecie. Lekkie powiewy, sunące w górę po ścianie wieżowca, omiatały jej stopy, zwieszane na zewnątrz. Było ciepło i mimo zupełnej nagości, ostatnia

godzina minęła jej na bardzo przyjemnym, niezakłóconym uczuciem chłodu, rozmyślaniu. Zerknęła na swój tatuaż. Lubiła go, choć musiała ukrywać przed mamą i dziadkami. Bratek. Piękny, żółto-fioletowy bratek. Wyrazisty i przestrzenny. Warto było dać tego tysiąka. A mama się nawet nie pokapowała.

Teraz bratek zerkał do Blanki czarnym oczkiem, delikatnie machał płatkami i szeptał:
– No, śmiało, siostrzo! Czekamy na ciebie.

Blanka uśmiechała się czule i myślała, jak to pięknie, kiedy ktoś na ciebie czeka. Czują na policzkach zaschłe łzy, które teraz ściągały jej skórę i piekły. Mimo to jej twarz wypogadzała się coraz pełniej. W palcach, niczym kruchy kwiat, trzymała telefon. Nie będzie jej potrzebny. Może dwie, może trzy sekundy później Blanka usłyszała, jak z ciepłym bum! wbił się w trawnik pod blokiem.

Za plecami słyszała pochrapywanie koleżanki. Obejrzały dwa horrory, posiedziały na fejsie i poszły spać. Ale Blankę, zanim jeszcze zapadła w grubą pierzynę snu, zerwało pragnienie. Napila się wody, prawie pół dużej butelki i poczuła pulsowanie na biodrze. Odchyliła majteczki i zobaczyła, że jej bratek lekko faluje. Najpierw pomyślała, że ma zwidy. Potem dotknęła go palcem i powąchała. Opuszka pachniała kwiatowo. Wtedy otworzyła okno i patrząc na uśpione miasto, leżące w dole, usiadła na parapecie. Po chwili przerzuciła nogi na zewnątrz. Spojrzała w niebo. Księżyc był w nowiu. Blanka nie dałaby głowy, ale wydało jej się, że chichocze, skryty w mroku.

Kiedy umilkła, a jej wrzask bezpowrotnie rozpląnął się w suchym powietrzu, Jowita ponownie włączyła latarkę. Nieco przytomniejsza, rozejrzała się wokół siebie, omiatając las snopem światła i pojęła, że nie wie, w którym kierunku znajduje się auto. Zrobiła kilka kroków w stronę kępy krzewów wysokich i gęstych, jak te, przy których zaparkowała. Ale to był zły trop. Za krzewami był dół, pełen gałęzi. W drugą stronę przejście zasłaniały paprocie. Jowita w ogóle nie miała orientacji, jak tu dotarła. Zrobiła jeszcze dwa zwroty, podbiegła w tę, potem w tę i stanęła po środku niewielkiej polany. Zrezygnowana, oparła się o drzewo, czując zapach świeżej żywicy. Chciało jej się pić. Kawa. Albo cola. Ileż by dała za zimną colę albo gorącą kawę.

Dostrzegła teraz wokół siebie nocne życie lasu. Migające, błyszczące punkciki w powietrzu, diamenty sunące w poszyciu, kolbę pajęczyny tuż obok ucha, lśniąca drobinkami rosy. Wreszcie, zmęczona, opuściła latarkę i spojrzała pod nogi. To, co ujrzała,

urzekło ją i sprawiło, że uklękła. Wokół niej, jak na przyspieszonym filmie, wyrastały z ziemi bratki. Żółto-fioletowe, niebieskie, zielono-szare, a nawet czarne. Bratek. Mniejszy brat. Mniejszy brat sporego tatuażu na biodrze Blanki, bardzo ładnego, zresztą. Dziecina. Myślała, że mama nie zorientuje się w całej sprawie, jeśli tylko będzie chodzić przy niej w piżamie albo zacznie nosić mniej wykrojone majteczki. Mamy wiedzą takie rzeczy, nawet jeśli dużo pracują. Od tego są mamami.

Jowita pochyliła się i ujęła delikatnie w dwa palce jeden z kwiatów, tuż przy ściółce, za łodyżkę.

– Nie.

Jowita rzuciła się w przód, uciekając przed słabym głosem. Upadła na bok, a potem przetoczyła się na plecy, jednocześnie usiłując nie zgubić latarki i zobaczyć, kto do niej zagadnął. Nikogo nie było.

– Nigdy nie wiesz, czyj kwiatek zrywasz. Dopóki rosną, ci, którzy odeszli, żyją.

Przestrzeń drgnęła. Zafalowała. Rozmyła się. Między sosnami, jak prażone ogniem, drgało powietrze. Stąd dobiegał głos.

Jowita nie bała się duchów i zjaw. Wiedziała, że to człowiek jest najniebezpieczniejszą istotą na ziemi. Teraz też, rozglądała się wokół, spodziewając się, że za tym słabym głosem staruszki kryje się któryś głupi chłoptaş z baru, usiłujący spłatać jej kawał. Może nawet coś więcej.

– Zgaś światło. Proszę.

Jowita oddychała szybko. Powoli cofała się na pośladkach, podpierając się rękami, z trudem utrzymując w jednej latarkę. Bez słowa pokręciła przecząco głową.

– Zaufaj mi, proszę.

Było w tym głosie coś szczerego, coś miłego i godnego zaufania, jakaś obietnica, prosta i możliwa do spełnienia. Jowita nacisnęła przycisk. Zapadł mrok. Po chwili poczuła obok siebie delikatny powiew.

– Przyzwyczajasz się do mroku, a wtedy zobaczysz. Ujrzysz. Nie wiedziałaś, że bratki to bracia mniejsi? Ludzie myślą, że umierają, a potem dziwią się, kiedy wschodzą jako bratki, a właściwie razem z bratkami. Dopóki rośnie ich bratek, mogą znowu zaznać życia.

Jowita zadrżała, gdy tuż obok jej ucha rozległ się chichot, a małżowinę połaskotało przyjemne ciepło.

– W taką noc, jak ta, podczas nowiu, mogą nawet zostać na stałe albo mieć dziecko. To dobre, co?

Jowita pomyślała, że śni. Potem, że dostała pomieszania zmysłów. A potem uczepliła się myśli, że to jakieś leśne zioła wywołały u niej halucynacje i omamy. Tak, to na pewno to! Czy inaczej siedziałyby nocą sama w lesie, słuchając podszeptów osoby, której nie ma? Musi znaleźć auto i uciekać. Albo otwartą przestrzeń i świeże powietrze. Poszukała palcem włącznika latarki.

– Nie trzeba, naprawdę. Zamknij oczy i popatrz. Zobacz.

Mimo niepewności Jowita zamknęła powieki. Przez chwilę czuła narastający w gardle wrzask, nadsycający wraz z płaczem. A potem zobaczyła. Na ściółce, tuż obok jej dłoni, dostrzegła drobną dłoń kobiety, może młodej dziewczyny. Przez cienkie palce gramolił się niezdarnie żuk. Wszystko było szare i czarne. Jednak na tyle wyraźne, że Jowita bezwiednie rozwarła dłoń i latarka potoczyła się na ziemię. Dodała:

– Widzę...

Dłoń uniosła się lekko i żuk spadł. Drobne palce spoczęły na ręce Jowity i w tym momencie przeszył ją dreszcz. Skuliła się w sobie, jak kuli się córeczka, kiedy w nocy budzą ją z koszmaru ciepłe ramiona mamy. To było takie dobre, właściwe. Powoli zaczęła dostrzegać resztę ciała kobiety. Szczupłe przedramię, bark i niewielkie piersi, skryte za poszarpaną bluzką. Biodra, uda i całe nogi, bosc i pociemniałe od stąpania po lesie. Na koniec pojawiła się szyja, owinięta szalem w blade krzyże i głowa, z włosami upiętymi w kok, jasnymi, jak tylko w mroku może jaśnieć siwizna. Jowita pomyślała, że takie koki można zobaczyć tylko w filmach, że dziś nikt tak nie czesze młodych kobiet, a ta kobieta miała raczej młodą twarz. I sylwetkę.

– Co tu się dzieje? Kim ty jesteś?

Jowita nie poruszyła ustami, a jednak usłyszała swój głos. Brzmiał spokojnie. Biło z niego autentyczne zaniepokojenie. A kiedy już, już spodziewała się usłyszeć odpowiedź, poczuła pod pupą drżenie. Raz i drugi. Telefon! Sms! Blanka.

Odwróciła się i zaczęła szarpać mech i kopać w nim, jak psiak. Pod suchą poduchą poszycia znalazła htc. Miał zbitą szybką i zapchany ziemią głośnik, ale mogła odczytać wiadomość od Blanki. Otworzyła ją. Nic. Nie było zawartości. Ekran poraził ją pustką, zamigotał i zgasł. Htc wysiadł.

Jowita rozejrzała się, ale nigdzie nie było szarej, małej kobiety-dziewczyny. Nie odezwał się też jej cienki, słaby głos. Za to z kierunku, gdzie powoli szarzało między drzewami, ktoś szedł.

To był ten niski, Foltyn. Poznała po nieco jaśniejszej plamie podkoszulka. Szedł, stawiając niezdarnie nogi w miękkim, niepewnym poszyciu. Trzymał coś w ręku.

Jowita zaczęła macać w poszukiwaniu latarki. Zatoczyła rękami krąg, raz i drugi. Wyczuła szyszki, patyki, krzaczki jagód i coś, co skojarzyło jej się ze ślimakiem bez skorupki. Lepkie i obłe. Wzdrygnęła się, podczas gdy kroki ucichły za jej plecami.

– Podziękujesz, jak zjesz – usłyszała szept, pełen podnieconego oddechu i napięcia. W tej chwili natrafiła na latarkę. Bez zastanowienia chwyciła ją i odwróciła się gwałtownie, wciskając guzik z całej siły. Snop światła przeciął powietrze i Jowita ujrzała rzecz niezwykłą. Światło przecięło też mężczyznę, przeszło przez niego jak samurajski miecz na filmach Kurosawy. Tyle, że nie uczyniło kulturyście najmniejszej krzywdy. Nie rozpadł się na dwie części, głowa nie potoczyła się po lesie, a wnętrzności nie wysypały się niczym gotowany makaron. Skrzywił się tylko, a może najzwyczajniej szyderczo uśmiechnął. Stał przed Jowitą, trzymając w jednej ręce szalik, w drugiej cienki drut, zwinięty w koło.

Jowita poznała szalik. Blade krzyże.

– Co jej zrobiłeś, gnoju? – warknęła i cofnęła się o krok. Poczowała ból pod łopatką, gdy plecami nadziała się na obłamaną gałąź wielkiej sosny. Foltyn sapał. Zrobił w jej stronę dwa kroki. Czowała jego nieświeży oddech. Odwróciła się nagle, by uciekać, nie wiedzieć dokąd i jak. Zrobiła duży krok, ale nie zauważyła pod nogami płożących się łodyg jeżyn. Po chwili jej łydki i piszczyle tkwiły w sidłach twardych kolców a ona żałowała, że założyła tę super wyglądającą, podsuwającą się samoistnie po udach spódniczkę. Usiłowała unieść stopę, ale tylko bardziej się zaplątała. Spojrzała za siebie. Mięśniak zatrzymał się przed czepliwymi krzewami. Był na wyciągnięcie ręki. Jowita zacisnęła zęby i wyszarpnęła nogę. Ból był okropny, ale jeżyny mogły stanowić dla niej naturalną ochronę przed zbrojeńcem. Weszła w nie głębiej, usiłując sandałkiem przygnieść jak największą ilość zdradliwych gałęzi. Kiedy wyrwała z sideł drugą nogę, zakręciło jej się w głowie z dojmującego cierpienia. Zachwiała się i przewróciła do przodu. Wyciągnięte ręce uratowały ją przed upadkiem na brzuch w pachnące zasieki, ale po chwili przedramiona ociekały krwią. Przed oczami stanęła jej Blanka i jej zakichane żyłki! Ciekawe, czy też tak cierpiała? Dlaczego i po co?

Łzy napłynęły jej do oczu. Wypuściła z dłoni latarkę i ta świeciła teraz prze pędy jeżyn. W rozszczepionym strumieniu światła, stojąc na czworakach, jak pies, Jowita zerknęła pomiędzy swoimi udami. Foltyn nie zamierzał odejść, niczym kot dotykał nogą kolczastych pędów, cały czas sapać. Jowita ponownie zacisnęła zęby i wydobywając z siebie dziki

warkot, mający przynieść ulgę w potwornym bólu, wyszarpnęła ręce, czując, jak ciernie rozrywają jej skórę na dłoniach i słysząc, jak pękają i wyłamują się, potraktowane z siłą i furią. Kobieta stanęła, Ręce i nogi ją paliły, jak smagane ogniem. Zerknęła przez ramię. Osilek szperał w kieszeni spodni, ruchem głowy dając jej jakieś znaki. Nie pozwoli się dotknąć debilowi! Nigdy więcej!

Ponownie targnęła nogą i postawiła ją o krok do przodu. I drugą. Przy kolejnym kroku jednak straciła równowagę. Gałęzie owinęły się wokół jej piersi, wbiły w kolano i ucałyły kostkę. Jowita runęła na bok, osłaniając zakrwawionym ramieniem głowę. Poczła ogień w całym ciele. Tak chyba musiał cierpieć Jezus!

– Panie Jezu, dopomóż! – Ból i strach miał niezwykle właściwości. Jowita nawracała się błyskawicznie. Koniec z głupimi żartami, koniec z mięsem w piątek.

– Kurrrrwa!!! – ryknęła, płacząc. – Jezus, kurwa, jeżeli jesteś to pomóż mi tu! Błagaaaam!!!

Zamilkła. Szloch wzbierał w niej niczym gaz uwięziony we wstrząśniętej butelce. Słyszała teraz sapanie Foltyna i trzaski gałęzi. Kalecząc skroń, delikatnie uniosła głowę i spojrzała w jego stronę. Siłacz udeptywał powoli pędy i zbliżał się do niej. Jedną dłoń miał owiniętą szalem, a w drugiej ręce trzymał otwarty scyzoryk!

Jeszcze spróbowała wyrwać z pułapki ręce, ale jeżyny otulały ją ściśle i przy każdym ruchu bardziej wbijały się w ciało. Szczególnie cierpiała, gdy kolce rysowały jej szyję i przebiły się przez cienki, sportowy stanik, kalecząc sutki i areole. Foltyn był blisko, niczym pająk pełznący po sieci ku spętanej musze. Wgapił się w nią płonącymi oczami i Jowita, kiedy tylko na niego zerkała, widziała ściekające po dziwnie długich kłach krople jadu.

– Ależ ona ma wolę życia! Dawno tu takiej nie było! Przypomina mi ciebie, Gienuś.

Głos wypełniał bar. Gienuś, wysoki facet w kapeluszu, liczył monety. Automat, jak podczas każdego nowiu, pozwolił mu wygrać. Wyrzygał na podłogę całe wiadro szarych piątek z rybakim.

– Może lepiej jej powiedzieć? Jeszcze zwariuje.

Szara poświata przesłoniła światło lampy sufitowej.

– A ty chciałeś słuchać? Jeszcze przez dwa tygodnie lałeś w siebie wódkę w nadziei, że coś poczujesz. Wszystko płynęło dołem, śmierdziało w całym lesie, a tyś kombinował, co jest nie tak. Dałabym jej spokój, ale stratuje wszystkie bratki, jak tak będzie szaleć. Nie wygląda

na to, żeby miała zrozumieć za szybko.

Gienus ułożył na blacie ostatni stos szarych monet. O świcie znikną, razem z Czarnym Lasem, barem i wszystkim, co kochał. Westchnął i spojrzął w migoczące światło lampy. Spytał:

– A co będzie, jak zerwie twój bratek?

Szary cień owinął się wokół ramion Gienusia. Śmiech zadzwonił w powietrzu. Barman wzdrygnął się i gniewnie sapnął, dociskając ściereczkę do krawędzi czyszczonej szklanki, aż zapiszczała. Nie lubił Gienka, wolał już tego osiłka, choć śmierdział zgnilizną. Trudno, do rana jakoś wytrzyma.

– Ona mnie zastąpi – piskliwy głos zmieszał się ze szczękiem otwieranych drzwi. Stała w nich młoda dziewczyna w majteczkach, spod których na samej kości miednicy wystawał kolorowy tatuaż. Piękny bratek puszył się i lśnił.

Foltyn pochylał się nad nią, zaciskając w pięści scyzoryk. Ślina skapywała mu z ust. Jowita nie mogła ani zamknąć oczu, ani krzyknąć, choć bardzo chciała. Jednego i drugiego. Patrzyła tam, gdzie osilek powinien mieć oczy. Latarka rzucała teraz światło pod nim, mogła jedynie obserwować jego kontur. Wisiał nad nią jak cień, w świetle, który stanął do góry nogami. Pomyślała jeszcze o bólu, który za chwilę ją dotknie. Miała nadzieję, że zemdleje, a może umrze, zanim zdąży poczuć to wszystko, co jej będzie robił.

Mężczyzna wytarł sobie nos, złapał w zęby scyzoryk i odwinął z dłoni szal.

– Nie... – szepnęła Jowita. Tylko nie to. Niech tylko nie próbuje wpychać jej szalika do ust! To była jej obsesja. Nieraz w nocnych koszmarach dławiła się szmatą wepchniętą do gardła. Wystarczyło jej niekiedy zapomnieć się i przytrzymać w ustach kartkę papieru, by wywołać u siebie odruch wymiotny. Kiedyś zwymiotowała na stacji benzynowej, gdy odgryzła kawałek serwetki razem z hot dogiem i poczuła ją na podniebieniu.

Ale Foltyn tylko ciaśniej owinął wokół dłoni kawałek materiału, jak bokser przed walką, gdy ma założyć rękawice. Ponownie chwycił scyzoryk i skierował ostrze w dół. Ukłął, sycząc, gdy kolce wbiły mu się w nogi. Objął udami nogi Jowity.

A potem, mimo prężącego się pod nim w proteście ciała, zaczął wycinać pędy jeżyn i ostrożnie zdejmować je z krwawiącej kobiety. Jowita drżała i cicho płakała, w oczekiwaniu tortur. Nie docierało do niej, co się dzieje. I wreszcie jej prośba została wysłuchana, a może po prostu jej organizm postanowił obronić się przed cierpieniem. Zemdląca.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, pochylała się nad nią córka.

– A co ty tu robisz? Blanka!

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej.

– To samo, co ty.

Jowita leżała na twardej, drewnianej ławie. Uniosła głowę i rozejrzała się po pomieszczeniu. To był ten szalony bar. O, a tu, przy barze, stał osiłek w podkoszulku. Ten, co próbował ją zgwałcić. Złapała się za piersi. Z ulgą odkryła, że jest ubrana. Ręka powędrowała w dół. Majtki też miała na sobie. Odetchnęła i opuściła głowę. Wtedy zorientowała się, że jej ręce są czyste, nie noszą śladów okaleczeń. Uniosła je nad głowę i przyjrzała się im. Z jednej i z drugiej strony. Nic. Usiadła.

Na nogach nie znalazła najmniejszych zadrapań. Sukienka, choć brudna i pognieciona, była cała. Nawet sandały tkwiły na swoim miejscu. Sterczały z nich, co prawda, kolce jeżyn, powbijane w paski, ale poza tym były całe.

– To nie był sen, do cholery... – ni to zakłęła, ni westchnęła.

Blanka siadła obok niej i ujęła ją za rękę. Nadgarstek lewej ręki miała owinięty jakąś apaszką.

– Nie, mamó, to nie sen.

– Zadzwonili po ciebie?

Blanka uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie, mamó.

– Dlaczego mówisz do mnie: mamó? Nigdy tak nie mówisz.

Dziewczyna podrapała się po udzie i biodrze. Tatuaz swędział ją i mrowił. Rozkwitał, jednym słowem. Spojrzała na matkę i odparła cicho, patrząc Jowicie prosto w oczy:

– No właśnie. Dlaczego?

Blanka rozejrzała się po barze. Przez okna wdzieriała się nachalna jasność. Kontury rzedły. Lampa świeciła coraz bladziej. Wysoki, w kapeluszu jak kowboj, gdzieś się zapodział. Barman szorował szklanę, która powoli rozmywała się w powietrzu razem z jego dłońmi. Znikali. Gaśli. Kulturysta w podkoszulku odwrócił się jeszcze, puścił do kobiet oko i powiedział:

– Podziękujesz, jak zjesz. Tak mówiła moja babcia – i poszedł do toalety.

Blanka roześmiała się dźwięcznie. Zaczęła zdejmować z nadgarstka materiał. Jowita patrzyła na to i rosło w niej zdumienie.

– Jak się tu dostałaś?

– Tak samo jak ty.

Szał w blade krzyże spłynął na podłogę. Jowita zamrugła powiekami. Zmęczenie dawało jej się we znaki. Widziała, jak przez mgłę.

Kogut wirował z rytmicznym szumem. Strażak skończył przecinać słupki. Teraz zgrzytnęła wyciągarka i dach czerwonego clio zwinął się jak wieko konserwy. Pod nim, jak dobrze ułożona sardynka, leżało ciało. Podrapane, z zerwaną do połowy sukienką. Płaskie, na wyprostowanym koszmarnej siłą fotelu.

– Jasna cholera! – zaklął cicho kierowca tira. – No i młoda baba, wiedziałem. Zasnęła na pewno. Zjechała mi prosto pod ryj.

Policjant wskazał mu odsunięte drzwi radiowozu.

– Dobra, chodźmy. Trzeba trochę pogadać.

Kierowca ruszył przodem. W świetle szperacza, oświetlającego im drogę, zobaczył kilka świeżo wyglądających kwiatków, rosnących na poboczu. Zadrżał.

– Panie władzo, mam prośbę. Nie pan uważa, żeby ich nie zdeptać, dobrze? – wskazał palcem rośliny.

Policjant spojrział pod nogi. Bratki. Nie lubił ich. Pchnął lekko kierowcę. Musiał być chłopina w szoku.

– Dobrze, dobrze – odparł i westchnął. Nie lubił tego miejsca. Powinna tu stać tablica informująca, że to czarny punkt. Trzeci wypadek tego roku. I ta nazwa: Czarny Las.

Na Bocznej/Binków czerwiec 2015



ZMYSŁY

Iwona Matacz

Już czas.

Nie jest za wcześnie, nawet odrobinę za późno, ale nie spodziewali się tego.

Już czas.

Szybko zebrali wszystkie dokumenty i potrzebne torby. On G 351 wracał się dwa razy do mieszkania, żeby upewnić się, że mają wszystko. Ona Ś 465, mimo bólu, nawet nie próbowała go poganiać. Wiedziała, że dla niego też jest to ważna chwila, i że stara się zrobić wszystko najlepiej jak może. A niewiele może, przez co jest jeszcze bardziej zestresowany.

Już czas.

W samochodzie Ona Ś 465 dotknęła jego ramienia i delikatnie ścisnęła. Kiedy się zatrzymali chwyciła jego dłoń i zaczęła szybko dotykać odpowiednich punktów. *Boję się.* On

G 351 wziął jej dłoń w swoje ręce, żeby dodać jej otuchy. Pocałował ją w szyję i niewyraźnie wyszeptał.

— Kocham cię, dasz radę.

MY damy radę – odpowiedziała, znowu dotykając jego dłoni.

Wysiedli z samochodu. On G 351 zgarnął torby, otworzył ukochanej drzwi i pomógł wysiąść. Trzymając się za ręce, ruszyli razem po schodach i korytarzach. Mężczyzna znalazł odpowiedni gabinet i wszedł, by dowiedzieć się, co mają dalej robić. Po chwili wyszedł, znowu wziął żonę za rękę i wprowadził do środka.

— Jak często ma pani skurcze? — usłyszała średnio sympatyczny męski głos.

— Co około pięć minut — odpowiedziała niepewnie. — Bardzo boli.

— Niech pani usiądzie na fotelu. — Ktoś, na pewno nie On G 351, wziął ją za rękę, podprowadził do fotela i pomógł usiąść. Dłoń była delikatna, więc Ona Ś 465 domyśliła się, że to pielęgniarka. — Jak się pani nazywa?

— Ona Ś 465 2345.

— „Eś”? Niech się pani nie wygłupia i używa pełnego nazewnictwa. To nie klub książki tylko szpital, poprawnie uzupełniona dokumentacja jest bardzo ważna! — zawołał lekarz.

— Ona Ślepa 465 2345— odpowiedziała ze łzami w oczach, czując się coraz gorzej.

— Jak się nazywa ojciec?

— On Głuchy 351 2342.

— Nie jesteście małżeństwem? — zapytał lekarz nieprzyjemnym tonem.

— Postanowiliśmy zostać przy własnych oznaczeniach — odpowiedziała cicho.

— Doktorze, to nie jest wymagane w dokumentacji — zwróciła uwagę pielęgniarka i ścisnęła delikatnie ramię kobiety. Ona Ś 465 uśmiechnęła się do niej słabo.

— Yhm. Data ostatniej miesiączki?

— 15 stycznia.

— Przewidywany termin?

— Według USG 23 października.

— Choroby w ciąży? Choroby przewlekłe?

— Nic.

Po chwili poczuła ból, gdy lekarz zaczął ją badać. Cieszyła się, że On G 351 tego nie słyszy. Bała się, że od razu by interweniował, a nie chciała dodawać im jeszcze stresu. Po wszystkim na pewno złożą skargę na tego lekarza, ale teraz najważniejsze było dziecko.

— Zaraz ktoś po panią przyjdzie — powiedział lekarz i usłyszała trzaśnięcie drzwiami.

— Może pani już zejść, wszystko jest w porządku. Podczas badania odeszły pani wody, doktor poszedł po położną, żeby przewieźć panią na blok porodowy. Już niedługo.

— Dziękuję — odpowiedziała, schodząc z fotela przy pomocy pielęgniarki i męża. Po niezdarnym ubraniu się, przytuliła się do niego mocno i szybko przekazała wieści na migi. — Jak się ten lekarz nazywa?

— Pewnie chce pani złożyć na niego skargę? On Ageuzja 729. Brak odczuwania smaku nie jest jego jedyną ułomnością, jak pani zauważyła. Niestety ma pani pecha, to jeden z jego ostatnich dni tutaj. Dostał wypowiedzenie, było na niego za dużo skarg. Ale musi dopracować do końca miesiąca. Pocieszę panią, że to jedyny taki lekarz w naszym szpitalu. Na porodówce mają teraz dyżur bardzo dobre położne, są profesjonalne i sympatyczne. Szybko pani zapomni o Nim Ageuzji 729.

— Mam nadzieję. A co z moim mężem?

— Oczywiście może iść z panią, zaraz mu wszystko wyjaśnię.

On G 351 wziął żonę za rękę, gdy pielęgniarka tłumaczyła mu, co ich teraz czeka. Pokazała mu, gdzie muszą się podpisać, wyjaśniła, gdzie teraz pójda i że położne zaraz się nimi świetnie zajmą.

Tak też się stało. Mimo coraz częstszych skurczów i ogromnego bólu Ona Ś 465 na sali porodowej od razu poczuła się lepiej. Położna Ona Anosomia 215 była bardzo sympatyczna i przyjęła ich pod swoje skrzydła. Jej Ś 465 podała gaz znieczulający, a Jego G 351 posadziła tuż obok łóżka i kazała trzymać żonę za rękę. Ona Ś 465 słyszała każde wypowiedziane przez położną słowo i domyślała się, że kobieta jednocześnie albo tylko chwilę później za pomocą rąk informuje o wszystkim jej męża. Rzeczywiście poczuła się zaopiekowana i nieco spokojniejsza. Jednak chyba nic nie było w stanie zmniejszyć jej bólu.

— Już czas — powiedziała Ona An 215.

Już czas.

Ona Ś 465 krzyczała z bólu i ciężko oddychała, ale On G 351 wciąż był przy niej. Trzymał ją za rękę, głaskał po głowie i rozemocjonowany dotykał punktów na jej dłoni.

Kocham Cię. Dasz radę. Już prawie koniec, widzę główkę.

I nagle było po wszystkim. Ona Ś 465 usłyszała krzyk – najpiękniejszy dla niej dźwięk w tej chwili. On G 351 zobaczył twarzączkę z otwartymi szeroko ustami i kilkoma włosami przyklejonymi nad czołem – widok, na który czekał od dziewięciu miesięcy.

— To dziewczynka i jest zdrowa — powiedziała położna i kazała Jej Ś 465 przeć jeszcze raz, żeby urodziła łożysko. I już było po wszystkim. Pielęgniarki ubrały dziecko i przyłożyły matce do piersi. Jedna z nich tłumaczyła dokładnie ojcu, że teraz przez około dwie godziny będą z dzieckiem, a następnie przeniosą ich na salę poporodową.

Rodzice odetchnęli z ulgą i zostali sami. Przez chwilę rozmawiali za pomocą dłoni, a następnie On G 351 rozesłał informacje do rodziny i znajomych. Ona Ś 465 ułożyła się nieco wygodniej i z dzieckiem przy piersi zasnęła.

— Mamy dla państwa wiadomości, niestety nie są one najlepsze.

Ona Ś 465 wytrzeszczyła oczy, przestraszona, i przytuliła mocniej maleństwo. Mąż chwycił ją mocno za rękę – najwyraźniej pielęgniarka tłumaczyła wszystko od razu na język migowy.

— Państwa córka jest w pełni zdrowa, został jej nadany numer 6.

— To chyba dobrze? — zapytała Ona Ś 465, odruchowo wybijając słowa na dłoni męża.

— Pani nie rozumie – ona jest w pełni zdrowa. Nie ma żadnych defektów ani ubytków.

Przez moment Ona Ś 465 nie mogła pojąć, co w tym złego – przecież to dobrze, że dziecko jest zdrowe! Po chwili jednak On G 351 głośno wciągnął powietrze i mocniej ścisnął jej rękę. Po kolejnych paru sekundach kobieta również zrozumiała problem.

Ona Ś 645 była ślepa od zawsze, a On G 351 odziedziczył głuchotę po rodzicach. Dzień po narodzinach dzieci miały wykonywany szereg badań, który miał pomóc ustalić, jakie defekty mają i nadać oznaczenie. Pierwszy człon oznaczenia określał płeć, tu nie było wielu możliwości – On albo Ona. Bardzo rzadko zdarzało się Ono, a nawet jeśli, to prawie zawsze natychmiast podejmowana była decyzja co do płci dziecka i wykonywana operacja. Drugi człon wskazywał, który zmysł człowiek ma upośledzony. Numery oznaczały, którym dzieckiem z danym defektem jest w bieżącym roku.

Każdy człowiek rodził się z jakąś wadą, a najpopularniejsze były Ślepotą i Głuchotą. Osoby z oznaczeniem Ś i G mogły żyć właściwie normalnie, poza ograniczeniem w wykonywaniu niektórych zawodów. Oczywiście jest na przykład, że ktoś, kto nie widzi nie może być na przykład chirurgiem, a niesłyszący nie zostanie dyrygentem, ale większość świata stała dla nich otworem. Rzadsze były Anosomia i Ageuzja, czyli brak węchu i smaku. Te defekty stosunkowo najmniej przeszkadzały w życiu, bo nie wpływały na wiele jego aspektów. Trudniej

było zostać uznanym kucharzem, ale wystarczyło nauczyć się proporcji i można świetnie gotować. Dodatkowo tylko te wady dawały możliwość zostania lekarzem większości specjalizacji czy przywódcą państwa (oczywiście pomniejsi politycy mogli mieć i inne defekty). Najrzadszą skazą była hipestezja, czyli brak czucia. Osób z oznaczeniem H prawie nie było, a żyło im się bardzo ciężko, wiele z nich umierało w młodym wieku. Pod hipestezję postanowiono też wpisywać braki kończyn – nieco lżejszy defekt, traktowany zwykle podobnie jak An i Ag.

Ludzie zazwyczaj łączyli się z osobami z tymi samymi wadami, bo mieli podobną pozycję społeczną, lepiej rozumieli swoje problemy i łatwiej było im żyć razem. Dlatego bardzo często wady były dziedziczone: jeśli rodzice nie słyszeli, istniało 99% prawdopodobieństwa, że ich dziecko również będzie głuche. Tacy ludzie wiedzieli, z czym będą musieli się zmierzyć i jak pomóc potomstwu wejść w życie. Czasem jednak zakochiwali się w sobie niezależnie od defektów, a dziecko miało 50% szans na odziedziczenie defektu każdego z rodziców. Niekiedy, śledząc historię medyczną obu rodzin, można było bardziej precyzyjnie określić, które geny są silniejsze i jaka wada bardziej prawdopodobna.

Czasami zdarzało się tak, że ktoś rodził się z więcej niż jedną skazą. Taka osoba miała zwykle trudniej w życiu, ale jeśli odziedziczyła je po rodzicach, zazwyczaj miała w nich wsparcie i pomoc przy problemach. Takie osoby kwalifikowały się też do operacji, która mogła usunąć jeden z defektów lub przynajmniej go zmniejszyć. Jednak nie zawsze się na to decydowano, bo operacja była bardzo niebezpieczna, a jej wynik niepewny.

Bardzo rzadko, bo zaledwie kilka razy w roku, rodziło się dziecko bez żadnej wady. Nie miało ono jednak pełnego wachlarza możliwości, a rodzice stawali przed ogromnym dylematem. Takie dziecko obowiązkowo poddawano operacji usunięcia jednego ze zmysłów. Jeśli rodzice mieli wystarczająco dużo pieniędzy, mogli sami wybrać klinikę, w której zostanie wykonana operacja i zmysł, który ma zostać usunięty. Jeśli mieli pieniędzy więcej niż wystarczająco, mogli ukrywać dziecko aż będzie świadome, a potem mogło ono udawać wybraną wadę i żyć spokojnie bez operacji. Jednak jeśli rodzice należeli do biedniejszej części społeczeństwa, byli skazani na państwowe kliniki i wybór lekarzy. Zwykle decydowano się na usunięcie wzroku, gdyż obszar za niego odpowiedzialny w mózgu był stosunkowo duży i łatwo dostępny. Niektórzy, często na prośby rodziców, próbowali wywołać anosomię lub ageuzję, by dziecko miało najlepszy start w przyszłość. Jednak obszary odpowiedzialne za zmysł węchu i smaku są niewielkie i umieszczone głębiej w mózgu, przez co operacja stawała się dużo bardziej niebezpieczna. A w pełni bezpieczna i pewna przecież żadna operacja nie jest.

Niestety Ona Ś 645 i On G 351 do bogatych nie należeli.

— Nasza klinika wykonuje operacje tylko we wtorki, będziecie musieli poczekać do jutra. Dyżur będzie miał doktor On Ag 895. Dziś możecie z nim porozmawiać, ale ostrzegam, że nie należy do osób chętnych do negocjacji. Musicie bardzo uważać na to, co mówicie.

— Jakiego zmysłu zazwyczaj pozbywa się doktor? — zapytała Ona Ś 465, przytulając do siebie córeczkę.

— Doktor zawsze najpierw robi wywiad i decyduje się na jeden z defektów rodziców.

— A może... — zaczęła, uważnie wczuwając się w dotknięcie męża na dłoni. Powoli przekazywała pytanie ukochanego. — A może coś przeoczyliście? Może w małej jeszcze rozwinię się któraś wada? Nie możemy poczekać chociaż tygodnia i sprawdzić...?

— Oczywiście, powtórzymy wszystkie badania — głos pielęgniarki stał się nieco chłodniejszy, a On G 351 wystukał na dłoni informację: *Nie spodobało jej się. Uważa, że podważamy jej kompetencje.* — To rutynowe działanie w takiej sytuacji. Wyniki zostaną sprawdzone przez trzy niezależne osoby, a na końcu jeszcze przez doktora przed operacją. Jednak moim obowiązkiem jest poinformować was o zaistniałej sytuacji, żebyście mieli czas się przygotować.

— A co z po...?

— Nie można poczekać. Prawo mówi, że operacja ma zostać wykonana w najbliższym możliwym terminie. — głos pielęgniarki wyraźnie złagodniał. — Przykro mi.

Ona Ś 465 skinęła powoli głową. Nie dała nic po sobie poznać, a przynajmniej taką miała nadzieję, ale uważnie wczuła się w dotyk męża. Wiedziała, że zawsze może na niego liczyć i tak było też tym razem. On G 351 miał plan.

Ona Ś 645 głaskała delikatnie po głowie swoją małą córeczkę. Nie wiedziała, jakie jest życie ze wszystkimi zmysłami. Nie wyobrażała sobie tego. Nawet nie знаła bliżej nikogo, kto miałby tylko oznaczenie Ag albo An. Ale była pewna, że życie z mniejszymi defektami jest łatwiejsze, a jak każda matka chciała dla swojego dziecka tego, co najlepsze. A już na pewno nie chciała, żeby jej zaledwie jednodniowa córeczka musiała od razu na początku swojej drogi na tym świecie przechodzić ciężką operację. *Przecież to dziecko nie jest niczemu winne!* — chciała krzyknąć. *Nie wybierało, że urodzi się ze wszystkimi zmysłami!*

Nawet w najśmielszych wyobrażeniach przyszłości Ona Ś 645 i On G 351 nie myśleli, że ich dziecko mogłoby mieć wszystkie zmysły. Oboje pochodzili z rodzin z defektami i od urodzenia mieli swoje wady. Nie byli też najmłodsi, bo mieli problemy z zajściem w ciążę.

Przecież to powinno zwiększyć możliwość wystąpienia wady! *Dlaczego właśnie nam musiało urodzić się w pełni zdrowe dziecko?* – pytali sami siebie w myślach.

Jednak On G 351 miał plan. Jego żonę podnosiło to na duchu. Jeszcze przed świtem poczuła, że do pokoju ktoś wchodzi i cicho podchodzi do dziecięcego łóżeczka. Mała nawet nie mruknęła, kiedy została podniesiona. *Dobry znak. To może się udać* – pomyślała z ulgą jej mama i ułożyła się wygodniej. Rano musi mieć siłę, żeby odegrać swoją rolę.

— NIE! — Ona Ś 645 usłyszała zrozpaczony krzyk swojego męża, wpadającego do sali. Podbiegł do niej i zaczął szukać w pościeli jej dłoni.

— Och nie, co się stało? — zawołała jeszcze zanim ją odnalazł. — Co się z nią stało? Gdzie jest...?

Ale w tej chwili On G 351 odnalazł jej rękę i zaczął gorączkowo stukać w punkty na jej ręce. Zamarła, niepewna, czy dobrze rozumie, ale on powtórzył to jeszcze raz.

Od drzwi rozległ się chłodny głos.

— Już czas.



fb.com/spookystuffshop

spooky_stuff.cupsell.pl

SPOOKY STUFF



YES



NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS
DESIGN



DARK ART
AND DESIGN

GOOD BYE

ORWELL PATRZY

dr Eliza Krzyńska-Nawrocka

Kiedy 25 czerwca 1903 roku na ten „najlepszy z możliwych światów” przyszedł George Orwell (a właściwie Eric Arthur Blair) nikt chyba nie przypuszczał, że jego wizja rzeczywistości obezwładniać będzie i poruszać długo, długo po śmierci tego niesamowitego pisarza (zmarł 21 stycznia 1950).

Przyjęte w 1932 roku przez niego nazwisko dało początek nośnemu określeniu orwellowski, charakterystycznego dla sytuacji zniewolenia jednostki, totalitaryzmu, który piętnował w swojej twórczości. I co do tego nie ma wątpliwości.

Co do źródła fałszywego nazwiska, to nie mamy komfortu pewności. Ponoć, jak przypuszczają niektórzy, jego przyjęty przez niego pseudonim ma swoje źródło w miłości do ojczyzny, jaką żywił autor (George to patron Anglii, a nazwisko zaczerpnął od popularnej wśród przedstawicieli amatorskiego żeglarstwa nazwy rzeki, nad która sam także odpoczywał). Chociaż jak twierdził w jednym z wywiadów John le Carré, twórca *Szpiega*, nawiasem mówiąc świetnej powieści: *Orwell jest wielki, wspaniały. Uczył się w Eton i był tak rozczarowany brytyjską elitą, że aż zmienił nazwisko, by nikt nie mógł w nim rozpoznać studenta tej uczelni.* („Gazeta Wyborcza”, 17–18 września 2011). Jakie były prawdziwe powody, któż zgadnie... Inne szczegóły z jego życia zdają się zdecydowanie bardziej przejrzyste i zwykle w ich kontekście (pochodzenia, doświadczeń wojennych, jego antykomunistycznego podejścia do świata) komentuje się wizję rzeczywistości jaką zbudował w swoich tekstach, szczególnie dwóch najbardziej znanych tekstach. Zostawmy więc biografię Orwella, choć niewątpliwie życiowo przeżycia rzutowały na jego twórczość. Zostawmy nawet te najsłynniejsze dzieła, które przyniosły mu nieśmiertelność. Czytelnicy z pewnością je znają, patrząc po konkursowych opowiadaniach zgłoszonych do „Histerii” tekstów, niektórzy zainspirowaniu nimi autorzy znają je wyśmienicie. Popatrzy na Orwella przez pryzmat innego dzieła, by zobaczyć konsekwencję pisarza w stwarzaniu czy rekonstruowaniu obserwowanego przez niego otoczenia.

Futurystyczna wizja świata w *Roku 1984* czy alegoryczny *Folwark zwierzęcy* budzą grozę kreacją rzeczywistości. Stanowią też kwintesencję jej widzenia, obecną w innych, mniej

znanych tekstach Orwella. I tu warto wspomnieć początki jego pisarstwo – tuż przed rozpoczęcie drugiej wojny światowej światło dzienne ujrzała powieść *Bez tchu* (oryg. tytuł *Coming Up for Air*, 1939), w której autor korzysta z pomysłu powrotu do krainy lat dziecięcych, lecz okazuje się ona niemożliwa. I choć nie ma w tym tekście patrzącego wielkiego brata, nie ma ostrej krytyki totalitaryzmu czy kapitalizmu, jest za to wszechobecne i przytłaczające oczekiwanie na wybuch wojny (akcja rozgrywa się w 1938 roku w Anglii) i wojenny kataklizm oraz poczucie katastrofy po jego zakończeniu. George Bowling – główny bohater i narrator prowadzonej opowieści – wprowadza czytelnika w świat, w którym coś się skończyło, skończyło się człowieczeństwo, skończył się znany świat i nie ma do niego powrotu. Czyni to jednak bez patosu, może dlatego tak mocno ta codzienność skończonej rzeczywistości przeraża.

Nie bez wpływu na siłę oddziaływania tekstów Orwella, są stosowane przez niego opisy – bardzo intensywne, plastyczne, a co za tym idzie – sugestywne. Niezależnie czy portretuje siebie w powieści *Na dnie w Paryżu i Londynie* czy rozpoczyna opis mroźnego, kwietniowego dnia w *Roku 1984* – te opisy są wręcz namacalne:

Był jasny, zimny dzień kwietniowy i zegary były trzynastą. Winston Smith, z głową wtuloną w ramiona dla osłony przed tnącym wiatrem, wślizgnął się przez szklane drzwi do Bloku Zwycięstwa, ale nie dość szybko, by powstrzymać tuman ziarnistego pyłu, który wtargnął za nim do środka.

Klatka schodowa cuchnęła gotowaną kapustą i starymi, butwiejącymi wycieraczkami. Na jednym jej końcu wisiał barwny plakat, zbyt wielki do eksponowania w ciasnym wnętrzu. Przedstawiał tylko ogromną twarz, przeszło metrowej szerokości: przystojną, czerstwą twarz mniej więcej czterdziestopięcioletniego mężczyzny z sutym czarnym wąsem.

Nie bez znaczenia jest fakt, że Orwell był dziennikarzem, u którego zmysł obserwacji był mocno wyostrzony i skrupulatnie odnotowuje w swoim tekstach rzeczywistość (na gruncie polskim można na zasadzie paraleli wskazać Bolesława Prusa, u którego zacięcie i doświadczenie dziennikarskie widać na każdym kroku przede wszystkim i nie tylko w *Lalce*).

Znany przede wszystkim ze wspomnianych dzieł jest autorem różnorodnym pod względem formy: pisał powieści, felietony, reportaże, eseje, a także wiersze. Twierdził, że: *Jeśli wolność słowa w ogóle coś oznacza, to oznacza prawo do mówienia ludziom tego, czego nie chcą słyszeć* („The Times Literary Supplement”, 15 września 1972).

Z tej wolności, jeśli popatrzymy na jego utwory, korzystał (mówiąc kolokwialnie) do woli. I nie tylko w *Folwarku zwierzęcym* i *Roku 1984*. Orwell pokazuje co dzieje się

z człowiekiem, co dzieje się ze światem. A nie dzieje się dobrze. Co ciekawe, zawsze w jego twórczości zło czai się na granicy kontaktów człowieka z otaczającym go porządkiem (lub nieporządkiem).

Oczywiście te dwa, najbardziej znane, fenomenalne teksty stanowią apogeum badanego problemu. Ale ciekawym pod tym względem dziełem jest także powieść *Wiwat aspidistra!* (wydana po raz pierwszy w 1936 roku). Główny bohater nie może już znieść faktu, że człowiek nie jest samotną wyspą. Ciąży mu archipelag ludzkich postaci i ich wzajemnych relacji i przypomina mu galerię olbrzymich lalkowatych twarzy, pełnych głupkowatego optymizmu. Jedyne co mu pozostaje, to bunt. I Gordon Comstock, główny bohater powieści, buntuje się, czy powiedzmy, próbuje się zbuntować.

Intelektualista o ambicjach literackich, od dziesięciu lat prowadzi wojnę przeciwko bożkowi pieniądza i jego „ześwinionym kapłanom”. Twierdzi, że pieniądz rządzi we wszystkich relacjach międzyludzkich. Odcina się od pieniędzy i od życia. Jego „śmiertelne bankructwo” okazuje się niewypałem. Nie jest bowiem zdolny pisać (ubóstwo zabija przede wszystkim myśl). Popada w konflikt z prawem. Przechodzi na utrzymanie przyjaciela, co uważa za największą hańbę. Musi znosić próby pomocy ze strony przyjaciela i swej dziewczyny. Nikt go nie chce zrozumieć. A on pragnie tylko spokoju, aby móc bezwolnie pograć się w błocie, gdzie pieniądz nie ma władzy. Życie pokonało Gordona. Uważa on, że można jeszcze pokonać życie, odwracając się od niego. Lepiej się pograć, niż wznosić. Ale to też mu się nie udaje. Przed zupełnym stoczeniem się ratuje go wiadomość o ciąży swojej dziewczyny. Pod wpływem wizji bycia ojcem, Gordon przyjmuje dobrą posadę, żeni się (A więc według dawnych poglądów – zaczyna służyć mamonie). Decyzje te nie przychodzą mu z łatwością. Ale gdy kłamka zapada, odczuwa ulgę, że skończył z brudem i samotnością, że może powrócić do przyzwoitego życia. W jakimś zakątku umysłu zawsze tkwiła myśl, że tak się stanie. Takiego końca pragnął w głębi serca.

Orwell, przedstawiając losy Gordona, stworzył szczegółowe studium relacji społecznych, panujących w dwudziestym wieku w kapitalistycznym państwie (w tym przypadku – w Anglii). Wychodząc od jednostki, otrzymał fresk stosunków socjalnych, których centrum jest pieniądz. To on tkwi u podstaw wszelkich pożądań. Jest pożądaniem i jego przedmiotem. Tylko to, czego żąda pieniądz, dzieje się na świecie.

Z zagadnieniem pieniądza wiąże się problem twórcy, opisany przez Orwella. Dodać należy, twórcy niezrozumiałego przez otoczenie, borykającego się z problemami życia codziennego, Pisarza męczennika, którego, o dziwo, cierpienie nie uszlachetnia. Pisarstwo jest dla Gordona formą uwolnienia się od smrodu pieniędzy. Jednocześnie jego twórczość

zdominowana przez rzeczywistość. Zbyt mocne „bycie w świecie” sprawia, że on „rzekomo pisarz – nawet pisać nie mógł”. Ciągłe nieukończony poemat nie był już tym, co tworzył, lecz koszmarem, z którym się zmagał. Jednocześnie, mając silne poczucie rozpadu, próbuje uwolnić się od skostnienia. Okazuje się, że od realiów społecznych nie da się uciec. Jak powie Gordon: „Pójście do diabła jest trudniejsze, niż się wydaje. Czasem zbawienie dopada cię jak sfera niebieska”.

Paradoksalnie, w świecie można zdobyć wszystko, jeśli się naprawdę tego nie chce. Człowiek nie jest w stanie kreować rzeczywistości. To ona determinuje jego poczynania. Orwell wykorzystuje topos świata jako teatru, modyfikując go do swoich potrzeb. Ludzie są tylko marionetkami, które tańczą, gdy pieniądz pociąga za sznurki.

Kult pieniądza ukazany zostaje jako religia. Pieniądz to bóg. Dekalog zostaje zredukowany do dwóch przykazań: pracodawcom (wybrańcom) nakazuje: „Będziesz robił pieniądze”, a pracownikom (niewolnikom): „Nie stracisz pracy”.

Niezwykle wymowny jest wstęp powieści – „nieco” zmieniony Pierwszy List do Koryntian św. Pawła: „Pieniądz jest cierpliwy i łaskawy. Nie nadyma się. Nie pragnie zaszczytów (...). A teraz trwa wiara, nadzieja, pieniądz (...) z tych zaś największy jest pieniądz.”

Biblijność tego tekstu wpływa na szacunek dla największego bóstwa, które jest zawsze i wszędzie. Jest też oczywiście grą Orwella, który śmieje się z tego, co widzi. Nie jest to jednak śmiech radości.

Można buntować się przeciwko pieniądzom, ale nie można się od nich uwolnić. Są jak cień; biegną nawet wtedy, gdy się przed nimi ucieka. W pracy, w domu, nawet w łóżku nie można o nich zapomnieć. Wszystkie stosunki między ludźmi trzeba kupować za pieniądze, całe życie kosztuje. Rzeczywistość warunkuje człowieka, a ją pieniądze. To one są rzeczywistością. Stąd też jedyną dopuszczalną klasyfikacją społeczną ludzi jest ich podział na biednych i bogatych. Wszelkie inne podziały są jej pochodną i wszystkie związane są z podejściem do pieniędzy – na przykład różnica pomiędzy kobietami a mężczyznami wiąże się z faktem, iż one wierzą w kodeks pieniądza, a oni znajdują się tylko w jego służbie.

W świecie owczego pędu do bogactwa ubóstwo jest synonimem głodu (erotycznego, materialnego, towarzyskiego), jest również grzechem. Bieda hańbi. Można służyć bożkowi pieniądza lub iść na dno, innej zasady nie ma. Nie ucieknie się od pieniędzy przez ich nieposiadanie (płonne nadzieje Gordona okazały się w tej kwestii bezowocne). Jeśli nie ma się dość „środków do życia” jest się w pełni niewolnikiem pieniędzy. Prozaiczność ludzkich potrzeb skazuje człowieka i jego twórczość na przegraną z materią.

Można negocjować spokojne życie oddających czołobitny szacunek pieniądзом i próbować się buntować. Ale nie jest się w stanie obronić przed przeznaczeniem – błędem jest myślenie, że można żyć w zepsutym świecie, samemu nie ulegając zepsuciu.

Bunt w końcu gaśnie. Znika jak filiżanka herbaty parzona ukradkiem w domu pani Wisbeach, gdzie mieszkał Gordon. Ta niedozwolona filiżanka, manifest niezależności społecznej, wolności finansowej, zastąpiony zostaje zieloną doniczką z aspidistrą. Duże pantofle (synonim nieprzystosowania do zmaterializowanej rzeczywistości) przestają przeszkadzać. Ich przestronność i miękkość zaczynają sprawiać przyjemność. Zażyły stosunek nienawiści do pieniędzy znika. Każdy buntuje się przeciwko prawu pieniądza i każdy (wcześniej czy później) kapituluje. To jest przeznaczenie człowieka – według słów powieści *Wiwat aspidistra!*

Postaci nakreślone przez Orwella zanurzone są w „pieniężnym chlewiku”. Niektórzy jeszcze walczą, inni przeszli już na konsumpcyjny tryb życia.

Okrzyk „Wiwat aspidistra!” jest kwintesencją poglądów, zachowań kapitalistycznego społeczeństwa. W tych dwóch rzeczownikach ujawnia się mistrzostwo pisarza w pojemności stosowanych przez niego sformułowań. „Wiwat”, czyli niech żyje, wzrasta i kwitnie jest jawnym przeciwieństwem poglądów walczącego Gordona, który dąży do zniszczenia. Jednocześnie z „aspidistrą” (rośliną właściwie nieśmiertelną, zdolną w każdych warunkach wieść swój nędzny, chorowity żywot) nabiera głębszego znaczenia. Jest znakiem nieprzemijającej władzy bożka pieniędzy, okrzykiem jego zwycięstwa. Stanowi ironiczny zwrot do ludzkości szukającej tylko zysku. Społeczeństwa, które zapada się w aspidistralny (nędzny, materialny) błogostan: najpierw telewizja, potem pieniążki, nieco legalnego stosunku seksualnego jeśli żona jest w humorze i ... znowu forsa.

Tytuł ten jest okrzykiem rozpacz. Nie ma powodów, aby się cieszyć. Wybór aspidistry na „drzewo życia” stanowi odzwierciedlenie wartości panujących w świecie człowieka. Hierarchii zaburzonej, spieniężonej lub nawet żałośnie nieistniejącej.

George Orwell przedstawił doskonałą syntezę społeczeństwa, w którym buntująca się jednostka nie ma szans pozostać wierną swoim ideałom. Nie jest stworzona do życia. Jej jedyną szansą na przetrwanie jest poddanie się kultowi finansowych relacji między ludzkimi wysepkami. Aby przetrwać musi przystosować się do polityki pieniądza. Może okazać się to łatwiejsze od trwania w opozycji – jak mawiał później Stephen King „pieniądze umieją mówić po swojemu”. A autor *Córki proboszcza* zdaje się szeptać: widzę Was, słyszę, jak zaczynacie mówić tym językiem. Widzę, że stajecie się bezwolni. Widzę Was!

Zaprezentowana powieść, choć trudno zaliczyć ją do literatury grozy, stanowi dobry obraz tego, jak Orwell postrzega świat – a widzi go jako rzeczywistość zagrożenia człowieka, jego zmanipulowania i stłamszenia. Człowiek jest w stanie permanentnego niebezpieczeństwa ze względu na „coś”. Tym czymś może być pieniądz, jak w *Wiwat aspidistra!*

Orwell z precyzją badacza przygląda się człowiekowi – może to być kolonialny świat Birmy, może to być kapitalistyczna Anglia, może to być alegoryczny folwark lub apokaliptyczny świat roku 1984 – Orwell patrzy i widzi człowieka, który miota się w rzeczywistości, który się w jej sieci pogrąża. Orwell patrzy i to, co widzi i opisuje budzi grozę. Bo niezależnie od akcji utworu i jego tematyki, to co przedstawia jest bliskie temu, co znamy (albo co możemy sobie wyobrazić, że będzie znajome), co za tym idzie sugestywne i dlatego przeraża jeszcze bardziej.



PORTRET OWALNY

Edgar Allan Poe

tłum. B. Leśmian

Zamek, do którego mój sługa zamierzył raczej siłą się przedostać, aniżeli pozwolić mi, ciężko rannemu, na nocleg pod gołym niebem, należał do rodzaju tych ogromnym i melancholią obciążonych budynków, które zarówno w rzeczywistości, jak w wyobraźni mistress Radcliffe wznosiły swe zasępione czoła wśród Apeninów. Według wszelkich pozorów – do czasu jeno i zgoła niedawno opuszczono ów zamek. Zajęliśmy jedną z najszczuplejszych i z najmniejszym przepychem umeblowanych komnat. Znajdowała się na wieży, przyległej budynkowi. Ozdoby miała bogate, lecz zgrzybiałe i zniszczone. Mury powlekało obicie i świetniały na nich obfite godła heraldyczne wszelakiego kształtu, oraz

godna zaiste podziwu ilość obrazów nowożytnych, pełnych stylu, w ramach złotych i po arabsku wzorzystych. Zaciekały mię do głębi – zapewne pod wpływem nawiedzającej mię gorączki – zaciekały mię do głębi owe obrazy, wiszące nie tylko na widocznych powierzchniach muru, lecz i po niezliczonych zakątkach, których nie mogła uniknąć dziwaczna architektura zamku.

Koniec końcem – ponieważ noc już nadchodziła – kazałem Pedro'wi zawrzeć ciężkie okienice komnaty, zapalić stojący u mego wezgłowia olbrzymi, kilkoramienny świecznik i odsłonić całkowicie kotary z czarnego aksamitu, ozdobione frędzlami a okalające moje łóżko. Życzyłem sobie tych wszystkich przysposobień w tym celu, abym mógł w razie bezsenności uprzyjemnić sobie czas naprzemian już to oglądaniem obrazów, już to odczytywaniem niewielkiej książki, którą znalazłem na poduszce, a która zawierała opis i ocenę wspomnianych obrazów.

Czytałem długo i długo. Oglądałem nabożnie i w skupieniu. Godziny upływały – odlatujące i uroczyste, i głucha północ nadeszła. Położenie świecznika zdało mi się niedogodne i, nie chcąc budzić pogrążonego we śnie sługi, wyciągnąłem z wysiłkiem dłoń i utwierdziłem świecznik tak, aby pełnią promieni rozwidniał karty książki. Wszakże mój czyn wytworzył wręcz niespodziane skutki. Promienie mnóstwa świec (a była ich spora gromada) padły na wnękę komnaty, którą jedna z kolumn mego łóżka przesłaniała dotąd głębokim cieniem.

W rzęsimem świetle postrzegłem obraz, który uszedł dotąd mej uwadze. Był to portret młodej dziewczyny w okresie dojrzewania i posiadającej już niemal urok kobiety. Byстрыm rzutem oka dotknąłem malowidła i zwarłem powieki. Czemu? Na razie sam nie rozumiałem, czemu? Lecz podczas, gdy powieki moje były zamknięte, badałem pośpiesznie przyczynę, która mię zniewoliła do zamknięcia powiek. Był to odruch mimowolny dla wygrania na czasie i pochwylenia myśli – dla upewnienia siebie samego, że oczy mię nie mylą, – dla uciszenia i przysposobienia duszy do spokojniejszych i trafniejszych oglądań. Po kilku chwilach znów z uporczywością spojrziałem na obraz.

Nie mogłem wątpić, mimo żądzy zwątpienia, – że go już uprzednio wypatrzył z niezmierną dokładnością. Pierwszy bowiem pocisk światła na owo płótno rozwiął skostniałość majaceń, która zawładnęła moimi zmysłami, i odrazu mię wytrzeźwił. Był to, jakom już powiedział, portret młodej dziewczyny.

Była to jeno – głowa aż po ramiona włącznie, wszystko w tym stylu, który fachowcy nazywają stylem *winiętowym*, – sposób malowania przypominał wielce Sully'ego – w ulubionych jego *głowach*. Ramiona, piersi, a nawet kończyny prześwietlonych włosów

tajały niepochwytne w rozwiewnym lecz głębokim cieniu, który stanowił tło całości. Rama była owalna, bogato złocona i ozdobna w stylu maurytańskim. Jako dzieło sztuki, obraz ten był tak godny podziwu, że nie można było chyba znaleźć mu nic równego. Lecz bardzo być może, iż ani wykonanie dzieła, ani nieśmiertelne piękno samej twarzy nie były tem, co mię tak nagle i tak gwałtownie wzruszyło. Jeszcze mniej mam powodów do przypuszczeń, że moja wyobraźnia, wymykając się swemu pół-snowi, zwidziała w tej twarzy – twarzy pewnej żyjącej osoby. Postrzegłem od razu, że odcienie rysunku, styl winiety i widok ramy rozwiały by niezwłocznie podobną mrzonkę i uchroniły by mnie od chwilowych nawet przywidzeń.

Bezpodzielnie i zapalczywie oddany tym rozmyślaniom, godzinę niemal całą trwałem, nawpół leżąc, nawpół siedząc, z oczyma, przykutymi do portretu. Wreszcie – odgadłem istotną tajemnicę jego oddziaływań i upadłem na łóżko. Domyśliłem się, że *czar* malowidła polega na żywotności wyrazu, który jest bezwzględny równoważnikiem samego życia, a który od pierwszego wejrzenia przejął mię dreszczem i ostatecznie – stropił, ujarzmił, przeraził. Z głębokim strachem usunąłem świecznik na dawne miejsce.

Ujawszy w ten sposób oczom oglądania przedmiotu mych głębokich wzruszeń, chwyciłem gwałtownie do rąk książkę, która zawierała ocenę i opis obrazów.

Trafiwszy z miejsca na numer, którym był oznaczony portret owalny, przeczytałem niejasną i osobliwą opowieść, i tę poniżej podaję:

– „*Była to młoda, niezmiernie rzadkiej urody dziewczyna, – zarówno powabna, jak wesola. Przeklęty jest ów dzień, gdy ujrziała i pokochała i poślubiła – malarza. On – zapalony, namiętnie oddany pracy, surowy i już w swej sztuce mający – oblubienicę. Ona – młoda dziewczyna, niezmiernie rzadkiej urody, – zarówno powabna, jak wesola: nic, jeno – światło i uśmiech i swawolność młodego jelonka. Kochała i wielbiła rzecz wszelaką. Nienawidziła jeno sztuki – swojej rywalki. Przerażała ją jeno – paleta, i pendzle i inne dokuczliwe narzędzia, które ją pozbawiały widoku kochanka. Straszkami były dla tej pani nawet te słowa malarza, w których zdradzał chęć utrwalenia na płótnie swojej młodej małżonki. Lecz była pokorna i posuszna i całymi tygodniami, trwała – przesłodka – w ciemnej a górnej komnacie na wieży, kędy światło jeno od sklepień sączyło się na bladość płótna. Wszakże malarz całą swą chlubę widział w swem dziele, które z godziny na godzinę, z dnia na dzień powstawało.*

A był to człowiek – pelen zapалу, i dziwny, i zamyślony i tak zapodrziany w marzeniach, że nie chciał postrzedz, jak światło, tak ponuro wpadające do wnętrza tej samotnej wieży, niszczy zdrowie i ducha jego żony, która widomie nikła dla całego świata, z wyjątkiem jego osoby. Mimo to uśmiechała się wciąż i wciąż – bez skargi, gdyż widziała, że malarz (który wielką cieszył się sławą) z płomienną i żarliwą uciechą oddaje się swej pracy i trwa w niej

nocami i dniami, aby przenieść na płótno tę, która go kocha, lecz która z dnia na dzień coraz bardziej niszczeje i marnieje. I doprawdy – ci, którzy oglądali portret, półgłosem zaznaczali podobieństwo, jako skutek wielmożnego cudu i jako dowód nie tylko niezmiernej potęgi samego mistrza, lecz i jego głębokiej miłości dla tej, którą tak przedziwnie odtwarzał na obrazie. Po pewnym jednak czasie, gdy trud dobiegał do końca, nikt nie miał dostępu do wieży, mistrz bowiem oszalał w swych wysiłkach i rzadko odrywał oczy od płótna, nawet w celu przyjrzenia się obliczu swej żony. I nie chciał dostrzedz tego, że barwy, które gromadził na płótnie, były odjęte obliczu tej, co przed nim siedziała. A po upływie wielu tygodni, gdy już praca była na ukończeniu i brakło zaledwo jednego rzutu pędzlem po wargach i jednej plamy na oku, dusza w piersiach pani tliła się jeno, jak płomyk w lampie. I wówczas pędzel dokonał swego rzutu – i plama na oku spoczęła, – i przez jedno mgnienie mistrz trwał w zachwyceniu przed dziełem spełnionem, lecz chwilę potem, gdy przedłużył jeszcze swe oglądanie, – zadrżał – i zbladł – i wręcz się przeraził! I głosem wzburzonym krzycząc: – „Zaiste! To życie samo!” – odwrócił się zniemacka, aby zaoczyć swoją kochankę. Ta wszakże już nie żyła.“



www.toon-art.pl



<https://www.facebook.com/Kozierkiewicz>

PARTNERZY



STRASZNE-HISTORIE.PL

ODWAŻYSZ SIĘ?!





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

